

cf 21
DODATEK POWIEŚCIOWY „WIECZORÓW RODZINNYCH.”

DZIEDZICTWO

KAROLA WIELKIEGO.

Powieść historyczna z IX-go wieku

Karola Deslys

przekład z francuskiego

M. K.

WARSZAWA.

W Drukarni Noskowskiego,

Warecka Nr. 15.

—
1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Декабря 1900 г.



840-311.6

26/6.46r.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.



yn króla Maurytańskiego Akwina, który, jak powiadają kroniki ówczesne, na początku IX-ego wieku napadł Bretanię, lecz został pobity i w pośpiesznym odwrocie zostawił cały obóz, wpadł w ręce dzielnych obrońców chrześcijaństwa. Było to jeszcze młodziutkie pachole. Cesarz Karol Wielki kazał ochrzcić swego jeńca i sam trzymał go do chrztu. Młodemu Maurowi dano imię Eufaniasza. Eufa-

niasz okazał się godnym synem swego chrzestnego ojca, a Karol umiał ocenić jego zasługi: dał mu w posiadanie zamek Głej i dodał do jego imienia nazwisko Głej.

Dodatek do N-ru 1 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

Jako syn królewski Eufaniusz otrzymał godność hrabiego czyli rządcy okręgu.

Przez całe życie nie splamił się żadnym złym postępkiem i zasłużył na szacunek i zaufanie cesarza. Na kilka dni przed śmiercią, Karol Wielki miał z nim rozmowę na osobności, której treść została dla wszystkich tajemnicą. Za panowania Ludwika Dobrotliwego, syna Karola Wielkiego, Eufaniusz, został na swoim dawnym stanowisku, i dzięki jego zdolnościom wojennym bunt Bretańczyków, którzy powstałi pod wodzą śmiałego Morwana, został uśmierzony.

Tak przeszło dziewięć lat. Eufaniusz, zmęczony długoletnimi trudami wojennymi, prosił cesarza o pozwolenie zamieszkania u siebie. Oddawna pragnął osiąść w swoim zamku, który nabrał dla niego jeszcze więcej uroku od czasu, jak tam wychowywało się dziecko, znalezione przez niego pod gruzami bretońskiej twierdzy. Nikt nie wiedział napewno, czyje to dziecko; niektórzy, w nadziei otrzymania wielkiej nagrody, utrzymywali, że to córka króla Morwana.

— Nie chcę żadnego łupu z tej twierdzy, oprócz tego dziecka — rzekł Eufaniusz po zdobyciu obronnego zamku, i obróciwszy się do stojącego obok księdza dodał: uczynię dla tego dziecka to, co niegdyś zrobił dla mnie Karol Wielki!

Nazajutrz dziecko było ochrzczone imieniem Klotyldy. Hrabia Eufaniusz odjechał wkrótce, wydawszy domownikom rozkaz troskliwej opieki nad sierotą.

Teraz, kiedy powracał do zamku, Klotylda miała już lat szesnaście. Oczekując przybycia swego dobro-

czyńcy, wyszła w towarzystwie innych dziewcząt na most zwodzony, usypując drogę kwiatami; lecz na widok Eufaniasza tak się zmieszała, że zapomniała ułożonego przez kapelana powitania, spuściła oczy i wy-mówiła:

— Panie, jakiś ty wspaniały!

Eufaniusz był także zdumiony urodą swej wychowanki, której dawno nie widział.

Klotylda przypominała postacie z obrazów, spotykane obecnie na ścianach starych zamków i kościołów. Średniowieczni malarze lubili przedstawiać kobiety o czereze przerzoczystej, niebieskich oczach, anielskim wyrazie twarzy, z aureolą złotych włosów nad czołem, to też typy takie jak Klotylda służyły im za wzory do malowania aniołów. Eufaniusz miał zaledwie czterdzieści dwa lata. Oczy jego były pełne wyrazu, płonęły ogniem, usta uśmiechały się łagodnie, twarz zaś ogorzała, z wybitnym wschodnim typem, otoczona była gestami kruczemi włosami. Niektórzy porównują ludzi do zwierząt i ptaków, Eufaniasza można było porównać do orła. Straszny w gniewie, miał serce gołębie i prostotę nie zrównaną. Wjeżdżając w bramę zamkową, wyglądał wspaniale na koniu bojowym: żelazna zbroja mie-niła się w słońcu, a pióropusz kołysał się zlekka na hełmie.

Zeskoczywszy z konia, podał rękę zarumienionę-tą oznaką czci Klotyldzie. Tłum ludu witał ich okrzykami radości.

— Spodziewałem się znaleźć ciebie dzieckiem,

Klotyldo, a widzę cię już dorosłą dziewczą. Jak prędko przechodzi czas w pochodach i służbie wojskowej.

Przez cały miesiąc Eufaniusz i Klotylda spędzali razem wieczory. Klotylda słuchała chętnie opowiadań o życiu na dworze cesarza, o bitwach i czynach bohaterów rycerzy. Wszystko to było dla niej nowe, gdyż wychowała się samotnie w tym zamku i nic nie widziała poza nim.

Lecz wkrótce wieczorne rozmowy się przerwały: Eufaniusz musiał obejrzeć swoje dobra i całe dnie spędzał w polach i lasach, poczem, obyczajem średnio-wiecznych rycerzy, zajął się łowami.

Klotylda słyszała tylko przez sen, jak o świcie wyjeżdżali myśliwi do kniei, jak zdala dolatywał odgłos rogów, potem wszystko milkło.

Raz, siedząc w swojej komnacie przy kołowrotku, nuciła piosenkę, gdy wtem zapukano do drzwi; przestraszona, przestała prząść i obróciła się w stronę, skąd dochodziło stukanie. Duże, ozdobione brązowymi figurkami drzwi otworzyły się z wolna i ukazała się w nich wysoka, wspaniała postać hrabiego.

Usiadłszy obok Klotyldy, poprosił ją znakiem, żeby przędła dalej i nie zwracała na niego żadnej uwagi. Kołowrotek zawarczał znowu, a w komnacie rozległ się przyciszony śpiew. Przypatrzwszy się uważnie Eufaniuszowi, Klotylda zauważyła, że był bardzo blady i niespokojny.

— Hrabio, jesteś zmartwiony?

— Nie.

— Może o co niespokojny?

Eufaniusz wstał, oparł się łokciem o kominiek i rzekł:

— Klotyldo, chcę ci zadać jedno pytanie!

— Słucham.

— Czy chcesz zostać moją małżonką?

Młoda dziewczica zarumieniła się jak róża.

— Tak — odpowiedziała cichym szeptem.

Niebawem odbył się ich ślub. Ani Eufaniusz, ani Klotylda nie mieli krewnych, dlatego też czuli się samotni i opuszczeni w dzień swego ślubu. Chcąc uczcić uroczystości weselnych i pozdrowień licznych wasali, wzięli ślub w kaplicy zamkowej.

Wracając do komnat, Klotylda wyciągnęła rękę do męża i rzekła:

— Chcesz zadość uczynić mojej pierwszej prośbie?

— Z największą chęcią!

— Wiesz, że kocham cię nad wszystko na świecie, lecz w zamian chcę, żebyś mi przysiągł, iż nigdy się ze mną nie rozłączysz!

— Klotyldo! — zawołał rycerz.

— Nie chcesz mi tego przysiąc?

Na twarzy rycerza osiadł smutek, młoda niewiasta zbłądła.

— Bóg mi świadkiem — odpowiedział hrabia — że najgorętszym moim życzeniem byłoby nie opuszczać już nigdy mego zamku, gdzie znalazłem szczęście i gdzie ostatek dni moich może przejść szczęśliwie i spokojnie, a jednak przysiądz ci tego nie mogę!... Przypominasz mi tem, Klotyldo, inną przysięgę, której nigdy nie złamię!...

— Eufanieszu, błagam cię, powiedz o jakiej przysiedze mówisz!

— Nie mogę, bo w moim życiu jest tajemnica.

— Tajemnica?

— Słuchaj co ci powiem: jeżeli zjawi się kiedyś do mnie człowiek z mieczem w ręku, na którym będzie pewien napis, wtedy gdziekolwiekbyś się znajdował, musisz w tej chwili, bez najmniejszego namysłu, iść za nim, choćby na kraj świata.

W czasie tej rozmowy na progu ukazał się młody paź. Chciał podejść, lecz zatrzymał się w niepewności, widząc jak młoda pani, cała drżąca, pochyliła się na pierś męża i zalała się łzami. Oczy jej były zwrócone ku niebu z niemem błaganiem o zachowanie jej szczęścia. Eufaniesz pierwszy zauważył obecność paza.

— Co się stało? — zapytał.

— Przyszedłem oznajmić waszej miłości, że jakiś mnich...

— Mnich?...

— Tak, mnich, którego nikt nie zna, okryty kurzem...

— Czego on chce?

— Chce widzieć waszą miłość zaraz. Pomimo żeśmy mu powiedzieli, iż wasza miłość tylko co po ślubie, on nalegał ciągle, więc odważyłem się oznajmić o tem waszej miłości..!

— Przyprowadź go tutaj zaraz.

Przeczuwając coś niedobrego, oboje młodzi małżonkowie spojrzeli na siebie.

— Ja się boję, — rzekła Klotylda.

— Dziecko jesteś, uśmiechnął się Eufaniesz i serdecznie żonę pocałował.

— W głębi sklepionej sali ukazał się mnich. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, o siwej brodzie, z energicznymi ruchami i błyszczącymi oczami. Kaptur zakrywał mu twarz.

— Czego chcesz ode mnie? — spytał Eufaniesz.

— Chrzestny synu Karola Wielkiego — odpowiedział mnich — naznaczam ci termin naszego przyszłego spotkania za miesiąc, na przeciwnym brzegu Renu, naprzeciw wyspy Nonnerwet, która się znajduje między Kolonią i Koblenecą. Czy przyjdiesz Eufanieszu Glej-Akwinie?

— Jakiem prawem pytasz mnie o to?

— Zamiast odpowiedzi mnich rozsunął swój habit i w ręku jego błysnęły dwa miecze. Jeden z nich zwrócił ostrzem ku Eufanieszowi. Na stali wyrżnięte były dwa wyrazy: „Francya i Karol.” Mnich wskazał je palcem.

— Francya i Karol! — powtórzył z niepokojem hrabia i spojrzał mimowoli na żonę; lecz w tej chwili odrzucił głowę w tył i z godnością wymówił:

— Przysięgam posłuszeństwo i dotrzymam przysięgi.

— Nie wątpię o tem — rzekł mnich i schowawszy miecz do pochwy, podał go Eufanieszowi, który rzekł:

— Pojadę za ośm dni!

— To będzie zapóźno — odparł tajemniczy po-

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

2

Dodatek do N-ru 2 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

seł — gdyż zanim pojedziesz za Ren, będziesz musiał
wpierw popłynąć w górę Sekwany.

— Dlaczego?

— Dlatego, żeby spełnić względem innych rycerzy to, co ja spełniłem względem ciebie. Oddasz ten drugi miecz hrabiemu Bajardowi!

— Czyż ty tego uczynić nie możesz?

— Nie mam czasu, gdyż muszę rozdać jeszcze kilka mieczów wybranym. Już trzy miesiące, jak opuściłem swój klasztor i dlatego w tej chwili jadę w dalszą drogę. Jeżeli chcesz przybyć na czas oznaczony, musisz jutro wyruszyć w podróż!

Eufaniusz nie mógł powstrzymać gniewu i wskazując na wpół omdlałą Klotyldę, zawołał:

— Mnichu, czyż nie rozumiesz, żeśmy dziś ślub wzięli!

— Czyż miłość — zapytał srogo mnich — tak zmieniła hrabiego Eufaniasza, że złamie przysięgę?

Hrabia milczał, lecz młoda hrabina powstawszy z rzeźbionego krzesła, rzekła spokojnie, skromnie i z godnością, obracając się do zakonnika:

— Ojczy, nie wążp o hrabim Eufaniaszu, on jutro pojedzie!

II.

Nazajutrz rano mały orszak ciągnął ku północy. W orszaku tym znajdowała się hrabina, która odprowadzała męża do pobliskiej kaplicy. Słońce weszło zaledwie, kiedy zbliżali się do oznaczonego miejsca.

Eufaniusz i Klotylda weszli do kaplicy i modlili się długo: on za nią, a ona o szczęśliwy powrót jego do domu. Po chwili wyszli i pożegnali się długim uściśkiem.

Eufaniusz wyrwał się nareszcie z objęć żony, wsiadł na konia i popędził galopem. Towarzyszył mu wierny giermek, Landryk i dwoje sług: Jakób i Łukasz. Załogę w zamku zostawił pod wodzą Romaryka, na którym można było polegać.

Pogrążony w myślach hrabia odjechał mileczący. Pod wieczór, Landryk przybliżył się do niego i zwrócił uwagę na zmęczenie koni i zapadającą noc. Trzeba więc było pomyśleć o noclegu. Landryk wskazał hrabiemu blizką wioskę, w której można było znaleźć schronienie.

Podjechawszy bliżej do wioski, zdziwieni byli niczem nienaruszoną ciszą. Nie słyhać tam było ani ludzkich głosów, ani ryku zwierząt, ani skrzypu wozów, wszystko było martwe, nawet dym nie szedł z żadnego komina.

— Dziwna rzecz! — zauważył Landryk — Bretończycy opuszczają swoje siedziby tylko pod grozą wielkiego niebezpieczeństwa!

Hrabia drgnął i wzrok mimowoli zwrócił w stronę zamku Glej. Landryk i słudzy obeszliz wszystkie domy, lecz nie znaleźli nigdzie żywej duszy. Wkońcu znalazłszy jedną chatę niezamkniętą, przepędzili w niej niespokojną noc. Nazajutrz rano, kiedy ruszyli w dalszą drogę ujrzeli ku wielkiemu swemu zdumieniu, drugą równie pustą wieś. W oddaleniu wi-

dzieli małe oddziały Bretańczyków, Landryk chciał ich dognać, lecz znikli mu w gęstwinie leśnej. Doświadczony giermek począł rozpatrywać ich ślady, lecz gdziekolwiek tylko można było je dojrzeć. To tylko mógł dopatrzeć, że ślady szły w tym samym kierunku, w którym jechał hrabia.

Ku schyłkowi dnia, hrabia i jego świta przybyli do podnóża góry Dole, pokrytej gęstym lasem, szumiącym jakimiś tajemniczymi głosami. Na szczycie góry uwidatniały się dwie płyty kamienne, oświetlone ostatnimi promieniami słońca.

— Panie! — zawołał giermek, wskazując na kamienie druidów, spojrz! Tam zebrał się lud cały! Teraz rozumiem, dlaczego wsie puste i dokąd poszli mieszkańcy! Zebrał się tutaj na uroczystość starych galijskich bogów! Przekłęci poganie!

W tych czasach bałwochwalstwo było jeszcze bardzo rozpowszechnione pomimo ciągłego nawracania pogan. Wszędzie wznoszono kościoły i klasztory, lecz lud nawiedzał je niechętnie. Stare bogi, Tentant i Korydwan wydawały się mu tak stałymi, jak niewzruszone były ich kamienne ołtarze na szczytach wzgórz. Z takim niemal zapalem, z jakim blisko w tysiąc lat potem w czasie rewolucyi, Bretania walczyła za wiarę katolicką i króla, wówczas broniła swych bogów. Karol Wielki podbił Bretanię, lecz nie mógł zupełnie zwalczyć jej wojowniczych mieszkańców, a po jego śmierci, nie czując już na sobie jego żelaznej ręki, Bretańczycy schodzili się znowu w ciemnych borach, przysłuchiwali się

tajemniczym głosom przyrody, która, jak im się zdawało, mówiła: Nie poddawajcie się, będziecie wolni!

— Panie — rzekł Landryk — ja dobrze wiem, jak poganie patrzą na nas, chrześcijan; w czasie swoich uroczystości stają się podobni do czartów, i nie oszczędzą nikogo! Musimy poszukać innej drogi. Panie, błagam cię przyjmij moją radę!

— Dobrze odpowiedział hrabia, pójdź poszukaj innej drogi przez las.

Giermek w towarzystwie sług, pojechał na poszukiwania, a hrabia, zostawszy sam, powoli zbliżał się do szczytu pagórka, z którego widać było całą okolicę zalaną promieniami słońca. Pomimo odległości, Eufaniusz widział dobrze wzburzony tłum ludzi, ruszający się i szumiący, jak morze. Potem nagle wszystko umilkło, i wszyscy, jak jeden człowiek, padli na kolana... W tej chwili wrócił giermek i oznajmił, że innej drogi, prócz tej, która przechodzi koło kamieni druidów, niema.

— Bóg zachowa nas w Swojej pieczy! — zawołał hrabia — i oni nie będą śmieli napadać na tego, który jedzie z rozkazu cesarza.

To powiedziawszy, ruszył naprzód. Landryk, przywykły do posłuszeństwa, gotów był na wszelkie niebezpieczeństwo i pojechał za panem; kazał służącym nie oddalać się i mieć oręż w pogotowiu.

Wjechali w gąszcz leśną u stóp pagórka i nie mogli widzieć tłumu, tylko krzyki wskazywały, że się doń zbliżają. Jeszcze jeden zakręt, i hrabia ze swoją świtą znalazł się o kilka kroków od wielkich kamieni. Wszyscy się obejrzel, i z tysiąca piersi wyrwał się okrzyk

niezadowolenia. Oręż zabłysnął i cały potok ludu naparł na rycerza. Eufaniusz obnażył miecz, dany mu przez mnicha, Landryk i słudzy przygotowali dzidy.

— Stójcie! — nagle rozległ się okrzyk z taką siłą, że wszystko umilkło. — Stójcie dzieci lasów! Bogowie, którzy mówią do was przez moje usta, każą wam czekać!

Tłum się rozstał i pozwolił naszym podróżnym ujrzeć kobietę z rozpuszczonymi włosami i sierpem złotym w ręce, stojącą na kamieniu druidów, *) na którego rogach paliły się pochodnie i rzucały na nią jaskrawy blask.

Kapłanka druidów była jeszcze młoda. Twarz jej biała nosiła na sobie ślady widocznego cierpienia, wysoki wzrost, dziwne ruchy, długie, rozwiane włosy, płonący blask oczu — wszystko nadawało jej pozór jakiejś nieziemskiej istoty.

Tłum ucichł przy pierwszym dźwięku jej głosu, nawet sama przyroda zdawała się jej słuchać: las przestał szumieć, a z pomiędzy obłoków wypłynął księżyc i zalał całą górę swoim bladem światłem. Kapłanka mówiła:

— Eufaniuszu Glej-Akwinie, możesz jechać dalej w pokoju! bogowie nie chcą twojej śmierci! szepcą mi, że z czasem staniesz się orężem w naszych rękach i że przez ciebie odzyskamy wolność!

— Czekaj — rzekł hrabia — ktoś ty? Zdaje mi

*) Druidami zwali się dawni pogańscy kapłani cel-tów, zamieszkujących północno-zachodnią część Gallii.

się, że cię gdzieś widziałem, lecz nie pamiętam gdzie i kiedy.

— Eufaniuszu — odpowiedziała kapłanka drżącym głosem — nie staraj się czytać w mojej twarzy i nie pytaj o moje imię. Cierpiałam dużo w moim życiu, a imię moje: Zemsta i Wolność.

* * *

— Panie — rzekł Landryk, kiedy już odjechali w głębokim milczeniu parę mil od góry Dole — dlaczego zamiast wysilać swoją pamięć, nie raczysz mnie zapytać?

— Czyż ty ją znasz? — zawołał Eufaniusz.

— Znam! Imię jej Morgana.

— Morgana... imię jednej z wróżek...

— A czyż niedobrze zastosowane? Ona sama wybrała sobie to imię, a prawdziwe jej imię wiadome niektórym tylko Bretończykom, którzy je starannie ukrywają.

— Ukrywają?

— Tak. Jestem bardzo ciekawy i chciałem się czegoś o niej dowiedzieć, lecz dowiedziałem się tylko tyle, że jest krewną Morgana i przysięgła pomścić jego śmierć i już od dziesięciu lat dąży do swego celu. Nie wiem w jaki sposób potrafiła wzbudzić takie zaufanie w ludności miejscowej, wiem tylko, że teraz uważają ją za bóstwo prawie. Ile tylko razy wszczyna się powstanie, ona zawsze jest jego przyczyną. Przez nią poległo już kilku mężnych naszych wodzów.

Hrabia słuchał uważnie swego giermka.

— W każdym razie — zakończył Landryk — prze-
czuwać coś niedobrego i z całej duszy chciałbym być
nie w Bretanii, lecz w Neustryi!

Nazajutrz rano życzenie giermka spełniło się.
Neustrya była wtedy zamieszкана przez galloromańskie
i frankońskie plemiona. Przez cały dzień podróży
nasi jechali spokojnie, rozkoszując się widokiem zielo-
nych dolin i pól, zasianych pszenicą. Na wzgórzach
bielały murowane domy, wszystko oddychało spokojem
i zadowoleniem. Lecz na drugi dzień zupełnie niespo-
dzianie natknęli się na straszny widok: przed nimi leża-
ły gruzy spalonej wioski, pola były wydeptane, owdzie
widać było trupy ludzi i zwierząt, a na horyzoncie ja-
śniała łuna pożaru. Ogromne języki ogniowe strzelały
wysoko ku niebu, otoczone kłębam dymu. Wokół ani
żywego ducha!

Pałając ciekawością dowiedzenia się, co to wszy-
stko znaczy, Eufaniusz przyspieszył jazdy, ponieważ wie-
dział, że znajduje się niedaleko starego miasta Baje.
Po upływie kilku godzin, miasto ukazało się w od-
daleniu.

Na samym wstępie ogromny tłum ludzi wyszedł
naprzeciw hrabiego. Widok tego tłumu zdziwił i za-
niepokoił Eufaniusza. W tłumie oprócz rycerzy byli
mieszkańcy miasta, rolnicy, i poddani. Wszyscy mieli
bogate łupy i jak widać było obchodzili uroczy-
stość wielkiego zwycięstwa. Chcąc wyjaśnić tę zagad-
kę, Eufaniusz przynaglił konia. Całym tłumem do-
wodził naczelnik miasta Baje, stary sługa hrabiego,
który opowiedział mu wszystko w kilku słowach. Od-

dział Normandów wysiadł na brzegu Neustryi i popły-
nął Sekwaną, miasto Rouen wziął podstępem i zburzył
je, poczem pustosząc kraj, paląc wioski, mordował mie-
szkańców, broniących swój dobytek, zebrany latami cięż-
kiej pracy. Dowiedziawszy się o tem naczelnik miasta,
zebrał okolicznych mieszkańców, uzbroił ich jak mógł:
w dzidy, kosy, toporki i nie tracąc czasu gonił wroga.
Zwyciężywszy oddział regularnego wojska, Normando-
wie czuli się bezpieczni i spokojnie wracali do zatoki
morskiej, gdzie stały ich wielkie łodzie. Nieoczekiwa-
ny napad zebranego na prędce oddziału, zmusił ich do
ucieczki. Zostawione łupy odebrali zwycięzcy i wracali
z tryumfem do domów, a jeden z takich oddziałów spo-
tkał hrabia w Bajach.

Opowiedziawszy to wszystko, naczelnik miasta za-
kończył temi słowami:

— Mam nadzieję, że teraz kraj na długo będzie
zabezpieczony od napadów normandzkich. Sława zwy-
cięstwa należy się hrabiemu Bayardowi, który i tym ra-
zem dał dowód wielkiej odwagi!

Hrabia Bayard! — zawołał Eufaniusz — ja wła-
śnie szukam go. Gdzie on się teraz znajduje?

— Niedaleko stąd, lecz niestety ranny!

— Czy rana niebezpieczna?

— Tak sędzę, lecz żeby się o tem naocznie prze-
konać, udaj się, panie, do zamku, gdzie odwieziono zwy-
cięzcę Normandów!

Odpuściwszy godzinę w Bajach, udał się hrabia
wskazaną drogą. Odległość nie była znaczną, to też

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

3

Dodatek do N-ru 3 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.



Wielka Biblioteka Publiczna

Starym młotku

zaledwie słońce chyliło się ku zachodowi, podróżni nasi stanęli przed mostem zwodzonym.

Zamek był ślicznie między wzgórzami położony, ale piękno natury nie zajmowało Eufaniasza, cała jego uwaga zwrócona była na czarną flagę, powiewającą na wieży. Przy bramie stała liczna straż, która miała rozkaz nie wpuszczać nikogo, lecz posłyszawszy nazwisko hrabiego w tej chwili spuściła mosty. Jeden ze straży wprowadził go do zamku i przeszedłszy cały szereg komnat, otworzył drzwi do ogromnej sali, której wspinały widok w zdumienie wprowadził gościa.

W głębi, na bogatym łożu, oparty o poduszki, siedział Bayard; szlachetną jego twarz pokrywała śmiertelna bladość, a przy łożu stał ksiądz z kielichem w ręku, dając umierającemu Komunię Świętą.

Z drugiej strony, zgromadzoną była rodzina Bayarda, pogrążona w boleści. Niedaleko łoża stał jego koń bojowy, którego rycerz chciał, wedle ówczesnego zwyczaju, widzieć po raz ostatni, u nóg zaś leżące trzy psy, podnosząc od czasu do czasu głowy, wyły żałośnie. Gdy ksiądz ukończył modlitwę za konających, Bayard z wysiłkiem podniósł powieki i rzekł:

— Zdaje mi się, że widzę tu hrabiego Eufaniasza!

— Czestny syn Karola W. wystąpił naprzód. Umierający uśmiechnął się do niego i wyciągając rękę, rzekł:

— Rad jestem, że w ostatniej chwili mego życia widzę tak dzielnego rycerza, przypomina mi to dni sławy, lecz jeśli masz mi co powiedzieć, to się spiesz, gdyż mało mi czasu zostaje.

Eufaniasz, wzruszony do łez widokiem umierającego, trzymał w ręku dwa miecze, a chcąc spełnić polecenie, wyjął jeden z pochwy i rzekł smutnym głosem: — Francya i Karol!

Posłyszawszy te słowa, Bayard drgnął. Gasnące jego oczy zapłonęły, usta zadrżały, odżył, zdawało się na widok oręża błyszczącego w słońcu, którego promienie wpadały przez duże okno. Miecz ten przyciągał go jak magnes; przeczytał słowa wyryte na stali, dotknął ręką oręża, wydał jęk rozpoczliwy, jęk konającego bohatera! Jakby odpowiadając temu zarzął bojowy koń Bayarda, lecz pan jego leżał nieporuszony. Jęki i płacze rozległy się w sali. Hrabina Bayard wyciągnęła rękę, tuląc jednym objęciem swoje dzieci do piersi, a dzieci tych było siedmioro — siedmiu synów.

Eufaniasz ukląkł przy łożu rycerza, roje wspomnień cisnęły mu się do głowy, usta bezwiednie szeptały modlitwę, a po opalonych policzkach spływały łzy.

Zwycięzca Normandów leżał, nie dając znaku życia, nagle poruszył głowę i z wielkim wysiłkiem przemówił:

— Eufaniaszu, przyjechałeś zapóźno... Lecz niech ten, który cię przysłał, nie myśli, żem danego zapomniał słowa, pamiętałem o niem całe życie!... Po mojej śmierci, na wezwanie jego stanie wkrótce dwóch synów moich.

Obróciwszy głowę w przeciwną stronę dodał:

— January, Beranger, zbliżcie się.

Dwaj śliczni, jasnowłosi chłopcy, oswobodziwszy się z objęć matki, stanęli przy ojcu. Byli to bracia bliźniaki, nie mający jeszcze lat dwudziestu.

— Synowie moi — rzekł umierający — weźcie ten miecz... weźcie go obadwaj, zastąpicie kiedyś waszego ojca!

Bracia położyli jednocześnie prawe ręce na rękojeści i razem spytali?

— Co mamy czynić? jesteśmy gotowi!

— Hrabia Eufaniusz powie wam. Jutro pojeździecie z nim.

Z piersi matki wyrwał się mimowoli okrzyk.

— Obowiązek przedewszystkiem, pamiętajcie dzieci — mówił Bayard.

Młodzieńcy skinęli potwierdzająco głowami; w oczach ich czytali obecni, że z godnością potrafią nosić imię wielkiego ojca, który był chlubą całego kraju.

— Dobrze, moje młode lwy — uśmiechnął się z dumnym zadowoleniem Bayard — słuchajcie mnie do końca! January przyszedł na świat pierwszy, pierwszy też przypaszesz ten miecz do boku i noś go dzień cały; drugiego dnia oddasz go Berangerowi, i tak po kolei piastować będziecie godło rycerzy. Gdyby który z was zginął, drugi musi spełniać dalej swój obowiązek. Jeżeli zaś umrzecie obaj, to musicie uprzedzić waszych towarzyszy, aby odesłali ten miecz matce waszej, która powinna tak wychowywać młodszych synów, ażeby potem nasz król mógł powiedzieć: hrabia Bayard nie umarł, żyje w swoich synach. Błogosławie was dzieci moje!

Synowie pochyleni całowali rękę ojca, którą tenże drżącą położył na ich głowach i błogosławił raz jeszcze.

Potem skinieniem przywołał Eufaniusza, cichym

głosem dał mu kilka poleceń względem swoich synów, prosząc, aby tymczasem zostały tajemnicą.

— Niechaj synowie moi będą twoimi. January i Beranger, słyszycie? Hrabia Eufaniusz zastąpi wam ojca.

Ręce obu braci wyciągnęły się przyjaźnie ku Eufaniuszowi. Twarz Bayarda jaśniała szczęściem, lecz siły opuszczały go widocznie.

— Dziękuję — rzekł słabym głosem — naucz ich przyjacielu, że największym wrogiem są Normandowie! Żegnam was! Ostatnie chwile życia poświęcę tej, która jest matką mych synów, a była mi wierną i miłą towarzyszką życia.

Tu ze strasznym wysiłkiem, wyciągnął ręce przed siebie, rozdzierający krzyk rozległ się w sali, nagle hrabina i jej synowie stanęli zdumieni, gdyż Bayard wyprostował się, położył rękę na mieczu i wyrzekł: „Francya i Karol!” W tych słowach zawierała się cała treść jego życia. Wszyscy rzucili się ku niemu, chcąc usłyszeć choć jedno jeszcze słowo, lecz on już nie żył. Stary rycerz poszedł za swoim cesarzem.

Po dwóch dniach Eufaniusz opuszczał pogrążony w żałobie zamek, uwożąc z sobą Januarego i Berange-ra. Przy pożegnaniu matka powiedziała hrabiemu:

— Ojciec powierzył ich twojej opiece, szlachetny rycerzu, i ja ci ich oddaję, oni teraz twoi, czuwać nad nimi.

I raz ostatni przytuliła do piersi dzieci swoje.

III.

Już w IX wieku Ren nosił nazwę starego Renu, albowiem wielka ta rzeka świadkiem była wielu strasznych walk i wielkich zwycięstw. Widziała Cymbrów, idących na Rzym, i rzymskie legiony, walczące z dzikimi plemionami; Cezara przychodzącego z Rzymu dla zawojowania całej Europy. Dwa wieki później krzyż chrześcijaństwa zajaśniał na jej brzegach, a krew męczenników poświęciła falą. Potem znowu przyszli barbarzyńcy: Germanowie, Westgotowie, Burgundowie i Frankowie. Wszystkie te narody walczyły z sobą wzajemnie, na dolinach nadreńskich, stworzonych zda się dla walk ustawicznych. Ostatnim wojownikiem barbarzyńcą, który przeszedł rzekę, był Attyla z całą falą Hunnów; lecz Frankowie nie poddali się najeźdźcom, i Ren znów widział ich ucieczkę. Z kolei Francya zapragnęła zwycięstw i Karol Wielki pojawiał się na brzegach Renu, to w roli obrońcy ojczyzny, to w roli dumnego zwycięzcy. Lecz z chwilą śmierci wielkiego wojownika i prawodawcy, nastała cisza i martwota niczem nie naruszona. Fale Renu płynęły spokojnie, cicho do dalekiego morza, z szmerem legend pośród unoszących się nad wodami; uśpione zdawały się przysłuchiwać, czy nie dolatuje ich skąd szczęk oręża i tentent koni, lub wypatrywać, czy nie odbijają się w nich łuny pożaru.

*

**

*

Wieczorem 17-go lipca 833 roku hrabia Eufaniusz stanął nad brzegiem Renu, na wskazanem mu przez mnicha miejscu. Nie spóźnił się ani na chwilę. Kiedy konia zatrzymał, jednocześnie na przeciwnym brzegu ukazała się łódź i skierowała ku tej skale, na której stał nasz podróżny. W łodzi było trzech ludzi: rycerz i dwaj wiosłarze. Wiosłarze byli to niewolnicy afrykańscy, którzy spokojnie i obojętnie wiosłowali, lecz rycerz zwracał na siebie uwagę: był on wysokiego wzrostu, z długimi, jasnymi włosami takąż brodą i niebieskimi oczami; był on bezwątpienia pochodzenia germańskiego. Siła, piękność, śmiałość, rozum, widniały z jego postaci. Był jeszcze młody, lecz zmarszczki pokrywały mu czoło, a bledłość twarzy i gorzki uśmiech świadczyły, że ciężką troskę nosił w sercu. Stojąc na brzegu łodzi, owinał się płaszczem brązowym i pogrążył w głębokiej zadumie. Gdy łódź wypłynęła na środek rzeki, spuścił przyłbicę.

Tymczasem Eufaniusz i jego towarzysze zeskończyli z koni i mimowoli zachwycali się krajobrazem: wspaniały Ren wił się po dolinach, pienił i spadał w kaskadach, lub rozlewał się szeroko, oświetlony czerwonym blaskiem zachodu. Wśród wody wznosiła się wyspa Nonnenwert, której brzegi bielili się przezroczyście pianą całość, tonęła w zieloności, a między piramidalnemi topielami przeświecały białe mury klasztoru. Wszystko nadawało tej miejscowości pozór poetycznej melancholii. Szmer fali, powiew wiatru, szelest liści, zlewał się w jedną harmonię, nastrajając duszę do uroczystej modlitwy wieczornej.

Nareszcie łódź przybiła do brzegu.

— Francya i Karol — wymówił rycerz w żelaznej przyłbicy.

— Francya i Karol — odpowiedział Eufaniusz i obnażając miecz do połowy, schodził do łodzi.

Już rycerz dał znak wioślarzom, żeby odbili od brzegu, gdy Eufaniusz zwrócił jego uwagę na dwóch młodzieńców, którzy powtórzyli czarodziejskie hasło:

— Francya i Karol!

— Dwóch? — zauważył zdziwiony nieznajomy.

— To są synowie hrabiego Bayarda, objaśnił Eufaniusz, ojciec ich umierając...

— Hrabia Bayard umarł! Jego synowie tutaj? niech wejdą — mówił zdumionym głosem rycerz pod przyłbicą.

Głos ten wydał się Eufaniuszowi znajomym.

Łódź tymczasem wypłynęła znowu na środek rzeki, wtedy rycerz podniósłszy przyłbicę zawołał wesoło:

— Podajmy sobie ręce przyjaciele.

— Hrabia Robert! — zawołał uradowany Eufaniusz, przysięgam na zbawienie duszy, że cię odrazu poznał!

Dawni towarzysze broni objęli się i uściskali serdecznie.

January i Beranger pochyliłi z uszanowaniem głowy, usłyszawszy to sławne imię półgłosem do siebie mówili:

— Brat Genowefy! naszej przyjaciółki z lat dziecięcych.

Hrabia Robert zwrócił się teraz do nich i z serdecznem współczuciem zapytał:

— Opowiedźcie mi dzieci o waszym ojcu! Jakie były jego ostatnie chwile? Jakie było ostatnie życzenie?

Obaj bracia, ze łzami w oczach, szczegółowo opowiedzieli wszystko. Głęboko wzruszony tem co słyszał, hrabia Robert wyciągnął do nich rękę i rzekł:

Moi młodzi przyjaciele, zawsze i wszędzie możecie liczyć na mnie! Ojciec wasz ocalił mi życie, a matka wychowała siostrę na cnotliwą kobietę!

Ponieważ łódź przybiła już do przeciwnego brzegu, hrabia Robert wyskoczył pierwszy, towarzysze poszli za jego przykładem.

— Przybyliście ostatni — rzekł hrabia Robert — wyprzedziłem was trochę, dlatego wy musicie iść za mną, tak jak ja za tymi, którzy przedemną przybyli! Chodźmy.

I szybkim krokiem poprowadził towarzyszy do puszczy leśnej. Po kwandransie męczącej drogi zaczęła przeświecać polana, na której rozróżnić mogli dwie ludzkie postacie. Byli to dwaj uzbrojeni rycerze, w hełmach i spuszczonej przyłbicy.

— Francya i Karol! — wymówiła posępnie tajemnicza straż.

Francya i Karol! — odpowiedział hrabia Robert, ustępując z drogi swoim trzem towarzyszom.

Płomień pochodni oświecił siedm zbrojnych postaci, pochodnię trzymał mnich w kapturze, spuszczo-

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

4

Dodatek do N-ru 4 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

nym na twarz, lecz mimo to poznał w nim Eufaniusz oddawcę miecza w zamku Glej.

— Odsłońcie miecze! — zawołał mnich rozkazującym tonem, a gdy to uczyniono — cześć wam szlachetni rycerze — mówił dalej — żeście, dotrzymując przysięgi, rzucając rodzinne węzły, nie zważając na niebezpieczeństwa i przeszkody przybyli tutaj. Tajemnica, która nas dotąd okrywa, musi teraz zniknąć; w tym celu stawajcie po kolei przy moim prawym boku z obnażonym mieczem, wymieniając imiona swoje.

Zapanowało milczenie, nikt nie śmiał wystąpić pierwszy. Nakoniec podszedł do mnicha człowiek lat podeszłych, który zachował młodzieńczą siłę i energię.

— Oto miecz — powiedział on — który mi oddano. Imię moje Henryk Bethune.

Z temi słowy włożył miecz do pochwy.

Drugi rycerz uczynił to samo. Był to Wilhelm Duplessis.

Trzecim z kolei był palatyn, w całym blasku siły i piękności rycerskiej. Hervé de Latour, potomek sławnego Vercingetorix'a, ostatni przedstawiciel plemienia Arwenów.

Za nim cicho wymówiono imię Bertolda Fryzona, strasznego marynarza, o którym krążyło mnóstwo podań. Jego to waleczność strzegła granic cesarstwa od napaści Normandów i Saracenów.

Potem ukazał się Wilon Burgundczyk.

Za nim postępowali Hugo i Drogo, ulubieńcy Karola Wielkiego. Jeden z nich był biskupem Metzu, drugi opatem.

— Dotrzymując przysięgi — mówili oni — przywdzieliśmy na nowo zbroję.

Nareszcie przyszedł kolej na hrabiego Roberta i Eufaniusza, który opowiedziawszy o zgonie Bayarda, przedstawił jego dwóch synów.

— Młodzieńcy — rzekł mnich — radzi widzimy was tutaj, lecz że macie jeden tylko miecz, pójdziecie za mną, a znajdziemy drugi.

Na przeciwległej stronie polany, na skraju lasu, leżał stos świeżo zebranych gałęzi. Na znak dany przez mnicha, młodzi bracia odgarnęli je, odsłaniając wysoko wysłaną mogiłę. Na niej leżała żelazna rękawica, trzymająca miecz. U wezglowia była marmurowa deska z greckim napisem. Mnich zbliżył pochodnie i zwracając się do opata, rzekł:

— Hugonie, uczonym jesteś, przeczytaj!

Opat czytał głośno:

„Ja, potomek Juliusza Cezara, którego Grecy nazywają Kalimeros, co znaczy: piękny los, chcąc zostać wiernym danemu przyrzeczeniu nawet poza grobem, zostawiam jako zastępcę ten miecz, który niech podźwignie ten, którego uznacie godnym rycerskiego znaku. Chwała żywym, a modlitwa za umarłych!”

Tu wszyscy w milczeniu ukłękli, a kiedy skończyli modlitwę i powstali, mnich wyjął z objęć żelaznej rękawicy miecz i rzekł, zwracając się do bliźniat:

— Dzieci, oto macie drugi miecz! Jesteśmy teraz zebrani w komplecie, ja jestem dwunasty!

Domawiając tych słów, zdjął habit i z mnicha stał się rycerzem, którego wszyscy poznali, wołając chórem:

— Eginhard! Eginhard!

W rzeczy samej był to sekretarz Karola Wielkiego, powiernik jego tajemnic i mąż jego córki. Z początku panowania Ludwika usunął się on od dworu, a po śmierci pięknej Irmy, zamieszkał w klasztorze; opuścić go musiał teraz dla nadzwyczajnych jakichś przyczyn.

Wszystkie ręce wyciągnęły się, szukając jego prawicy, a po chwili obrano go jednomyślnie wodzem.

— Może jest ktoś godniejszy — rzekł Eginhard spokojnie — i jeśli go znajdziemy, będziemy niezwyśleżeni!

— Jego imię? jego imię?

— Cierpliwości, dozwiecie się za godzinę. Niedaleko stąd znajdziecie nakryty stół; czekajcie tam z pułharem w ręku, a gdy usłyszycie trzykrotny odgłos tego rogu — tu Eginhard wskazał na róg wiszący u jego pasa — śpieszcie do mnie, a zobaczycie swego dowódcę!

Powiedziawszy to, powoli wchodził na górę, na której szczycie, stała uboga chatka. Zbliżywszy się, bez najmniejszego szelestu, dotknął z lekka ramienia pustelnika, wymawiając jedno tylko słowo: Rolandzie!

Znaczenie tego imienia? Imienia bohatera, synowca Karola Wielkiego, tego zadziwiającego pallatyna, o którym poeci śpiewali jak o półbogu; tego Tezeusza chrześcijańskiego, tego Achillesa Zachodu?

Eginhard stał chwilę i powstrzymując wzruszenie, patrzył na pustelnika.

— Rolandzie — powtórzył ze smutkiem — Rolandzie, czy mię nie poznajesz?

— Kto nie należy do tego świata — odpowiedział anachoreta — zapomina o przeszłości i o przyjaciółach! Roland umarł! Nie należę do was.

— Lecz wrócisz, gdy mnie posłuchasz, Karol Wielki ci to rozkazuje! On przed śmiercią zrozumiał, że ręka Ludwika nie będzie dość silna, aby prowadzić dzieło przez niego zaczęte. Niepokojony tą myślą, ujrzał raz we śnie trzynaście postaci, a raczej cieni, i usłyszał głos, mówiący: „Ci ludzie, lub ich potomkowie będą zbawcami Francji!” Widzenie znikło i cesarz się obudził. Znał dobrze tych ludzi, którzy mu się we śnie ukazali, i dawno marzył, aby im powierzyć wielką sprawę Franków. We śnie trzynaście razy błysnął znajomy mu miecz. Był to twój miecz, Rolandzie, twój niezwyjęty Durandal, który nie mógł się strząsnąć o Ronsewalskie skały. Lecz gdzie go szukać? Karol wielki poruszył się niespokojnie na łożu, i ręka jego nagle spoczęła na zimnej stali. O cudo! był to Durandal, który położyła jakaś tajemnicza, niewidzialna ręka. Cesarz nazajutrz rozkazał wykuć dwanaście podobnych mieczy, Już po miesiącu były gotowe. Wtedy Karol zebrał koło siebie tych ludzi, których cienie widział we śnie, i od każdego z nich odebrał przysięgę; treści jej powtarzać ci nie potrzebuje, znasz ją bowiem.

— Prawda — odpowiedział pustelnik, powstając z klęcznika — pamiętam. Dwadzieścia lat przeszło od tego czasu, włosy moje posiwiały, i teraz...

— Teraz — przerwał mu Eginhard — ojczyzna nasza jest w niebezpieczeństwie. Trzej synowie cesarza Ludwika podnieśli oręż przeciwko ojcu. Korzysta-

jąc z tego, Normandowie, Bretańczycy, Sasi i Saraceni napadają ze wszystkich stron. Myślę, że nastąpił czas spełnienia przysięgi. Miecz twój jest u mnie, ten właśnie, który służył za wzór dla innych, Rolandzie, twój Durandal!

Przy tych słowach, Eginhard odrzucił płaszcz i podał pustelnikowi miecz, który cudem wrócił do rąk Karola Wielkiego, a miał teraz służyć ku obronie jego monarchii.

— Mój miecz Durandal! — zawołał Roland i w upojeniu szczęścia podniósł stal do ust.

Eginhard wziął róg i zatrąbił.

— Co robisz? — pytał zdziwiony pustelnik.

— Przywołuję wszystkich wybranych, przyzywam całą oddział Karola Wielkiego.

Zadzwieć róg po raz drugi. Wahanie odmalowało się na twarzy Rolanda.

— Mam już blisko 60 lat — powiedział — oprócz tego jest niewiasta, której przysiągłem...

— Tealda! — zawołał Eginhard — ona została zakonnicą, dowiedziawszy się o twojej śmierci. Oprócz tego wiedz, że ten właśnie, który jej przyniósł wiadomość o twym zgonie, jest teraz duszą spisku.

— Hanelon! Hanelon! — krzyknął bohater, uczuwszy dawny ból w sercu. Myślałem, że go już spotkała kara za jego zbrodnie.

— On również jak i ty w cudowny sposób uniknął śmierci. Opowiem ci kiedyś wszystko, a teraz pamiętaj, że on żyje i że twoja zemsta...

— Milczenie! — przerwał mu surowo pustelnik..

Słowo, któreś wyrzekł, musi być wymazane z mego serca, które Bogu jedynie poświęciłem! Lecz opuszczę tę chatę, mimo że myślałem, iż będzie mi już schronieniem do śmierci. Pójdę dopełnić przysięgi!

— Zgadzasz się?

— Karol i Francya! — uroczyście rzekł pustelnik.

I starzy przyjaciele rzucili się sobie w objęcia. Po chwili milczenia, Roland rzekł:

— Daj mi mój miecz i zbroję.

Eginhard z radością spełnił rozkaz, pustelnik zmienił się już w rycerza, kiedy róg zadzwieć róg po raz trzeci.

I wnet hrabia Eufaniusz, hrabia Robert, January i Beranger, Bethune Duplessis, Herve de Latour, Hugo, Drogo, Bertold i Wilon stanęli koło chaty.

— Oto nasz wódz! — powiedział Eginhard. — Czy poznajecie w nim bohatera nad bohaterami, którego wszyscy uważali za poległego w Ronsewalskim wąwozie, a tymczasem niebo zachowało go nam dotąd.

— Roland! — zawołali wszyscy.

Starzy poznali go, a młodzi domyślili się. Przed chwilą zgarbiony pustelnik, na widok miecza stał się dawnym lwem. Wysoki wzrost, srogi wyraz twarzy, ogniste wejrzenie, wszystko wróciło od razu. Wyglądał znowu tak, jak w Ronsewale, tylko siwa broda świadczyła, że upłynęło w Renie dużo wody od tego czasu.

— Gdzie się cesarz znajduje? — spytał Roland, czując przy boku swego Durandala i dwanaście mieczy jemu podobnych dokoła siebie.

— W Argentary — odpowiedział Eginhard.

— W drogę! — zakomenderował dowódca.

W godzinę potem, węglarze zamieszkujący nadreńskie lasy widzieli trzynaście tajemniczych cieni, przepływających się wśród ciszy nocnej przez Ren.

Roland wszedł ostatni do łodzi; Eginhard wiosłował, i stojąc patrzył na klasztor na wyspie Nonnenwert, gdzie w oknie błyszczało światelko, a usta jego szeptały: „Tealdo! Tealdo... wróćę wkrótce, wróćę, żeby z tobą umrzeć!”

IV.

Równina koło Argentary przedstawiała dziwny widok.

W kierunku Bazylei widać było niezliczoną ilość zamków, które pomimo wczesnego ranka, były otwarte. Dolatywały z nich pieśni żołnierskie i żarty wypowiedane ochrypłymi głosami. Wszystko to dowodziło, że noc nie była odpoczynkiem dla synów cesarskich, ale chwilą uczt i wesela.

Z przeciwnej strony, od Kolmara, stał tylko jeden duży namiot cesarski Ludwika Dobrotliwego. Pomimo wczesnego ranka, cesarz już oddawna klęcząc, modlił się.

Był to starzec wspaniałego wzrostu, o bladej twarzy i siwych włosach, spadających na czoło, z łagodnym uśmiechem i wejrzeniem. Nieszczęścia więcej niż wiek pokryły czoło jego zmarszczkami, a włos siwizną. Bardzo podobny do ojca, nie dzielił losu Karola Wielkiego. Rzecz dziwna, przez 34 lata był on potężnym rządcą

Akwitanii. Lecz gdy na drugi dzień po zwycięstwie nad królem Morwanem, Burgundowie podali mu puchar wina, zmienił się do niepoznania. Wpadł w taką ościęźłość, że ruchy jego stały się automatyczne, stracił zupełnie śmiałość i energię. Co było w pucharze? nikt tego nie doszedł, a kroniki tak o tem piszą:

„Nigdy już potem nie widziano na twarzy jego uśmiechu; nawet w czasie uczt, nawet kiedy kuglarze rozweselali jego gości, on zawsze był zamyślony; całymi godzinami płakał i modlił się, leżąc na kamiennej posadzce kościelnej. On, który dawniej nie miał równego sobie w strzelaniu z łuku i rzucaniu oszczepem, odtąd szukał stale samotności; korona ciążyła mu, to też zaledwie synowie dorośli, oddał im całe państwo. Synowiec cesarza, Bernard, król włoski, uważając się za pokrzywdzonego podniósł oręż, gdyż będąc także wnukiem Karola Wielkiego, miał nadzieję otrzymać część monarchii nieszczęśliwego Ludwika. Lecz nadzieje Bernarda nie spełniły się.

Opuszczony przez swoich, pobity w pierwszej bitwie, uwierzył zapewnieniom cesarzowej Hermengardy, która oddawna chciała go zgubić, i poddał się. Natychmiast został zamknięty w więzieniu, a potem Frankowie, zebrani na sejm, osądzili go na śmierć. Wprawdzie król Ludwik darował mu życie, jednakże Hermengarda intrygami swemi dokazała, że wylupiono mu oczy, co zresztą było wtedy w zwyczaju, a uczyniono to z takim okrucieństwem, iż nieszczęśliwy w kilka dni umarł.

Fakt ten pogorszył stan nieszczęsnego Ludwika;

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

5

Dodatek do N-ru 5 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

myśl, że przelał krew potomka ojca swego, że ściągnął tem na siebie przekleństwo, nie dawały mu spokoju. Śmierć Hermengardy, która nastąpiła wkrótce, była pierwszą karą nieba. Ludwik, przez cały rok był jak obłąkany. Krwawe widma, przypominające mu okrutną śmierć Bernarda, nie opuszczały go. Jedyne miejscem, w którym doznawał uspokojenia, był klasztor, dlatego też, podobnie jak wuj Karloman, postanowił zostać zakonnikiem. Lecz zamiar jego nie przyszedł do skutku, gdyż ulegając prośbom poddanych, musiał się drugi raz ożenić.

Wybór padł na córkę hrabiego bawarskiego, Judytę, młodą i piękną. Po ślubie cesarz odzyskał dawny spokój i szczęście. Po jakimś czasie urodził im się syn, którego ochrzczono imieniem Karola. W porywie szczęścia, król ślubował publiczną pokutę, i na placu, przed licznie zebranych ludem, wyznał głośno zabójstwo Bernarda i inne grzechy, mimo, że biskupi przekonywali go i dowodzili, iż szczerą i ciężką pokutą zmazał swoje winy. Frankowie nie mogli mu przebaczyć pewnego poniżenia cesarskiej godności, a synowie Hermengardy, domyślając się, że ojciec da nowonarodzonemu synowi czwartą część państwa, uszczuplając przez to ich posiadłości, chcieli przeszkodzić temu podziałowi, i korzystając z niechęci narodu ku monarsze, starali się wszędzie podburzać umysły przeciw Judycie i jej synowi.

Stary cesarz kochał synów z pierwszego małżeństwa, ale szczególną miłość żywił do małego Karola i jego matki, gdyż umieli go oboje pocieszać w ciężkich chwilach życia. Niezgoda, wynikła w rodzinie, była dla

Ludwika ciężkiem zmartwieniem; przykładał wszelkich starań, żeby pogodzić zwaśnionych, ale usiłowania jego były daremne. Czuł, że musi z tego wyniknąć najstraszniejsza z wojen—wojna domowa, i ze strachem przewidywał jej następstwa.”

* * *

Zasłona cesarskiego namiotu rozchyliła się i u wejścia stanęła piękna kobieta, stworzona zda się do noszenia korony. Była to cesarzowa Judyta. Szła powoli, z zachwycającym wdziękiem, i zatrzymała się przy małżonku. Ujrawszy smutek i łzy na jego twarzy, oczy jej także napełniły się łzami, nachyliła się i pocałowała go w czoło.

W tej chwili wybiegł z namiotu piętnastoletni chłopiec, blady i wątły; podbiegł do cesarza i tuląc się doń:

— Dzień dobry, ojcze! — zawołał wesoło, lecz po chwili dodał zmienionym głosem—ty płaczesz, ojczulku?

Nieszczęśliwy monarcha starał się uśmiechnąć i, obsypując syna pieszczotami, rzekł przez łzy:

— Nigdy, nigdy nie będę płakał, póki ty, mój Karolu, moja jedyna pociecho, moje szczęście, jesteś ze mną!

Judyta postąpiła parę kroków, i rzekła tonem łagodnej wymówki:

— Jesteś niesprawiedliwy względem twojej wiernej przyjaciółki, Ludwiku!

— Przebacż Judyto! Przebacż! Jesteś tak dobra, jak piękna! Kocham was oboje wszystkimi siłami mego zmęczonego serca!

Wstał z kłęczek i otoczywszy jej kibić ramieniem, mówił ze smutkiem:

— Ach, czemu miłość moja przyniosła ci nieszczęście?

— Nieszczęście? — zawołała cesarzowa — czemu tak mówisz, Ludwiku. Któż dał do tego powód?

— Judyto!

— Nigdy nie mówiła ci, że jestem nieszczęśliwa. Szczęśliwą jestem, mając takiego dobrego męża i syna; ale może ty masz jakiś żal do mnie?

Cesarz z miłością spojrzał na żonę i po chwili dodał:

— Wasza obecność dowodzi, że słońce już weszło, a nie widać dotąd nikogo, nie słysząc nawet najmniejszego szelestu.

Judyta zwróciła się ku wejściu, gdzie w tej chwili zasłona się uchyliła i ukazało się złotowłose, młode, wysmukłe dziewczę, ze słodkim uśmiechem na ustach i dużymi, błękitnymi, jak niezapominajki, oczami. Że nie była służebnicą, widać to było po jej stroju, który się różnił od ubrania cesarzowej tylko tem, że nie miała dyademu, jaki zdobił głowę Judyty, zresztą wszystko było takie same.

— Drogo moja — powiedziała cesarzowa — każ komukolwiek przywołać tutaj paziów cesarskich.

— Miłościwa pani, przychodzę z twoich komnat — odpowiedziała młoda dziewczyna — nie ma tam i żywej duszy! nie rozumiem co to znaczy. Pójdę sama spełnić rozkaz.

I poszła do namiotu paziów, lecz wróciła zaraz ze zdziwieniem na twarzy.

— Niema tam nikogo — mówiła — wołałam, lecz nikt się nie odzywał.

— To dziwne — wyszeptał cesarz, a zwróciwszy się do syna powiedział:

— Karolu, zawołaj straż!

Młody książę z pośpiechem pobiegł ku wejściu, lecz wyrzawszy tylko z namiotu, wydał okrzyk zdziwienia.

— Co się stało? — pytali wszyscy razem.

— Patrzcie — rzekł Karol, uchylając zasłonę.

Wtedy dopiero stary Ludwik zobaczył, że przez noc opuścili go zdradziecko przyjaciele, słudzy i wojsko. Przez chwilę trwało złowrogie milczenie, wszyscy czworo patrzeli z niemym przestraszaniem.

— To niepodobna! — zawołał w końcu cesarz — chyba dostałem pomieszania zmysłów, lub widzę wszystko to we śnie. Kto mi wytłumaczy, co to znaczy?

— My! — odpowiedziały razem dwa szydercze głosy.

Z głębi namiotu wysunęło się teraz dwoje ludzi: mężczyzna i niewiasta. Mężczyzna cały zakuty w żelazo, ze spuszczoną przyłbicą i obnażonym mieczem; niewiasta w czerni, z długim, czarnym woalem i zapaloną pochodnią w dłoni.



V.

Na widok tych dwóch tajemniczych postaci, jakby wyrosłych z pod ziemi, cesarz szybkim ruchem ręki przytulił do siebie żonę i syna, a młoda przyjaciółka cesarzowej postąpiła naprzód i zasłoniła sobą Judytę.

Odzyskawszy przytomność umysłu, stary Ludwik, zwrócił się do nieznanym z prawdziwie monarszą godnością:

— Po co tu przychodzicie? Czego ode mnie żądacie.

Kobieta w czerni podniosła pochodnię, której płomień zagorzał żywiej.

— Czego żądamy — odrzekła — chodź spojrzij na moją twarz, ona cię objaśni — mówiąc to podniosła woal.

— Bertrada! — zawołał Ludwik, odstępując i spuszczaając głowę na piersi.

— Tak, Bertrada, wdowa po Bernardzie — wymówiła powoli, jakby rozkoszując się uczynionem wrażeniem; oczy jej pałały nienawiścią i zemstą.

— Imię Bernard przeraża cię? Bernard! mój biedny Bernard!... Ludwiku, wszak to był brata twego syn... wnuk i żywy obraz Karola Wielkiego. A ty kazałeś wylupić mu oczy... zabiłeś go, i myślałeś, że wszystko się na tem skończy! Nie! Jam przysięgła cieniem Bernarda zemścić się, a dzień tej zemsty nadszedł! Nie zapomnę tej chwili, kiedy na klęczkach błagałam cię, a tyś odrzucił moją prośbę! Nie spodziewaj się

ode mnie litości, ty jej nie miałeś dla Bernarda! Umrzesz ty, umrze żona twoja i syn twój. Tym razem nie cię nie ocali!

Złożywszy ręce na pierściach, Bertrada patrzyła na cesarza z nienawiścią. Karol silniej jeszcze przytulił się do ojca, Judyta zakryła twarz rękami, a tylko młoda dziewczica miała tyle odwagi, że spoglądała prosto w oczy mścicielki.

Stary cesarz podniósł głowę i rzekł:

— Bertrado, mógłbym ci dowieść, że nie jestem winien zbrodni, którą mi wyrzucasz, lecz nie chcę obmawiać umarłych. Możesz powiedzieć, że władca odpowiada za wszystko; prawda, tysiąc razy prawda. Mógłbym ci jednak przypomnieć, że pokutowałem ciężko za ten grzech, że oprócz wyrzutów sumienia, zniosłem upokorzenie pokuty publicznej, i mam nadzieję, że Bóg przebaczył mi tę winę. Rozumiem, że mi nie przebaczysz i chcesz się zemścić, lecz mścij się na mnie jednym.

Bertrada chciała mu przerwać, lecz Ludwik zapytał nagle:

— Kto jest twój towarzysz?

Nieznamy postąpił naprzód, podniósł przyłbicę, z pod której ukazała się twarz palająca gniewem i nienawiścią.

— Ludwiku — rzekł zuchwale — czy poznajesz mnie?

Cesarz wyprostował się majestatycznie i odrzekł:

— Tak, poznaję cię! Ty, przekupiony przez Saracenów i Gaskończyków, wydałeś im całą armię Franków. Ty jesteś Hanelon, nieprawdaż? Hanelon, któ-

rego ja zgodnie z prawem Franków skazałem na poćwiartowanie za zdradę ojczyzny! Pamiętam cię do brze! Ustępując prośbom twoich krewnych, wypuściłem cię na miesiąc z więzienia, z warunkiem, że wrócisz doń w oznaczonym czasie. Nie wróciłeś, a zamiast ciebie zginęli wszyscy twoi krewni! Nie dziwię się, że przychodzisz teraz do mnie z orężem w rękę. Poznałem cię i zrozumiałem! Dlaczego nie miałbyś przyjść, kiedy wiedziałeś, że tutaj znajdziesz starca, dwie kobiety i dziecko. Hanelonie, jesteś podłym zdrajcą!

— Jestem Hanelon, jesteś podłym zdrajcą! — zawołał czerwony od wstydu i gniewu zbój, podnosząc miecz na cesarza.

— Wstrzymaj się — rzekła Bertrada — krew tę nie my przelejemy.

Ludwik patrzył zdumiony, a ona w mgnieniu oka podpaliła namiot pochodnią, i odciągając cesarza na bok, zawołała:

— Chodź tu i słuchaj!

Zdala dochodził ich szmer wzrastający z każdą chwilą.

— Co to jest? — zapytał cesarz zdjęty nieopisaną trwogą, tuląc silnie do piersi żonę i dziecko.

— Patrz — rzekła Bertrada, wskazując ręką na wschód zaledwie zaróżowiony pierwszemi promieniami słońca.

Ludwik, Karol i obie kobiety ujrzeni w dali ogromną, gromadę ludzi, ruszającą się jakby w zamieszaniu, spowodowanem widocznie sygnałem danym przez pożar namiotu cesarskiego.

Nieubłagana Bertrada ciągnęła dalej:

— To są żołnierze, najemnicy, zapłaćeni przez nas. Za chwilę staną tutaj. Będą głusi i ślepi, jak los, będą nieubłagani i okrutni jak twoi siepacze Ludwiku. Bez wyrzutu sumienia, bez litości zabiją ciebie i twoich... rozszarpiają was. Winną twej śmierci będzie ta tłuszcza, niezadowolona z niedołężnych rządów twoich. Żegnam cię, Ludwiku!

Na dany przez nią znak, Hanelon zagwizdał. W tej chwili ukazał się Maur, wiodący dwa konie bojowe.

— Bertrado! — zawołał stary cesarz, którego duma złamała się przed groźącym nieszczęściem — Bertrado, niech ja zginę, lecz oszczędź ich!

Błagającym wzrokiem patrzył na mścicielkę, pokazując ręką Judytę i Karola. Zdawało się jednak, że Bertrada nie słyszy błagania, gdyż równocześnie ze swym towarzyszem dosiadała konia. Łkanie przerywało mowę Ludwika, który wołał za nią:

— Bertrado, oni niewinni! Judyta była jeszcze w Bawaryi, Karola nie było na świecie, kiedy twój Bernard umarł. Bertrado, nie każ mi patrzeć na śmierć syna mego. Na kolanach błagam cię, Bertrado, zachowaj tych, których kocham!

Suchy i szyderczy śmiech był na razie odpowiedzią. Po chwili mścicielka rzekła:

— Ja także błagałam dwadzieścia lat temu! Bernardzie, patrz dzisiaj na moją zemstę.

I razem z towarzyszem popędziła galopem.

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

Dodatek do N-ru 6 *Wieczorów Rodzinnych* 1901 r.

— Bertrado! Bertrado! — wołał jeszcze nieszczęsny starzec!

— Niema litości! — krzyknął z konia Hanelon.

Zrozpaczony Ludwik widział zbliżający się zbrojny hufiec, rozróżniał nawet już twarze.

— Judyto! — wołał głosem przerywanym przez łkanie — mówiłem ci, że jestem przyczyną wszystkich nieszczęść naszych, a nawet śmierci!

— Nie myśl o mnie — mówiła nieszczęsna matka — szukajmy ratunku dla naszego syna, Ludwiku!

— Ratować go... ale jak?

Siepacze zbliżali się coraz szybciej, niektórzy wchodzili już na wzgórze. Cesarzowa przyciskała nerwowo ręce do rozpalonej głowy, jakby szukając tam ratunku; nagle zwróciwszy się do młodej dziewczycy, zawołała:

— Uciekaj z Karolem!

— Uchodźmy uchodźmy! — mówiła gorączkowo młoda dziewczyna, biorąc za rękę Karola, lecz zaledwie zrobili parę kroków, nadchodzący tłum zagroził im drogę, ucieczka stała się niemożliwą. Ludwik, błydy i drżący, przytulił syna do piersi, który spokojny przez cały czas, teraz instyktownie szukając ocalenia, tulił się do ojca i wołał rozpaczliwie:

— Ojcie schowaj mnie! schowaj pod swój płaszcz! Judyta tymczasem żegnała przyjaciółkę.

— Ty nie jesteś skazana na śmierć — mówiła — oni cię oszczędzą, tyś niewinna zupełnie.

— Przysięgam żyć i umierać z wami — odpo-

wiedziała bohatersko dziewczica — jestem gotowa na wszystko! — mówiąc to rzuciła się w objęcia cesarzowej.

A tłum, jak fala, coraz gwałtowniej oblegał wzgórze.

— Niema nadziei! — odezwał się Ludwik ze spokojem właściwym męczennikom — ukłękniemy i módlmy się.

Obie kobiety i syn poszli za jego wezwaniem. Widok tych bezbronnych ludzi, którym jedynie modlitwa i pojednanie z Bogiem pozostało, rozbroiłyby każdego, lecz tutaj znajdowały się wyrutki różnych narodowości: byli Bawarowie, Sasi, Hunnowie, Słowianie, okryci skórą, wreszcie miejscowi węglarze z długimi toporami, niewolnicy, którym przyrzeczono wyzwolenie. Bertrada mówiła prawdę: cały ten tłum był rozszalały i pijany.

Stary cesarz próbował przemówić do ludu, ale nie słuchano go, wtedy złożył ręce i błagalnym wejrzaniem wskazywał na żonę i syna. Darmo, ani piękność Judyty, ani młodość Karola nie zatrzymały tłumy, który coraz stawał się groźniejszy.

Ludwik zakrył oczy rękami i czekał śmierci...

Wtem wzgórze zatętniło pod kopytami końskimi i silny głos zawołał rozkazująco:

— Precz, zgrajo ohydna!

Ludwik odsłonił oczy i ujrzał cud — 13-tu rycerzy z dobytymi mieczami, zasłoniło go przed tłumem, który zatrzymał się zdumiony.

— Przysięgam na Boga! — mówił głośnie wódz — przybyliśmy w samą porę!

Tymczasem najemnicy Bertrady, widząc tak małą liczbę przeciwko sobie, oprzytomnieli, i zaczęli gwałtownie nacierać. Lecz ku ich przerażeniu ukazał się znaczny oddział, dowodzony przez znanego nam Landryka, który nie tracąc czasu rzucił się naprzód, i „za mną” krzyknął!

Giermkowie poszli za nim; gdyż rycerstwo nie było się z podłym najętym tłumem. Landryk był wszędzie pierwszy; silnem uderzeniem strzaskał miecz, dobył drugi, siejąc podziw i postrach w koło siebie.

Wtótce najemna banda ratowała się ucieczką, a wódz uznał Landryka, godnym miana rycerza.

Gdy wrzawa boju przycichła, cesarz zwrócił się z zapytaniem do rycerzy:

— Kto wy jesteście, którzyście przyszli ocalić nam życie?

Roland podniósł już rękę do przyłbicy, lecz Eginhard powstrzymał go, potem zeskoczył z konia i zbliżywszy się do cesarza, rzekł:

— Nie pytaj, Ludwiku, cośmy za jedni, wiedz tylko, że jesteśmy posłannikami twego ojca..

— Mego ojca? — pytał zdziwiony cesarz — ależ on dawno nie żyje.

I dodał, jakby do siebie:

— Może to są aniołowie zesłani z nieba, żeby zwyciężyć tych szatanów w ludzkiej postaci.

Roland zbliżył się do cesarza, przykląkł przed nim i rzekł:

— Synu Karola Wielkiego, dokąd chcesz, abyśmy cię odprowadzili?

— Do moich starszych synów — odpowiedział po chwili namysłu cesarz.

Na twarzy Rolanda odmalowało się niezadowolenie, ale Eginhard szepnął mu coś na ucho i wsiedli zaraz na konie.

— Naprzód! — zakomenderował Roland!

* * *

Polana, na której rozłożyły się wojska synów cesarskich, była tak blisko, że Ludwik chciał iść pieszo. Trzynastu rycerzy utworzyło jego straż, po sześciu z każdej strony, a jeden na przodzie.

Spuścili się w dolinę, która na pamiątkę wyżej opisanego zdarzenia została nazwana „Polem zdrady”.

Szli wolno i w milczeniu.

Eginhard zbliżył się do Rolanda i rzekł:

— Trzeba pomyśleć o odwrocie!

— Jako — zawołał oburzony Roland — opuścić tego, któregośmy przed chwilą ocalili!

— Ludwikowi nie grozi teraz żadne niebezpieczeństwo — mówił Eginhard — prawdopodobnie synowie, chociaż należeli do spisku, okażą radość, ujrzawszy ojca. Lecz spojrz-no, co tam się dzieje:

Roland zwrócił oczy ku dolinie i ujrzał straszne zamieszanie, pobici uciekali, rycerze z obozu spiskowców, patrząc na nich, powychodzili z namiotów, wszyscy krzyczeli i hałasowali. W głębi obozu widne były trzy postacie, strojne w złoto i drogie kamienie, idące

zwolna ku wzgórzu; byli to synowie cesarscy, szli na spotkanie ojca.

— Słuchaj — rzekł Roland — on jest bez wojska, bez przyjaciół...

— Zapominasz — odrzekł Eginhard, że nie w naszej mocy ukarać zdrajców. W trzynastu nie pokonamy kilkunastu tysięcy. Oni zapewne przyjmą ojca jako jeńca, a my z daleka, patrząc na wszystko, zostaniemy niepoznani. Ukrywajmy naszą tajemnicę, aż do dnia kary.

Eginhard, mówiąc to, nie wiedział może, jak wielką miał słuszość.

Bertrada i Hanelon stojąc koło namiotu, na którym wisiała czarna flaga, z ogromnem zdziwieniem patrzeli na cały pochód. Oboje pałali gniewem i chęcią dowiedzenia się, kto byli ci rycerze, którzy teraz pozdrowiwszy z uszanowaniem cesarza, znikli tak prędko, jak się byli zjawili.

Ludwik, dziękując swoim zbawcom, spytał kiedy ich znowu zobaczy.

— Zawsze, kiedy wasza cesarska mość znajdzie się w niebezpieczeństwie, powiedział Eginhard uroczyście.

— A kiedy dowiem się, kto wy jesteście?

— Wtedy, gdy wasza cesarska mość staniesz się prawdziwym następcą Karola Wielkiego — odpowiedział Roland.

Po tych słowach oddział ruszył galopem.

— Czy zauważyłeś młodą dziewczę, która szła obok cesarzowej — pytał January Beranger'a?

— Powiedz raczej, czym ją poznał?

— Więc ją znasz? Któż ona jest?

— To przyjaciółka naszego dzieciństwa, Genowefa! — odpowiedział Beranger.

VI.

Eginhard miał słuszość: Ludwik został przyjęty przez synów jako jeńca. Lecz nie skarżył się na swój los, gdyż przy nim była Judyta i Karol. Miał nadzieję, że niebo rozbudzi litość w sercach synów Hermangardy, szczególnie liczył na dwóch młodszych: Ludwika Niemieckiego i Pepina, króla Akwitanii.

Obaj byli prości i nieokrzesciani: pierwszy nie lubił nic oprócz myśliwstwa, a drugi oddawał się pijaństwu, jednakże miewali oni niekiedy przebłyśki dobroci.

Na nieszczęście, nie można było tego powiedzieć o najstarszym, Lotaryuszu, królu włoskim. Był to człowiek surowy, porywczy i ambitny. Zazdrościł władzy braciom i marzył o zjednoczeniu dziedzictwa Karola Wielkiego pod swoim berłem.

Hanelonowi powierzono pieczę nad cesarzem, zaprowadził on go do namiotu, przeznaczonego na więzienie, poczem udał się do Lotaryusza, który go przyjął niechętnie.

Ulubieniec króla zrozumiał usposobienie swego pana, więc zbliżywszy się szepnął mu na ucho:

— Co się za pierwszym razem nie udało, może się udać za drugim!

— W jaki sposób?

— Naprzykład... w podróży... w której tak łatwo o różne wypadki.

— O jakiej podróży mówisz?

— Cesarzów koronują w Akwizgranie.

— Tak.

— Dlaczego nie mielibyśmy się dziś jeszcze tam udać.

Uśmiech przemknął po bladej twarzy Lotaryusza, lecz nie pozwolił on Hanelonowi mówić dalej, zatrzymał go słowami:

— Rób, jak chcesz, ja nic nie wiem. Za godzinę możemy być w drodze.

Natychmiast zebrał radę i postanowiono udać się niezwłocznie do Akwizgranu, dla koronacy następcy Ludwika.

— A cóż porabia nasz ojciec? — zapytali obaj młodszy synowie.

— Widziałem go — odparł porywczo Lotaryusz, on zgadza się złożyć koronę.

I zaraz począł opowiadać Ludwikowi Niemieckiemu o wspaniałych łowach, jakie można będzie urządzić po drodze, a Pepinowi o sławnej piwnicy kolońskiej. Udobruchani tem bracia, zgodzili się na wszystko.

Niektórzy członkowie rady zapragnęli sprawdzić słowa Lotaryusza i w tym celu udali się do namiotu cesarza, lecz znaleźli go strzeżonym. Ludwik, zaciekawiony szmerem, chciał wyjść, ale straż zatrzymała go ostrzegając temi słowami:

— Jeżeli nie będziesz nam posłuszny, rozłączą cię, panie, z małżonką i synem.

Przestraszony tą pogroźką, cesarz umilkł. Po pewnym czasie, kazano mu z całą rodziną wejść do wozu, Ludwik spełnił rozkaz w milczeniu, a za jego przykładem poszła Judyta, Karol i Genowefa.

Wóz pokryto namiotem, który starannie zasłaniał jeńców, tak, że nikt ich nie widział, ani oni nikogo. Wóz był otoczony zbrojną strażą, dowodzoną przez Hanelona.

Cała armia ruszała się powoli, gdyż pochód utrudniały wozy z jeńcami i żywnością. Hanelon postanowił wyprzedzić wszystkich; namówił Lotaryusza i jego braci do utworzenia przedniej straży, objęcia nad nią dowództwa i przyspieszenia pochodu.

Około Strasburga czekała na nich flotyla, złożona z małych, dwunasto-wiosłowych łodzi.

Namiet Ludwika przeniesiono z wozu na łódź, gdzie jeńcy wsiedli. Trzej bracia zajęli takie same łodzie, z tą tylko różnicą, że były bogaciej przystrojone. Bystry bieg wody ułatwiał żeglugę.

Na drugi dzień dopłynęli do Moguncyi, zwanej „złotym grodem.” Mieszkańcy miasta przyjęli dostojnych gości uczą w starym zamku Druzusa.

Ogromna, rzymska sala, pokryta wschodnimi kobiercami, przybrana kwiatami i zielonością, oświetlona żywymi kandelabrami, gdyż niewolnicy trzymali zapalone pochodnie, czekała na przyjęcie gości. Blask migającego ognia łamał się w kryształach i świetnych zbrojach.

Bogactwo szat i drogich kamieni biesiadników,

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

7

Dodatek do N-ru 7 Wieczorów Rodziny 1301 r.

leżących na wspaniałych łożach, wysłanych drogiemi futrami, było zadziwiające.

W owych czasach tak dużo jedzono i pito, że nie kusimy się nawet o wyliczenie podawanych potraw i napojów.

— Hrabio! — zawołał nagle Lotaryusz — już raz cię pytałem, czy ów astrolog, który przepowiedział naszemu dziadowi wielkość i napisał jego historię, znajduje się jeszcze w Moguncyi?

— Tak jest — odrzekł zapytany — jak tylko wassa miłość wyraziła życzenie ujżenia tego starca, posłałem po niego.

— Czemuż go dotąd nie widzę?

— Tego wiedzieć nie mogę. Może mój posłaniec nie znalazł go już przy życiu.

Nagle dał się słyszeć u wejścia jakiś głos ponury:

— Jestem jeden z tych, którym Wszechmocny daje wiedzę poznania przyszłości. Czogo chcecie ode mnie?

Zdziwieni goście ujrzeli astrologa, który wyrósł jakby z pod ziemi. Na długiej, czarnej jego szacie, lśniły czerwone gwiazdy. Ponsowy płaszcz z mnóstwem tajemniczych znaków pokrywał ramiona, twarz miał zakrytą czarną zasłoną z otworami na oczy i usta.

Mimowolny przestrach ogarnął nawet najśmielszych. Astrolog zbliżył się do Lotaryusza i rzekł:

— Kazałeś mnie przywołać. Czogo żądasz?

— Chcę, żebyś powiedział, jaka jest moja przyszłość? — odrzekł młody król, po chwili milczenia.

Wszyscy ucichli, a głos astrologa drżący, choć mocny zabrzmiał w sali:

— Ten, kto chce się wywyższyć — upadnie, a kto jest poniżony — podwyższon będzie.

— Czy to ma znaczyć, że ojciec posiedzie znowu władzę nad nami?

— Niebo nie sprzyja nigdy niewdzięcznym synom!

— Więc sądzisz, że sprzyjać zechce temu młokosowi, Karolowi.

— Józef był sprzedany przez braci, ale potem stał się największym wśród nich.

— Dosyć! — zawołał król gniewnie.

Ludwik i Pepin słuchali astrologa z widoczną niechęcią. Wszyscy obecni siedzieli w milczeniu, tylko Hanelon miał odwagę zbliżyć się do tajemniczego starca i pod zasłoną rozpoznawać jego rysy.

A ów ciągnął dalej spokojnie:

— Przywołałeś mnie, więc słuchaj: Bóg sprzyja wielkiemu dziełu Karola Wielkiego i chce, aby korona została na głowie jego syna. Bóg opiekuje się monarchą Franków i chce, żeby ten naród był pierwszym między narodami. Biada okrutnikom i zdrajcom! przebaczenie i chwała ich ofiarom! Choćby was było stu przeciwników jednemu, oni zwyciężą! Gdy zbraknie żywych, otworzą się mogiły!

Szemranie dało się słyszeć w sali, Lotaryusz zaś śmiał się tylko złym śmiechem nienawiści, potem powstał nagle ze swego łoża i zawołał:

— Daj mi dowód, że mówisz prawdę, bo inaczej oddam cię na pożarcie psom!

— Patrz! — odpowiedział astrolog spokojnie — patrz i przekonaj się!

Obok astrologa stanął rycerz uzbrojony od stóp do głów. Skąd i kiedy się zjawiał, nikt tego nie spostrzegł. Astrolog podniósł jego przyłbicę.

— Roland! — zawołał Hanelon, odstępując z przerażeniem.

— Roland! Roland! — rozległy się głosy z za stołów.

— Francya i Karol! — wymówiło widmo, potrząsając w powietrzu straszliwym Durandalem.

Wtedy w całej sali, wrzającej przed chwilą weselem, zapanowała trwoga.

Wszyscy powstali z miejsc. Pijani ślaniali się na strony, wywracając stoły i rozlewając wino, światła pogasły i wśród ogólnego zamieszania, astrolog a z nim widmo Rolanda zniknęli.

Napróżno Lotaryusz prosił gości, żeby ucztowali dalej, obracając wszystko w żart, za godzinę został sam, opuszczony od przyjaciół, pogrążony w ponurych myślach.

VII.

W czasach owych, na Renie poniżej Moguncyi, leżała wyspa, dziś nie istniejąca, lecz i wówczas nie zamieszkała przez nikogo. Tam zebrali się rycerze Karola Wielkiego.

Czujną straż pełnili giermkowie, a oni, usiadłszy wśród gęstwiny drzew, naradzali się między sobą.

Eginhard, zwróciwszy się do towarzyszy, tak mówił:

— Przekonałście się, że teraz nic uczynić nie możemy, jest nas za mało i buntu w całej prowincyi nie uśmierzymy. Musimy czekać, aż się królowie i hrabowie rozjadą, lub do swoich siedzib powrócić.

— Ale cesarz! — zawołał Wilon Burgundczyk — cesarz jest więźniem, wiemy wszyscy, że życie jego jest w niebezpieczeństwie.

— Przewidziałem tę okoliczność — odpowiedział Eginhard — i dlatego wczoraj przedsięwziąłem pierwsze kroki dla polepszenia doli Ludwika. Moja przepowiednia, jako astrologa, i ukazanie się Rolanda, sprawiły swoje. Dziś rano Ludwik i Pepin prosili Lotaryusza, aby się lepiej obchodził z ojcem.

— I Lotaryusz usłuchał ich, wiem o tem — rzekł hrabia Robert — lecz wiemy także wszyscy, że jest zdolny do wszystkiego, nawet do...

W tej chwili od strony straży rozległ się krzyk puszczyka.

— January! — rzekł Roland — idź i dowiedz się, co się stało.

Młodzieniec znikł w gęstwinie, po chwili wrócił mówiąc:

— Z miasta przyplął człowiek ze świty hrabiego Eufaniasza i chce się z nim widzieć.

Eufaniasz poszedł na brzeg i wrócił rozdrażniony.

— Słuchajcie, już od dwóch godzin synowie Hermangardy pojechali na łowy, wzięwszy z sobą syna Judyty!

— Karola?

— Więc cóż?

— I ja i mój giermek, Landryk, widzimy w tem zbrodnicze zamiary.

— Landryk? — zapytał Roland — to ten sam, który w naszych oczach przełamał tłumy buntowników?

— Ten sam! — odpowiedział Eufaniusz. — Po między myśliwymi poznał ludzi, którzy przed nim uciekli. Śledził ich odtąd ciągle i teraz właśnie zawiadamia o niebezpieczeństwie, w jakim się znajduje najmłodszy z wnuków Karola Wielkiego.

Wszyscy rycerze powstali.

— Słuchajcie — rzekł hrabia Robert.

Z prawego brzegu dolatywał odgłos rogu myśliwskiego

— Spieszmy się! — zawołał silnym głosem Roland — niema chwili do stracenia.

Na nieszczęście trzeba było przeprowić się na prawy brzeg rzeki, a łódka znajdowała się po lewej stronie wyspy, więc przeprawa zajęła im nieco czasu. Stąpali wreszcie u wysokiego brzegu i szybkim krokiem weszli na wzgórze; przed nimi roztaczała się obszerna polana, otoczona z trzech stron lasem. Polana była pusta i dźwięki rogu dolatywały z daleka. Nagle odezwiała się bliżej.

— Bacność! — zawołał Roland — oni polują na żubra!

— Na żubra! — powtórzyli inni rycerze z niepokojem.

Żubry czyli tury żyły jeszcze w owych czasach na brzegach Renu, a polowanie na nie należało do niebez-

piecznych. Niepokój rycerzy był więc zupełnie usprawiedliwiony.

Niebawem na polanie ukazało się kilku ludzi, na przodzie pędził konno młody Karol. Pomimo dzielącej ich przestrzeni, rycerze poznali go od razu i nie mogli powstrzymać okrzyku, gdyż za jeźdźcem wypadł z lasu ogromny żubr, cały pianą i krwią okryty, goniąc go z wściekłością. Szczęściem ogromne psy, z gatunku tych, jakie Kalif Bagdadu, Harun-al-Raszyd, przysłał Karolowi Wielkiemu, zatrzymały zwierzę na chwilę, lecz nie na długo; tur otrząsnął się z nich i puścił się znowu za jeźdźcem.

Myśliwi uciekali do lasu, bo tam tylko mogli znaleźć schronienie. Wtem jeden z nich podskoczył do Karola i ugodził jego konia oszczepem, koń się zachwiał i upadł, pociągając za sobą nieszczęśliwego młodzieńca. Towarzysze zamiast przyjść mu z pomocą, pierchli co sił starczyło, wydając dzikie okrzyki. Roland i Eginhard poznali wśród nich Hanelona.

Tymczasem Karol podniósł się i zaczął biedzić do najbliższego drzewa; zguba jego zdawała się nieuchronna. Żubr dopadłszy ranionego konia odrzucił go na bok i puścił się w pogoń za Karolem.

Nikt nie zauważył na razie, że od strony rzeki, podbiegła jakaś wysoka postać, która rzuciwszy się pomiędzy młodzieńca i żubra, stanęła z oszczepem przed rozwścieczonym zwierzem. Ten zatrzymał się na chwilę, lecz tego mgnienia wystarczyło nieznanemu mężowi: oszczep utkwiał między żebrami żubra, który padł, buchając krwią z gardzieli.

— Wiwat! — zawołał Eufaniusz, który poznał w dzielnym obrońcy swego giermka. — Niech żyje Landryk!

— Niech żyje! — powtórzyli wszyscy rycerze i ruszyli ku miejscu walki, od którego dzieliło ich kilka wawozów.

Tymczasem Landryk kończył swe bohaterskie dzieło.

— Miłościwy książę, weźcie wasz nóż myśliwski — rzekł Landryk i uderzcie w tę czarną plamę, to mówiąc wskazał mu tura.

Oprzytomniawszy, młody Karol uderzył nożem w gardło żubra i zwierz ze strasznym rykiem wydała ostatnie tchnienie.

W tej chwili na skraju lasu ukazał się Hanelon ze swą gromadą i ujrawszy młodzieńca nie ranionego nawet, rzucił się ku niemu.

Przy Karolu stał tylko Landryk, osłabiony walką z turem i krwią jego zbroczony, zaś z Hanelonem jechało sześciu opryszków, oddanych mu na śmierć i życie. Bez najmniejszego wahania postanowił buntownik zgładzić nieszczęsnego syna Judyty.

Aż oto na polanie ukazało się 13 rycerzy, którzy, wznosząc w górę miecze, wołali:

— Karol i Francya!

— Znowu on! — syknął Hanelon i zawróciwszy gwałtownie konia, znikł w lesie.

Roland i jego towarzysze zbliżyli się do młodzieńca, lecz ku wielkiemu zdziwieniu nie znaleźli już przy nim Landryka.

— Gdzie jest mój śmiałek? — spytał Eufaniusz?

— Gdzie znikł giermek, który ocalił życie księciu?

— Nie wiem — odparł Karol — lecz zdaje mi się, że puścił się za jeźdźcami, którzy wyjechali z lasu.

— To być nie może — zawołał Roland — on nie ma konia.

Eufaniusz uśmiechnął się.

— Nieźnacie Landryka, to jest pierwszy szybko-biegacz w Bretanii i najściglejszą dopędza zwierzynę, zwłaszcza w lesie.

— Kto jesteście? — zapytał Karol. — Gdy mnie cesarz ojciec mój zapyta, komu winienem życie, cóż odpowiem?... czy że moim trzynastu przyjaciółom?

Rycerze skłonili się w milczeniu, a Karol, pomnając na pierwsze spotkanie w namiocie, nie nalegał więcej.

— Panowie, pomyślmijmy o tem — rzekł hrabia Robert — że cesarz niepokoi się o syna.

Natychmiast przyprowadzono ukryte w gęstwinie wierzchowce i tajemniczy oddział odprowadził księcia do rzeki.

Kiedy stanęli na brzegu, ujrzeni z przeciwnej strony, jak cesarz Ludwik nakazywał, aby go przewieziono na brzeg prawy, a Judyta płakała i łamała ręce, podtrzymywana przez Genowefę. Śnać wieść o wściekłym żubrze już doszła do obozu.

Karol wskoczył do łódki, January i Beranger poszli za jego przykładem i zaraz wzięli się do wiosel. Przeprawa trwała niedługo.

Karol rzucił się w objęcia matki, a potem oboje

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

Dodatek do N-ru 8 *Wieczorów Rodziny* 1901 r.

uściskali starego cesarza. Korzystając z tego, że uwa-
ga wszystkich pochłonięta była tym rozczulającym obra-
zem, młodzi ludzie zbliżyli się do tej, o której myśleli
ciągle.

— Genowefo! — zawołali obaj.

Młoda dziewczica zwróciła się ku nim, lecz w tejże
chwili rozległo się z przeciwnego brzegu znane im hasło
do odwrotu, więc mimo żalu skoczyli do łodzi i Genowefa
nie mogła dostrzedz ich twarzy pod spuszczonemi przy-
łbicami. Zdziwiona stanęła na samym brzegu rzeki i sta-
rała się rozpoznać młodych rycerzy, którzy oddalali się
z coraz większą szybkością. Czy poznała ich?... Do-
myśliła się, czy też przeczuła?...

Kiedy obaj bracia dosiedli koni na przeciwnym
brzegu, obejrżeli się raz jeszcze: Genowefa patrzyła
ciągle w ich stronę.

— Jaka ona już duża i piękna — powiedział
January.

— To już nie dziecko, lecz prześliczna, anielska
dziewica — zauważył Beranger.

W godzinę potem 13-u rycerzy obozowało znowu
na wyspie druidów. Narada ciągnęła się do późna,
wreszcie legli na spoczynek. Noc była cicha, tylko
Ren szumiał miarowo, gdy nagle straszny krzyk obu-
dził ich ze snu. Gałęzie drzew zaszeleściły i przy tle-
jącem ognisku ukazał się Landryk. Roland i hra-
bia Eufanisz chcieli mu winszować, lecz on przerwał
im słowami.

— Musimy mówić nie o przeszłym niebezpieczeń-
stwie, lecz o przyszłym.

— Odkryłeś nowy spiszek? dowiedziałeś się o nowej
zasadzce?

— Bóg dopomógł mi, szlachetni rycerze! Słuchaj-
cie, co wam powiem. Zwyciężywszy żubra, rzuciłem się
za zbójcą...

— Za Hanelonem?

— Tak, poznałem go doskonale. Dogoniłem go
właśnie gdy, na jednym z zakrętów, spotkał się z kró-
lem Lotaryuszem i jego orszakiem. Naturalnie musia-
łem się ukryć. Król z niecierpliwością dopytywał
o skutkach zasadzki, lecz dowiedziawszy się, iż Ka-
rol żyje, wpadł w taką wściekłość, że o mało go żywem
szatani do piekła nie wzięli.

— Landryku!

— Przebaczcie mi, że tak mówię o najstarszym
synu cesarza. Przebaczcie, lecz muszę mówić prawdę!

— Mów dalej!

— Hanelon trząsł się jak osina ze strachu i gnie-
wu także. Po jakimś czasie, poprowadził swego pana
pod stary dąb. Usiedli tam i długo się naradzali. Po
uśmiechu i potakujących ruchach głowy Lotaryusza do
myśliłem się, że niecy zbój Hanelon przedstawia ja-
kiś nowy piekielny plan. Podpełzłem pod dąb wśród
wzrosów i zdołałem wiele usłyszeć.

— Cóż to za plan?

— Na zbawienie duszy, godny tego łotra. Na-
przód, rycerze, naprzód! Niebezpieczeństwo tym ra-
zem zagraża nie samemu tylko Karolowi, ale całej ce-
sarskiej rodzinie. Jeżeli nie pospieszycie im z pomocą,
zginą wszyscy troje.

— To być nie może, Lotaryusz nie odważy się podnieść otwarcie ręki na ojca i macochę.

— O! znaleźli inny sposób, oni zginą w Bingerlochu.

Bingerloch jest to rodzaj wodospadu a raczej porohu, który cieszy się złą sławą, nawet dziś, jeszcze pomimo oczyszczenia koryta rzeki. W tem miejscu rzeka zwęża się i płynie niezmiernie szybko, ścieśniona z dwóch stron skałami, których odłamki zaścielają dno całe.

— Teraz popłyną wszyscy do Akwizgranu — ciągnął dalej Landryk — koło Bingerlochu przeprawiać się będą nocą i przekupieni wioślarze wepchną łódź cesarską, w wir największy.

VIII

Noc była ciemna, burzliwa. Wichur wyl wściekle i pędził po niebie stada chmur skłębionych, wśród których od czasu do czasu ukazywał się księżyc i srebrzystym blaskiem zalewał śpionione fale rzeki. Wśród skał Bingerlochu huczała i pieniała się woda, rozbijając się o głazy.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, że pusto było wszędzie, lecz przypatrzwszy się dobrze, można było dostrzedz, między dwiema skałami, w najmniejbezpieczniejszem miejscu 13-u mężów. Wszyscy oczekiwali czegoś z niecierpliwością.

— Jednakże Landryk długo nie wraca — zauważył jeden z nich — jeżeli nie udało mu się popłynąć w górę, zginął napewno.

— Bądźcie spokojni — odpowiedział Eufaniusz — mój waleczny Landryk wychował się na burzliwych brzegach Bretanii, przywykł walczyć z oceanem, fale rzeki to dla niego fraszka. Jeżeli znajdujecie, że jest odważnym wojownikiem, upewniam was, że jeszcze lepszy z niego wioślarz.

Ledwie dokończył tych słów, dał się słyszeć plusk wioseł i Landryk wyskoczył z małego czółna.

— I cóż? — spytali wszyscy razem.

— Muszę przyznać, szlachetni rycerze, że ten zbój Hanelon wybrał najdogodniejsze, jakie mógł, miejsce dla wykonania swego zamiaru. Jak żyję nie widziałem takiego wiru. Kiedy przepływaliśmy blisko niego, widziałem, że cały brzeg pokryty mogiłami... mogiły i mogiły... Dla tych co będą porwani wirum, nie ma ratunku!

— Czy dobrze zbadałeś miejscowość?

— Ręczę wam za to!

— Nie rozumiem tylko jednej rzeczy — rzekł któryś z rycerzy — skąd mogli znaleźć współników? któż chciał narażać się na takie niebezpieczeństwo?

— Są to przestępcy, skazani na śmierć, którym obiecano życie i wolność, jeżeli sami zdołają uniknąć śmierci; a to jest możebne: trzeba tylko, w chwili gdy wir będzie porywał łódź, rzucić się w wodę. Każdy z nich dostanie jeszcze 10 funtów srebra. Nikt się nie domyśli, że to zbrodnia, przypiszą nieszczęście smutnemu wypadkowi. Słyszałem całą ich rozmowę i wiem, że o to im właśnie chodzi. Mordercy!

Po tych słowach Landryk przy pomocy Januarego

i Berangera zajął się obejrzeniem łodzi, haków i małego, zarzucanego pomostu. Obejrzawszy wszystko, przygotowali oręż, a Landryk wydołał leżący na dnie łodzi łuk i naciągnął go.

— Co z nim zrobisz w nocy? — spytał, uśmiechając się Eufaniusz?

— Kto wie, na co się przydać może — odpowiedział spokojnie Landryk.

Nastąpiło oczekiwanie. Przeszła godzina, kiedy w oddaleniu ukazały się ognie: były to pochodnie na łodziach. Lotaryusz na kilkudziesięciu łodziach wiozł ojca i braci do Akwizgranu. Przy Bingerlochu musiały one płynąć wązkim przesmykiem jedna za drugą, aby nie zostać porwanymi przez wir.

— Baczność! — szepnął Landryk.

Wioślarze jego, Bretończycy, przesiadłszy do wielkiej łodzi, wjechali do zacisznego miejsca między dwie skały. Tak ukryci, zostawali niewidzialni, lecz sami, podobni do lwów, mogli się rzucić w każdej chwili na swą zdobycz. Rycerze stali w tej łodzi w oczekiwaniu, nieporuszeni, jak posągi ze spiżu. Pierwsze statki zrównały się już z łodzią naszych bohaterów, lecz oni nie dali znaku życia, żeby niczem nie zdradzić swojej obecności, oczami tylko szukali Hanelona i Lotaryusza.

Ten ostatni płynął w oddzielnej łodzi, otoczony łucznikami i często oglądał się niespokojnie.

Łodzie Pepina i Ludwika były umyślnie w znacznym oddaleniu, żeby w czasie wykonania zamachu nie mogli przybyć ojcu z pomocą. Wreszcie nadpłynęła zwolna wielka łódź, na której zarysowały się syl-

wetki trzydziestu sześciu wioślarzy; pośrodku stał namiot, a w nim spokojnie spał cesarz Ludwik z rodziną.

Wówczas Roland dał znak. Po dwóch uderzeniach wiosł wioślarze byli już przy łodzi, zręcznym ruchem zarzucili haki i pomost. Wioślarze nie mogli jeszcze oprzytomnieć, kiedy już dwunastu rycerzy, ustawionych w rząd, stało na ich łodzi, a cichy lecz wyraźny głos wodza rozbrzmiał nad nimi:

— Posłuszeństwo lub śmierć!

Roland chwycił silną dłonią za ster, Landryk, z dzidą i łukiem stał na przednim końcu łodzi! Księżyc wyszedł z za chmur i oblał srebrnym blaskiem ten wspaniały i fantastyczny obraz.

Na głos rozmowy, z namiotu wysunęła się siwa głowa Ludwika.

— Śpij w spokoju — powiedział zwolna Roland — śpij w spokoju, synu Karola Wielkiego. Wybrańcy twojego ojca, czuwają nad tobą!

Tymczasem, z drugiej strony ukazała się złota głowa Genowefy i wzrok jej padł odrazu na Januarego i Berangera. Młoda dziewczyna poznała swoich przyjaciół. Ci ledwie mogli powstrzymać okrzyk radości, lecz wstrzymali się i patrzeli na siebie długo, w milczeniu.

Przeżyto nareszcie szczęśliwie niebezpieczne miejsce, łódź cesarska nie została zepchnięta w wir Bingerlochu.

— Karol i Francja! — zawołali rycerze z całych piersi.

Hanelon posłyszał ten okrzyk na pierwszej łodzi i zrozumiał wszystko. Wprostował się, a schwyciwszy łuk jednego z łuczników, zawołał:

— Tym razem poznam, czy to ludzie, czy widma! Naciągnął łuk; strzała świsnęła w powietrzu i ugodziła w szyję Willona Burgundskiego, który właśnie w tej chwili przechodził do swojej łodzi; nieszczęśliwy krzyknął i runął w wodę.

— Wyratuję go — zawołał Landryk — lecz wpierw się zemszczę na zbrodniarzu.

I porwawszy swój łuk naciągnięty, wypuścił strzałę.

W chwili kiedy Hanelon raniony padł na ręce łuczników, Landryk rzucił się w ciemne nurty Renu.

Koniec części pierwszej.



CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Przenieśmy się znowu do tej samej miejscowości, gdzie przez wiele lat przebywał w ukryciu Roland. Krętą ścieżką postępowało z wolna dwóch znanych nam rycerzy, Roland i Eginhard; a z drugiej strony naprzeciw nich wyszedł Eufaniusz z Januarym i Berangerem. Eufaniusz zdala już zawołał:

— Cóż? czy rzecz dokonana?

— Mniemam, że tak — odrzekł Eginhard. — Udało się nam ująć kilku wioślarzy Hanelona. Odprowadziliśmy ich do Ludwika i Pepina, i w obec nich potwierdzili zbrodnicze zamiary Lotaryusza.

— Synowie Ludwika byli strasznie oburzeni, lecz nie śmieli zerwać z Lotaryuszem otwarcie.

— Ale Lotaryusz może przeniknąć ich zamiary i, korzystając z przewagi swego wojska, wziąć do niewoli, skoro przybędą do Akwizgranu.

— Za kilka dni sami tam będziemy i zobaczymy

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

Dodatek do N-ru 9 Wieczników Rodzinnych 1901 r.

wówczas, co należy uczynić! Powiedzcie teraz, jak ma się nasz ranny?

— Niestety—rzekł Eufanisz z westchnieniem — niema już dlań nadziei, może w tej chwili oddaje Bogu rycerskiego ducha!

— Spieszmy! — zawołał Roland.

Pięciu rycerzy przyspieszyło kroku i wkrótce znalazło się przy wejściu do grotty, w której leżał na posłaniu z mchu umierający, Willon Burgundczyk. Z prawej strony klęczał przy nim Landryk, a z lewej mnich, który nie tylko leczył duszę, lecz i ciało. Dwie pochodnie oświecały całą grootę, w głębi jej widać było płytę kamienną, a na niej napis: *Czekam innych*, a trochę niżej imię: *Kalumeros*.

Pod tym kamieniem spoczywał ostatni potomek Juliusza Cezara.

Na widok przyjaciół ranny ożywił się na chwilę i wsparłszy się na łokciu, wziął za rękę Rolanda i rzekł:

— Wyraziłeś kiedyś życzenie, żeby miecz, wytrącony przez śmierć chwalebna z ręki rycerza, przeszedł znowu w dłoń innego. Pozwól umierającemu rozporządzić swoim. Nie chcę, żeby go pochowano razem ze mną, nie chcę, żeby rdzewiał w starej zbrojowni, przeciwnie, niech błyszczy w słońcu obok dwunastu waszych mieczy, niech służy dalej wielkiemu dziełu. Rolandzie, czy odmówisz ostatniej mej prośbie?

— Nie!... — odrzekł wzruszonym głosem siostrzeniec Karola Wielkiego — nie, lecz znasz-li godnego dla swego miecza dziedzica?

— Tak — rzekł ranny — wybraniec mój będzie mnie godny, wszyscy mają tego naoczne dowody. Naraził swoje życie, żeby mnie ocalić:

— To... Landryk!

— Landryk! — zawołali wszyscy i w tym okrzyku słysząc było wielkie zadowolenie.

Skromny giermek, nie wierząc swemu szczęściu, chciał coś odrzec, lecz Roland przerwał mu, mówiąc:

— Dzisiejszej nocy widziałam we śnie cień Karola Wielkiego; cesarz powiedział mi: „Rolandzie, zapomniałem wskazać ci jeszcze jednego człowieka, który nie pochodzi ze znamienitego rodu i jest między wami przedstawicielem ludu; lecz kiedy Bóg z pomiędzy ludu wybiera zbawców ojczyzny, on powinien być z wami.”

Potem wzięwszy miecz z rąk umierającego, zawołał:

— Na kolana!

Landryk spełnił rozkaz, Roland uderzył go trzy razy płazem po ramieniu i podając prawą rękę, rzekł:

— Ucałuj teraz swoich towarzyszy!

Ucałowawszy wszystkich, Landryk, żalany łzami szczęścia, rzucił się w objęcia umierającego.

Po kilku minutach Willon oddał Bogu ducha. Przy mogile Kalumerosa umieszczono świeży kamień grobowy, a na nim wyryto mieczem wielkie imię: Willon Burgundczyk.

Po złożeniu zwłok do grobu i krótkiej modlitwie, Roland odezwał się w te słowa:

— To miejsce będzie naszym cmentarzem, abyśmy

mogli na sądzie ostatecznym wstać wszyscy razem i spytać Karola Wielkiego, czy z nas zadowolony?

Gdy noc zapadła, sześciu rycerzy udało się do Akwizgranu, dokąd już pierwszej pojechali ich towarzysze.

— Teraz, Landryku — rzekł doń Eufaniusz, gdy wyruszali — jesteś mi równy.

— To nie przeszkodzi mi jednak być zawsze gotowym wam służyć. Nie zapomnę nigdy, com przyrzekł pani Klotyldzie.

Przy tem imieniu Eufaniusz głęboko się zamyślił. Przez całą godzinę wszyscy jechali w milczeniu, Landryk także był zadumany, lecz nagle, zwracając się do towarzyszy, spytał:

— Jak sądzicie, czy Hanelon zginął?

Biedny Landryk, nie mógł wiedzieć, że właśnie w tej chwili Hanelon leżał w jednym z pobliskich zamków. Dwaj arabscy lekarze zabronili mu ruszać się przez sześć miesięcy, lecz ręczyli za jego życie. U węgłowia czuwała Bertrada.

II.

Akwizgran nazwany tak przez Cezara z powodu gorących źródeł był najulubieńszym grodem Karola Wielkiego, który starał się upiększyć go i podnieść jego znaczenie przez nadanie miana stolicy. Na frontonie swego zamku cesarz kazał wyrzeźbić następujące słowa:

„Niech ten gród będzie środkiem mego państwa, i głową wszystkich miast Gallii.

Katedra z bardzo wysoką dzwonnica, wzniesiona

za panowania Karola Wielkiego była poświęcona przez papieża Leona III-go w 804 rok. W katedrze znajduje się grób Karola Wielkiego, wspaniałe mauzoleum z granitu, z czterema orłami w locie po rogach; wejście do mauzoleum tworzył łuk tryumfalny z brązu. Tam na wspaniałym, marmurowym tronie siedział wielki cesarz, ubrany w płaszcz i wszystkie oznaki cesarskiej godności. Na głowie miał koronę, u pasa miecz. Otwarta biblia leżała na jego kolanach, berło i jabłko u nóg, a przez plecy miał zawieszoną sakwę pielgrzymią, z którą chodził do Rzymu. Egipscy lekarze zabalsamowali jego ciało, tak że wydawał się śpiącym nie umarłym. Na pomniku widniał napis:

„Tu spoczywa ciało Karola Wielkiego, chrześcijańskiego cesarza, który po całym świecie rozniósł sławę oręża Franków, i mędrca. Rządził Gallią przez 47 lat.

Na przedmieściu, w niewielkim domu zebrali się nasi rycerze. Wpierw przybyli donieśli, że ani Pepin, ani Ludwik nie odważyli się przyjechać do Akwizgranu, wrócili do swoich wojsk, lecz wyjeżdżając rzekli bracia Lotaryuszowi.

— Ochraniaj ostatnie lata ojca naszego, gdyż w przeciwnym razie wrócimy do ciebie jako wrogowie.

Te słowa były pierwszą zapowiedzią wojny, która mogła wybuchnąć między braćmi w obronie cesarza Ludwika. Lotaryusz, po pierwszych porywach wściekłości, bez porady nawet Hanelona, rozkazał rozdzielić Ludwika z żoną i synem. Rozliczał, że stary cesarz

umrze z rozpacz. Na wszystkie błagania i łzy jego, odpowiadano:

— Jeżeli chcesz mieć przy sobie żonę i syna, i mieszkać z nimi w wybranem przez siebie miejscu, to wydziedzicz Karola i sam złóż koronę.

Starzec poczuł w sobie dawną energię i z dumą odrzucił tę propozycję. Po dwóch dniach, spędzonych w samotności, znękany starzec wyraził chęć udania się do katedry, aby pomodlić się i podumać nad grobem ojca. Nie wiadano, czy Lotaryusz na to pozwoli.

Hrabia Robert wrócił do swoich przyjaciół, którzy czekali wiadomości i powiedział:

— Cesarza zaprowadzą do katedry, lecz żeby go zmiękczyć i skłonić do abdykacji, przyprowadzą tam również cesarzową i Karola.

Zaraz po zachodzie słońca, rycerze po długiej naradzie w milczeniu udali się do miasta.

Właśnie w tej chwili Lotaryusz, chodząc gorączkowo po wspaniałej sali swego zamku, myślał:

— Dziś wieczór... dziś wieczór... będę cesarzem.

Całe miasto było wzburzone. Mieszkańcy cisnęli się tłumnie do katedry, lecz za potrójną strażą, trudno w niej było dostrzedz starego cesarza.

Przez te ostatnie dni postarzał się on bardzo; na bladej jego twarzy wyraźnie widać było ślady wielkich cierpień.

Powoli, ze spuszczoną głową zbliżył się do grobowca i myśląc, że jest sam, ukląkł, gdy nagle szmer zwrócił jego uwagę, obejrzał się i ujrzał Judytę i Karola, wchodzących z drugiej strony do mauzoleum; wy-

ciągnął do nich ręce, chciał coś powiedzieć, lecz łkanie zatamowało mu głos, milcząc, przytulił ich do piersi.

Rozczulającą tę scenę przerwał suchy i rozkazujący głos biskupa z Reims, oddanego Lotaryuszowi.

— Zechej podpisać ten pargamin; jeżeli zaś tego nie uczynisz, to jutro o świcie odwiozą cię do klasztoru w Soissons, który będzie ci służył za mieszkanie aż do końca życia.

— A cesarzowa? — spytał cesarz — a syn mój Karol? Jaki los ich czeka?

— Dla dziecka przeznaczony klasztor w górach Ardeńskich, dla matki zaś zamek w Tortonie, na południowej granicy państwa. Niech Bóg cię oświeci, miłościwy panie, i pomoże ci powziąć mądre postanowienie.

Po wypowiedzeniu tych słów, prałat zostawił cesarza z rodziną. Nastąpiło milczenie. Ludwik odstąpił parę kroków od Judyty i spytał:

— Przyjaciółko mojej starości, co mi uczynić radzisz?

— Do kogo się zwracasz? do cesarzowej, do matki, czy też do żony?

— Do wszystkich trzech!

— Pani! jam matka przedewszystkiem, Karol zostanie sam w ich mocy... oni go zabiją! ja się boję.. wspomnij na los ostatnich Merowingów.

Przytuliła Karola do piersi, jakby chcąc go zasłonić przed niewidzialnymi wrogami.

— Matko moja — wyszeptał młodzieniec przez łzy — jedyne moje życzenie nie rozstawać się z tobą.

Zaledwie teraz Ludwik zrozumiał, jaką zasadzkę.

nań przygotowano; przy tych drogich istotach cesarz ustępował miejsca mężowi i ojcu. Niepewny, w głębokiej rozpacz padł na kolana przed grobowcem i zawołał:

— Karolu, ojciec mój, przyjdź mi na pomoc, gdyż upadam pod ciężarem, który mógł udźwignąć tylko twój geniusz. Jeżeli taka jest wola Boża, bym miał ustąpić władzy niewdzięcznym synom, jeżeli to jest potrzebne dla dobra państwa mego, jeżeli nie jestem godzien służyć twemu dziełu, ojciec, daj mi to poznać przez jakiś znak, a poddam się woli twojej bez szemrania. Lecz jeżeli syn mój, Karol, wybrany przez Opatrzność, jeżeli Bóg zesła mi obrońców, daj mi wiarę w lepsze dni. Nie mam pomocy nikąd, prócz od ciebie, ojciec mój, pomóż mi, umocnij mię, naucz! Niech z twego grobu usłyszę głos! Przemów, przemów!

Zaledwie Ludwik skończył te wyrazy, gdy boczne bronzowe drzwi rozwarły się. Przestraszony cesarz cofnął się o parę kroków. Trzynastu rycerzy ze spuszczo-nemi przyłbicami stanęło przed grobowcem w dwa rzędy, po sześciu z każdej strony, a trzynasty rzekł:

— Synu Karola Wielkiego, czy zapomniałeś o nas? czy nie pamiętasz, że jesteśmy posłani przez twego ojca?

— Kto wy jesteście? — zawołał starzec!

Trzynastu paladynów, podobnych do posągów spiżowych, przeszło powoli jeden za drugim podnosząc przyłbice. Cesarz poznawał wszystkich. Rolanda, który go uczył władać orężem; Eginharda, który był jego pedagogiem; Hugona i Drogona, dla których

był niesprawiedliwym; Henryka de la Tourre, Bertolda, Hrabiego Eufaniasza i Roberta, imiona ich przypominały mu szczęśliwą przeszłość i były zadatkami przyszłych zwycięstw. Potem postępowali January i Beranger, których rysy przypominały sławnego Bajarda. Na końcu szedł Landryk, na którego widok Karol zawołał:

— Ten rycerz ocalił mi życie na łowach.

Po tej dziwnej procesyi i po objaśnieniach danych przez Eginharda, zupełna zmiana zaszła w cesarzu. Wyprostował się i wyglądał majestatycznie.

— Z waszą pomocą — rzekł — nie boję się przyszłości, i spokojnie będę czekał godziny kary dla niewdzięczników, lecz przyrzeknijcie mi, że jeden z was będzie zawsze przy Judycie, a drugi przy Karolu.

— Przysięgam za wszystkich — rzekł Roland uroczyście — za rok wszyscy będziecie razem, najjaśniejszy panie, za rok spełnimy ostatnią wolę Karola Wielkiego.

— Zgoda! — rzekł Ludwik — wierzę wam — i zwracając się do grobowca zawołał.

— Dzięki ci ojciec!

Dochodzące z zewnątrz okrzyki oznajmiły o przybyciu Lotaryusza do katedry.

Rycerze wyszli bocznymi drzwiami, a Ludwik przez główne podwoje kaplicy wszedł do katedry. W tej chwili właśnie Lotaryusz wkroczył uroczyście do świątyni, otoczony świtą i ludem, skierował się wprost ku Ludwikowi. Zbliżywszy się do ojca, podniósł dumnie głowę i rzekł z uśmiechem:

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

10

Dodatek do N-ru 10 *Wieczorów Rodziny* 1901 r.

— Winszuję waszej dostojności rozumnego postanowienia...

Nie dokończył jednak, gdyż Ludwik jedną ręką chwycił go za ramię i przygiął do ziemi, a drugą zerwał z czoła błyszczącą koronę.

— Na kolana! — zawołał — na kolana, niewdzięczny synu i buntowniczy poddany. Na kolana przed twoim ojcem i cesarzem!

* * *

Na drugi dzień rankiem wywożono cesarza Ludwika do Soissons. Pomiedzy switą jego było wielu zakonników. Kiedy oddział wjechał na wzgórze za miastem, dowódzca oddziału, zaufany Lotaryusza, wskazując w dwie przeciwległe strony, rzekł:

— Spójrz, najjaśniejszy panie, na te dwa oddziały. Jeden idzie w Ardenny z księciem Karolem, drugi udaje się do Włoch północnych z cesarzową Jodytą. Jeszcze czas się rozmyśleć.

— Naprzód — zawołał cesarz!

— Dobrze — rzekł jeden z mnichów. Cesarz badawcze spojrział na niego, zdumiony dźwiękiem głosu, poznał Eginharda, który niebawem podjechał do niego i ledwie dosłyszalnym głosem rzekł:

— Spójrz jeszcze raz za siebie!

Ludwik spojrział. Na drodze, którą przed chwilą podążał oddział z Karolem, widać było kilku jeźdźców. Na czele jechał rycerz w ciemnej zbroi. Był to Roland. Ręceście ogromnych ich mieczów lśniły w słońcu. Stary cesarz z wdzięcznością podniósł wzrok w niebo i pojechał dalej.

Wszyscy 13-tu rycerzy puścili się w podróż. Przekonawszy się, że jeńców wiozą na wskazane przez Lotaryusza miejsca, rozdzielili się na trzy oddziały i śledzili z pewnego oddalenia.

Najlicniejszy oddział, pod wodzą Rolanda, skierował się ku Alpom. Oprócz Rolanda znajdowali się tam January i Beranger, szczęśliwi, że mogą jechać za Genowefą, Landryk i Eufaniusz. Ten był smutny i zamysłony, gdyż znowu oddalał się od swej małżonki.

Wieczorem oddział ten spotkał jakąś kobietę, której zapyłona odzież świadczyła, że przybywa zdaleka. Kiedy rycerze mijali ją obojętnie, zawołała nagle:

— To on!

Eufaniusz obrócił się i poznał Janikę, wierną służebnicę Klotyldy.

— Co się stało? mów na Boga! — spytał gwałtownie.

— Dostojny panie, po waszym wyjeździe Bretończycy oblegli zamek.

— O Boże! Muszę jechać na pomoc Klotyldzie!

— Eufaniuszu! — zawołał Roland.

— Cóż pocznę?

— Hrabio — rzekł Landryk — przypomnij sobie, że w zamku został mój brat stryjeczny Romaryk!

Janika ciągnęła dalej:

— Pani wysłała mnie z wieścią, żeby wasza miłość nie obawiała się, pani ma przyjaciół i wojsko, odeprze ten napad, obroni siebie i dziecię! Przebrałam się...

— Dziecię! Nie mogę ich tak samych zostawić — zawołał Eufaniusz.

Roland pozwolił Eufaniszowi pomówić z Janiką przez godzinę. Przez ten czas Eufanisz dowiedział się o wszystkim i uspokoił. Landryk chciał dać Janice dwóch germków.

— Nie — odrzekła — sama pojadę i niepostrzeżenie wśliznę się do zamku, a ze zbrojnymi ludźmi mogą mnie ująć i zabić! I tak już Bretończycy zaprowadzili mnie raz do swojej kapłanki, lecz ona darowała mi życie, mówiąc: „Niech Eufanisz nie będzie naszym wrogiem, a potomkowie jego będą królami; w przeciwnym zaś razie zniszczymy jego zamek i nie odnajdzie nigdy swej żony.

— Czeże groźby! — rzekł Landryk.

Eufanisz podniósł nagle głowę i rzekł:

— Janiko, jak się nazywa ta kapłanka bretońska.

— Morgana!

— Ja muszę ocalić Klotyldę — zawołał Eufanisz.

Lecz wstrzymał go znowu głos Rolanda.

— Hrabio, a twoja przysięga?

Rycerz się zatrzymał.

— Francya i Karol! — zawołał po namyśle i puścił pędem konia ku granicy włoskiej.

III.

Tortona, obecnie małe miasteczko w północnych Włoszech, miała wielkie znaczenie za czasów Karłowingów, i dumną była z tego, że założycielem jej był podobno wódz Gallów Brennus, niegdyś zwycięzca Rzymian.

Kronikarze mówią często o zamku Brennusa, z którego teraz pozostały tylko ruiny; lecz w owe czasy była to dobrze obwarowana forteca, to też dlatego Lotaryusz obrał to miejsce za więzienie dla cesarzowej Judyty. Już od kilku miesięcy biedna Judyta męczyła się niepokojem o syna i męża, mając za powiernicę swoich trosk wierną przyjaciółkę Genowefę. Dozór był tak ścisły, że żadna wieść o Ludwiku lub Karolu nie mogła przeniknąć do zamku. Obejście się z cesarzową było nadzwyczaj srogie; nie tylko zabroniono jej przechadzek, lecz kiedy zbliżała się do okna, żeby odechnąć świeżem powietrzem, jakby z pod ziemi wyrastał stróż więzienny i zasłaniał jej okno. Tak było z początku, lecz po kilku miesiącach, zaczęto się obchodzić z nią bardziej po ludzku. Zmianę tę wprowadził nowy burgrabia zamku. Był to młody Longobard, uprzejmy w obejściu, pomimo surowego wyglądu, którym straszyl cesarzową i jej towarzyszkę. Piękność Genowefy zrobiła na nim ogromne wrażenie.

— Droga moja — rzekła pewnego dnia Judyta — myślę, że podobalaś się bardzo Mangisowi.

— O nie mów tak, najjaśniejsza pani — zawołała Genowefa — ja się go boję.

— Dlaczego?

— Przeczuwam, że uczyni mi dużo złego, może się stanie przyczyną mojej śmierci!

— Milcz, dziecko drogie, milcz! — rzekła Judyta i ucałowała czule młodą dziewczeczkę. — Uspokój się Genowefo i nie bój się niczego! Jeżeli jesteś oddaną cesarzowej, to ona cię obroni w razie potrzeby.

Genowefa podziękowała cesarzowej, ale gorzki uśmiech przemknął po jej ustach. Czyż cesarzowa była w rzeczywistości czem innem, jak nieszczęśliwym więźniem?

Nazajutrz po tej rozmowie, gdy Genowefa znajdowała się sama w pierwszej komnacie, wszedł Mangis, ale w tej chwili Judyta ukazała się na progu.

— Zabraniam wam — rzekła poważnym głosem — wchodzić do naszych komnat bez mojego zezwolenia!

Mangis skłonił się nisko.

— Wybaczcie najjaśniejsza pani, lecz ważny powód skłonił mię do tego. Otrzymałem rozkaz, abym pozwalał wam wychodzić codziennie na przechadzkę! To mnie tak ucieszyło, że pragnąłem zaraz przynieść tę radość, jak sądzę, nowinę.

Powiedziawszy to, skłonił się znowu i wyszedł.

Judyta i Genowefa tak były tem uszczęśliwione, że zapomniały o wszystkim. Mogą nareszcie przestąpić próg tych drzwi, zobaczą szeroką przestrzeń, słońce, niebo, odetchną całą piersią świeżem powietrzem. Tegoż wieczora wyszły na podwórze zamkowe, lecz zaledwie doszły do pierwszego wału, doleciały ich uszu słowa: „Karol i Francya!”

W duszy cesarzowej błysnęła jakaś nieokreślona nadzieja. Tak przeszło trzy dni; czwartego dnia wieczorem, Judyta rzekła do Genowefy:

— Droga moja, wyjdź i posłuchaj, czy nie doleci znowu do twoich uszu ten tajemniczy głos:

Chociaż Genowefa bała się iść sama, jednak wzięła na siebie płaszcz i wyszła. Noc była ciemna i bu-

rzliwa. Dziewica szła pędkiem i cicho, nasłuchując na wszystkie strony. Tak starała się złowić każdy szmer, że wstrzymywała oddech. Nagle z zagłębienia muru, jakby z pod ziemi, wyrosła postać Mangisa. Genowefa struchlała na razie, bojąc się jakiejś zasadzki, lecz za Mungisem ukazała się jakaś olbrzymia postać, która milcząc rzuciła się na Mangisa, po krótkiej walce zwała go z nóg i zepchnęła do fosy. Słychać było głuchy odgłos, spadającego ciała i przeciągły jęk. Całe to zajście otrzeźwiło Genowefę. Tymczasem zwycięzca Mangisa, zbliżył się do niej, skłonił się i wzniosłszy jedną rękę do nieba, a drugą położywszy na sercu rzekł uroczystym głosem:

— Karol i Francya!

Dziewczę ledwo wstrzymało okrzyk radości.

— Cicho! — rzekł nieznajomy i zaczął się przysłuchiwać; z dwóch stron zbliżała się straż. Genowefa na próżno chciała się go spytać, kim jest, olbrzym szepnął jej tylko: — Proszę milczeć... do widzenia!

I spuścił się na zewnątrz muru, zawisłszy tylko na rękach nad przepaścią. Genowefa rzuciła się w tę samą stronę, lecz ujrzała tylko dwie ręce, uczipione do krawędzi muru i posłyszała szept:

— Nie bójcie się pani, i nie patrzcie w tę stronę; straż idzie.

Młoda dziewczyna postąpiła parę kroków, ale ze wszystkich stron otoczyła ją straż, zasypując pytańmi, a ponieważ nie chciała odpowiadać, odprowadzono ją do zamku; niektórzy zaś zeszli po drabinie do fosy.

skąd dochodziły jęki strąconego tam burgrabiego. Nikt nie zauważył olbrzyma, zawieszzonego na murze.

Genowefa opowiedziała cesarzowej całe to zdarzenie.

— Nie poznałaś tego człowieka? — pytała Judyty z mimowolną nadzieją.

— Nie — odparła Genowefa — nie mogłam rozróżnić jego rysów, tak prędko wszystko się stało, a noc tak ciemna.

— Jutro — rzekła Judyta — pójdziemy razem, i jeżeli się Bogu podoba, spotkamy go; wtedy poznam po jego haśle: Karoli Francya, czy to był jeden z trzynastu!

Nazajutrz rano, starszy dozorca przyszedł badać Genowefę. Młoda dziewczyna, nie chcąc kłamać i dawać powodu do podejrzeń, opowiedziała, że zdało się jej, iż widziała jakiegoś olbrzyma, który mógł również być widziadłem jej wyobraźni.

Wysłuchawszy tych słów, dozorca oddalił się, lecz wkrótce powrócił, donosząc, że burgrabia życzy sobie sam wybadać młodą dziewczynę, przytem polecił mu poprosić obie panie, aby przyszły odwiedzić go jako rannego.

Te żądanie obraziło cesarzową.

— Nie spełnimy tego rozkazu — rzekła — powiedz swemu zwierzchnikowi, że zabraniam mu przychodzić do nas. Jeżeli ośmieli się gwałtem przestąpić ten próg, będzie mówił sam tylko, bo my nie odezwiemy się ani słowem.

Dozorca był całą duszą oddany Mangisowi i nie mógł ukryć swego niezadowolenia.

Mrużąc pod nosem przekleństwa, wyszedł. Obie przyjaciółki nie zwróciły uwagi na jego szemranie, tak całe były zatopione w myślach o nowym przyjacielu, którego im Opatrzność zesłała. Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Judyta i Genowefa podeszły do drzwi, chcąc wyjść na przechadzkę, lecz znalazły drzwi zamknięte, nikt nie odpowiedział na ich stukanie. Po jakimś czasie otworzyło się okienko we drzwiach i w niem ukazała się twarz dozorca.

— Przechadzki zostały wzbronione — rzekł — taka jest odpowiedź burgrabiego na wasze słowa!

— Czyż śmie zastosować dawniejszą surowość wbrew rozkazom króla? — spytała cesarzowa.

— Tak. Nietylko nie wolno wychodzić, ale nawet wychylać się przez okna. Łucznicy pilnują.

I okienko zamknęło się. Obie nieszczęśliwe niewiasty osłupiały; Genowefa przysłała prędzej do siebie, wzięła Judytę za rękę i poprowadziła do niszy przy oknie, gdzie stał fotel...

Judyta rzuciła się na fotel gdzie siedziała całą godzinę nieruchoma obojętna na pieszczoty i słowa pociechy przyjaciółki.

Wreszcie uspokoiła się nieco, a zwracając się do Genowefy, spytała żywo:

— Czy bardzo wysoki był ów mąż nieznajomy?

— Istny olbrzym, postawą podobny nieco do tego żołnierza, który tam stoi na wale — odpowiedziała Genowefa, stojąca przy oknie.

Judyta wspięła się na palcach, spojrzała i rzekła:

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

11

Podatek do N-ru 11 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

— To dziwne... ten łucznik... zdaje mi się, że pomimo odległości poznaje go... On patrzy w nasze okno.

— Ostrożnie! — zawołała Genowefa — proszę nie zapominać o groźbach Mangisa!

W tej chwili żołnierz zrobił ruch ręką, jakby przyzywał do okna. Napróżno Genowefa wstrzymywała Judytę, cesarzowa była już przy oknie. Żołnierz naciągnął łuk i wystrzelił. Idąc za popędem serca, młoda dziewczyna zasłoniła własnym ciałem cesarzowę, lecz strzała przeleciała nad ich głowami i uwięzła w przeciwniejszym ścianie.

— Zbrodniarz! — zawołała Judyta — chciał mnie zabić.

— Nie, nie — zaprotestowała żywo Genowefa która odwrócona do ściany ujrzała strzałę — nie złorzeczenie mu pani!

Cesarzowa ze zdziwieniem spojrzała na młodą dziewczynę. Genowefa podeszła do ściany i wspinając się na palcach wyciągnęła strzałę, do której był przywiązany skrawek pargaminu.

IV.

Wysyłając Judytę do Tortony, Lotaryusz pragnął, aby niewola i niewygody skróciły jej życie. Przepisy co do obchodzenia się z nią, pełne omówień i dwuznaczników, wydane pierwszemu burgrabiemu okazały się w tym względzie bezowocne. Lotaryusz w przeciągu kilku miesięcy napróżno czekał wieści o śmierci cesarzowej. Burgrabia nie rozumiał tych dwuznaczn-

ków, czy też był zanadto uczciwym. Wtedy Lotaryusz znalazł człowieka, więcej odpowiedniego do swoich niecných zamiarów, człowiekiem tym był Mangis. Wybór był nadzwyczaj trafny; jeżeli dotąd wola Lotaryusza nie została spełniona, to tylko dla tego, że Longobard obmyślał najwygodniejszy środek zgładzenia Judyty, a nadto że w sercu jego obudziła się litość dla Genowefy, na widok jej piękności i młodości. Nie mógł wymyślić żadnego sposobu, któryby dotknął tylko samą cesarzowę; nie można było użyć trucizny, gdyż Genowefa próbowała pierwsza wszystkich potraw i napoi, również zasłoniłaby ją przed każdym ciosem. Przysiężem trzeba było wszystko tak urządzić, aby zgon miał pozór nieszczęśliwego wypadku lub choroby. W końcu burgrabia postanowił uciec się do nowego środka: ogłosił wszędzie w okolicy, że potrzebuje łuczników biegłych w swej sztuce, i naznaczył próbę celności, na którą stawili się wszyscy najlepsi strzelcy; jeden z nich został przyjęty. Dozorca Genseryk, znający zamysły swego pana, zauważył:

— Ten łucznik wydaje mi się bardzo ograniczony i uległy. To dziki niewolnik, który się nie zastanowi nad spełnieniem każdego twego rozkazu, panie!

— Tak — odpowiedział cicho Mangis — to właśnie jest człowiek, jakiego nam potrzebna!

Łucznik ów był olbrzymiego wzrostu, z wyrazem twarzy uległym i prawie idiotycznym, z włosami spadającymi na czoło, z głową spuszczoną, oczami przy-mrużonemi, twarzą brązową i zawsze nieruchomą. Kiedy go spytano o pochodzenie odpowiedział:

- Jestem Scyt.
- Jak się nazywasz?
- Enoch.

Został on przyjęty na tydzień przed wyżej opisanym zdarzeniem.

Nazajutrz po owym nieszczęśliwym wypadku, Mangis leżąc potłuczony cały, czytał rozkaz Lotaryusza, przywieziony mu przez jakiegoś zakonnika. Na twarzy jego malowało się niezadowolenie.

Wtej chwili wszedł Genseryk.

- No i cóż — spytał chory.
- To, czegośmy oczekiwali, stało się!
- Nie spełniła mego rozkazu i za to przebiła ją strzała Enocha?

— Tak, Enoch strzelał, lecz tym razem zręczność jego zawiodła.

- Przekleństwo!
- Uspokój się, panie, jutro będziemy szczęśliwsil
- Ale Judyta już więcej nie będzie wyglądała przez okno.

— Cóż z tego, ale wyjdzie przecie kiedyś na przechadzkę! Zrobiłem wymówkę Enochowi przy wszystkich jego towarzyszach i przebaczyłem mu tylko dla tego, że się ukorzył i przyrzekł poprawę. Panie burgrabio, urządźcie jutro ucztę dla posła cesarskiego, zaproście wszystkich, żeby nie było świadków, a wtedy łucznik spełni wasz rozkaz i nie chybi.

— Rozumiem — rzekł burgrabia — idź zaraz do cesarzowej, donieś jej o przybyciu mnicha, i pozwól na wieczorną przechadzkę pod warunkiem, żeby zamileczała

przed mnichem o wszystkim, co zaszło. Ja ją znam, jak raz przyrzeknie, dotrzyma słowa!

Nazajutrz Genseryk udał się do cesarzowej i spełnił polecenie Mangisa. Judyta przyrzekła nie skarżyć się; w duszy cieszyła się nawet z tej prośby, bo mogła teraz wyjść na przechadzkę i spotkać jednego z trzynastu.

Mnich przyszedł odwiedzić cesarzową, Genseryk wczasie jego odwiedzin był obecny, jednak czujność jego została oszukana.

Kiedy zostały same, Genowefa pokazała cesarzowej kartę, którą podał jej zakonnik.

Na pergaminie napisane były słowa następującej treści:

„Przywdziejcie jaskrawe płaszcze i wyjdźcie na wały, skoro tylko posłyszycie hasło: Karol i Francya.”

Dzień wydał im się nieskończenie długim, nie mogli się doczekać chwili, w której miały wyjść na przechadzkę. Ktoś chciał je wyswobodzić, lecz jak i kiedy? Wszakże zamek był tak pilnie strzeżony ze wszystkich stron!

Od dwunastej w południe zaczęła się ucztą u burgrabiego. Pomimo ran, Mangis zasiadł do stołu, po prawej stronie posadziwszy mnicha, a po lewej Genseryka.

Na ogromnych srebrnych misach podawano mięsa jedno po drugim; w puharach pienilo się wino. Wszyscy pili oprócz mnicha, któremu reguła zakonna zabraniała wszelkich trunków. Zamiast wina nalewał sobie wodę. Z początku ucztę nikt nie zwracał na to uwagi, lecz kiedy wino zaczęło już działać, ze wszystkich

stron proszono, żeby i mnich nie gardził szlachetnym napojem.

— Waleczni rycerze — odpowiedział mnich — nie nalegajcie, gdyż pić nie będę; ale postępując według zwyczaju ustanowionego w klasztorze naszym od wieków, napelnę sam wasze puławy i pobłogosławię sok winnej jagody, by wam służył na zdrowie.

Przemowa ta zyskała powszechny pokłask, zakonnik wzięwszy dzban ze słodkim cypryjskim winem z rąk służby, postawił go na stole, wyciągnął nad nim ręce, i zdawał się modlić. Modlił się rzeczywiście, żeby mu Bóg przebaczył podstęp uczyniony dla dobrej sprawy, gdyż tymczasem nieznacznie wlewał do dzbana płyn zawarty w małej fiaszce, którą trzymał w lewej ręce. Potem wzięwszy dzban obszedł stół naokoło, napelniając puławę każdego biesiadnika. Nalawszy wody do swojej czary wznosił toast, po którym wszyscy opróżnili kielichy.

W tym samym czasie Enoch spełniał podobną czynność wśród żołnierzy i służby. Przy ogólnych okrzykach zachwyty postawiono beczkę wina na stół i Enoch wziął na siebie godność podczaszego. Słońce chyliło się już ku zachodowi, uczta trwała ciągle, ale gwar biesiadników miast wzrastać, ustawał.

Genseryk szepnął Mangisowi na ucho:

— Świeże powietrze otrzeźwi nas. Każ postawić straż nocną i otworzyć komnaty cesarzowej nadszedł czas przechadzki...

Wstał, żeby spełnić, co powiedział, a Mangis zwróciwszy się do mnicha rzekł:

— To godzina przechadzki cesarzowej. Widzicie, jak dobrze się z nią obchodzimy.

Mnich w milczeniu skinął głową. Genseryk wyszedł.

— Towarzysze! — zawołał Mangis, wino daje siłę, wypijmy jeszcze!

Niektórzy chcieli korzystać z uprzejmości gospodarza, ale zmęczenie brało górę, inni nie mogli się po-dnieść, a byli i tacy, co już słodko spali, oparli się głowę o stół.

Mnich poprosił o pozwolenie oddalenia się do swojej celi. Mangis zamruczał coś pod nosem i zasnął głębokim snem w swym wygodnym fotelu. Mnich obszedł całą salę zdając się być bardzo zadowolony.

Tymczasem Genseryk stał na progu komnaty, w której biesiadowała służba i przyglądał się, jak wszystkich zwyciężał sen.

— Kto z was najmniej pijany, niech stanie na straży — zawołał.

— Ja! — odezwał się Enoch.

I rzeczywiście wyglądał zupełnie trzeźwo.

— Dobrze — odrzekł uradowany Genseryk — chodź ze mną, mój dzielny chłopcze.

Enoch wziął płaszcz i łuk i poszedł za Genserykiem. Genseryk poprowadził go na stanowisko przed okno Judyty.

— Stań tu!

— Stoję — odparł Enoch.

— I celuj tym razem lepiej!

— Jeżeli nie trafię, zgładzicie mnie panie!

Olbrzym wyglądał strasznie. Nastąpiła chwila milczenia, Genseryk patrzył uważnie na mury, gdzie ukazały się dwie kobiety, ubrane jedna w czerwony, druga w niebieski płaszcz. Genseryk udał, że ich nie widzi, a zwróciwszy się do Enocha pokazał mu złoty łańcuch, mówiąc z cicha.

— Możesz zaraz otrzymać ten łańcuch, to od ciebie zależy!

— Rozkazujecie!

— Patrz na wały! Co tam widzisz?

— Dwie kobiety: jedna wysoka, a druga niska.

— Weź na cel wysoką!

— W czerwonym płaszczu?

— Tak, i mierz dobrze.

Enoch wziął łuk i zaczął naciągać cięgiwę!

— Zaczekaj chwilę—rzekł Genseryk—pozwól mi odejść kilka kroków, a wtedy strzelaj!

I oddalając się, po raz drugi pokazał Enochowi złoty łańcuch, lecz Enoch przywołał go jeszcze do siebie.

— Jak zabiję, co mam uczynić?

— Przyjdź do mnie.

— Genseryk odszedł i, wyciągnawszy sztylet z pochwy, rzekł do siebie.

— Ty też nie ujdiesz śmierci, mój chłopcze; nie będziesz już potrzebny.

Odszedłszy o sto kroków zatrzymał się i zwrócił w stronę Enocha, który naciągnął już łuk, lecz nagle po stąpił krok naprzód i zawołał:

— Ja zawsze strzelam w pierś!

Strzała świsnęła w powietrzu, a Genseryk padł ugodzony w samo serce. Wtedy olbrzym wyprostował się i zawołał:

— Francya i Karol!

Nieszczęśliwe kobiety posłyszawszy to hasło, zaczęły powiewać chustkami, lecz już z dwóch stron biegło do nich dwóch ludzi. Enoch z szybkością pioruna wypuścił ku nim po strzale. Upadli. Potem upojony tryumfem zwycięstwa jeszcze raz zawołał:

— Karol i Francya!

W tej chwili ukazał się mnich.

— Ciszey! — zgromił łucznika.

— Przebaczenie — rzekł łucznik — zapomniałem, że musimy jeszcze zawładnąć głównem wejściem. Wybaczcie Eginhardzie!

Jakby odrodzony na dźwięk tego imienia zakonnik odrzucił habit, w jednej chwili zmienił się w rycerza, zakutego w stal. U prawego boku miał dwa miecze, na ich rękojeściach wyryte było to samo hasło: „Francya i Karol.”

— Bracie — rzekł rycerz — weź jeden z nich!

— Jeszcze zawczasie, muszę się rozprawić z dwoma żołnierzami, stojącymi na straży.

Judyta i Genowefa biegły z całych sił do swoich zbawców. Rozprawiwszy się ze strażą, Enoch wziął za ręce obie kobiety i sprowadził po drabinie, ale na dole trzeba było przejść jeszcze obok jednej straży. Na znak Eginharda kobiety schowały się za węglem muru.

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

12

Podatek do N-ru 12 *Wieczorów Rodzinnych* 1901 r.

— Teraz przyszła kolej na miecze—rzekł Enoch.

Po krótkiej walce jeden tylko z czterech zdołał ucieczką ocalić sobie życie, a znalazłszy się na górze, zaczął krzyczeć.

— Zdrada! Zdrada!

— Trzeba spuścić most zwodzony — powiedział Eginhard, gdyż ten tchórz może całą załogę zamkową obudzić, choć śpią mocno.

Rzeczywiście z wielu stron zbiegać się poczęli ludzie, nadbiegł i Mangis, lecz Enoch nie stracił przytomności umysłu, rzucił się na most, zabrzęczały łańcuchy, i do twierdzy galopem wpadł cały oddział rycerzy. Na czele jechał sam Roland, za nim obaj bracia January i Beranger, a w końcu hrabia Eufanisz, który wołał z konia:

— Zuch Landryk, zuch!

V.

Przenieśmy się teraz do młodego księcia Karola, który stał się w przyszłości założycielem właściwego królestwa francuskiego.

Gdy został uwięziony przez braci przyrodnich, miał tylko lat piętnaście. Choć wysokiego wzrostu, rozumny i ujmujący, odznaczał się zniewieściałością, dość rzadką w owych czasach, a pochodzącą ze zbyt miękkiego wychowania. Ta zniewieściałość wszakże ocalała mu życie, bo gdyby bracia odgadli w nim mężnego rywala, niezawodnie postaraliby się usunąć go ze swej drogi. Są nawet pewne poszlaki, że okrutny Lo-

taryusz chciał jego śmierci, wysyłając go do oddalonego klasztoru Prume.

Za czasów Merowingów niktby się nie namyślał nad popełnieniem zbrodni, ale w IX-ym wieku pod wpływem wiary chrześcijańskiej, obyczaje bardziej się ucywilizowały i sumienia uszlachetniły. Zresztą Karol był strzeżony, gdyż za uwożącym go orszakiem podążali hrabia Robert, Bertold i Duplessis. Podróż była długa i ledwie na ósmy dzień stanęli u celu.

Prume, (lub Prüm) miasteczko niedaleko Trewiru, leży w malowniczym położeniu. Założycielem klasztoru w Prume był święty Benedykt w 721 roku. Pierwsze klasztory były nie tylko schronieniem dla ludzi pragnących usunąć się od świata dla chwały Bożej, lecz rozsądnikami oświaty i rolnictwa. Ogromne obszary ziemi rozciągały się przy klasztorach i od VIII wieku na tych polach słyhać było oprócz skrzypienia soch i bron, szczęk broni, dźwięk rogów myśliwskich i szczekanie psów, gdyż z powodu ciągłych wojen, zakonnicy czasem musieli być na wpół rycerzami, chadzali na boje i na łowy, a klasztory zmieniały się powoli w twierdze. To samo było i z Prume.

Kiedy za nieszczęsnym młodzieńcem zamknęły się ciężkie wrota klasztorne, młode serce jego ścisnęło się na widok murów więzienia, a po policzkach popłynęły łzy.

— Nie bój się synu mój, pamiętaj, że to dom Boży! — rzekł przeor.

Karol spojrzał na przeora, twarz jego była surowa, wzrok zimny, rysy prawidłowe, posągowe niemal,

ręce miał delikatne jakby stworzone do błogosławienia, a głos melodyjny do śpiewania hymnów na cześć Stwórcy. Był to słynny Tegan, który później opisał życie Ludwika Dobrotliwego.

Objął on dostojeństwo Eginharda, który, jak mniemano powszechnie, zmarł przed dwoma laty; za spokój jego duszy codzień w klasztorze się modlono. Czytelnicy wiedzą, że ta śmierć była udaną, a grób Eginharda pusty. Eginhard był przekonany, że silniej będzie działał na przesądne umysły współczesnych, chodząc po świecie jako duch, niż jako zwyczajny człowiek. Ułożywszy cały plan na sześć miesięcy przed wrzekomą swą śmiercią, następcą swym mianował Tegana.

— Przyjacielu, byłeś moim uczniem, teraz ja żądam od ciebie przyjacielskiej usługi, bądź mi posłusznym!

— Uczynię wszystko, co rozkażecie, przecież zostałem sprzymierzeńcem Lotaryusza, boście tego ode mnie wymagali!

— I musisz zostać jego sprzymierzeńcem nawet po mojej śmierci, to odpowiada moim zamiarom!

— Po waszej śmierci, ojcze?

Wówczas Eginhard wyznał mu przysięgę dwunastu, daną Karolowi Wielkiemu i wtajemniczył w dalsze swe plany.

Oto dlaczego przeor, przyjąwszy Karola serdecznymi słowami, zostawał na pozór zimny, bo widział, że oczy całego hufca i wszystkich zauszników Lotaryusza zwrócone są na niego.

Zostawiwszy Karola w sali przyjęć, dowódca oddziału zaczął rozmowę z przeorem i oznajmił żądanie Lotaryusza, aby w ciągu roku Karol przywdział habit zakonny, poczem oddalił się.

* * *

Przeminał rok. Karol, który z początku myślał, że umrze z rozpacz, uspokoił się i przy staraniach Tegana nie stracił nadziei odzyskania swobody. Ten rok zmienił go do niepoznania. Przeor, idąc za wolą trzynastu paladynów, rozwijał jego duszę, umysł i ciało. Trudno było poznać w tym młodzieńcu, pełnym sił, zdrowia i energii, dawnego Karola, chłopca słabego i zniewieściałego. Teraz był godnym wnukiem wielkiego dziada. Nauczyciele jego okazali, rzecz można, cudu, przetwarzając go w tak krótkim czasie...

Pewnego razu, nocną porą, wjechał do klasztoru zbrojny hufiec Hanelona. Hanelon wyleczył się z ciężkiej rany, zadanej mu przez strzałę Landryka, i znowu rozpoczął swoją nikczemną działalność.

— Przybyłem po Karola — rzekł do przeora.

— Dokąd chcecie go zawieźć?

— Do cesarza Lotaryusza, który pokieruje jego losem według swej woli. Oto rozkaz!

I podał pargamin z cesarską pieczęcią. Przeor podniósł pargamin do światła i ujrzał wśród innych ozdób kaligraficznych ptaka, który był umówionym znakiem między nim i Eginhardem. Badając starannie rysunek przekonał się, że linie ptaka tworzą literami greckimi napis następującej treści: „Puście chłopca, przydawszy towarzysza.”

— No i cóż? — spytał Hanelon niecierpliwie.

— Rozkazu usłucham — rzekł przeor. — Kiedy więc chcecie jechać?

— Dziś jeszcze, tej nocy!

— Zaraz każe obudzić Karola. Lecz wy zjedziecie przynajmniej wieczerzę!

— Dziecię moje — mówił Tegan w godzinę później, przyszedłszy do księcia, — dowódzca oddziału, który przybył po ciebie, jest twoim najzaciętszym wrogiem, dlatego w jego oczach musisz udawać dawne dziecko!

— Dobrze — odparł młodzieniec — Bóg mi w dobrej sprawie pomoże! Lecz cóż mam mu powiedzieć?

— Że się boisz jechać konno, żeby nie spaść z konia w drodze.

— Ależ to wstyd dla rycerza.

Przeor chciał coś odrzec, lecz w sąsiedniej komnacie ktoś zaczął chodzić, Tegan miał czas tylko objąć młodzieńca, przycisnąć do piersi i szepnąć:

— Dla obrony życia... A teraz żegnaj mi, królu, niech cię Pan Zastępów niebieskich prowadzi!

I objęli się na chwilę. Na progu ukazał się Hanelon.

— Mój uczeń już gotów — rzekł przeor.

Hanelon spojrzał uważnie na młodzieńca i bardzo się ucieszył, gdyż Karol wydał mu się słabym i wynędzniałym.

Wszystko już było gotowe do odjazdu. Przyprawiano młodemu księciu osiodłanego wierzchowca, lecz Karol stanowczo się wzbierał od konnej jazdy.

— Co! — zawołał Hanelon — boicie się wsiąść

na konia. I to ma być młodzieniec, wnuk Karola Wielkiego!

— Nie uczyłem go jeździć konno — z uśmiechem zauważył Tegan — lecz sądzę, że się zgodzi na konną jazdę, jeśli dwóch ludzi będzie wiodło konia. Tak zwykle jeżdżą dzieci i kobiety.

— Przystałbym na to żądanie — rzekł Hanelon — lecz hufiec mój mały i nie mogę go uszczuplać; przytem jedziemy prędko.

W tej samej chwili w podwórzu klasztorne ukazało się dwóch ludzi, okrytych w skóry zwierzęce, którzy przynieśli zwierzynę na sprzedaż.

— Ci ludzie mogą biedz przy koniu — zawołał przeor — samo niebo przysyła ich. To są myśliwi, którzy zawsze dostarczają nam zwierzyny, oni nieraz na łowach wyprzedzają psy; nie wiem tylko, czy się zgodzą iść z wami.

— Ja im sowicie zapłacę!

— Dobrze — rzekł Tegan — spróbuję pomówić z nimi, gdyż znają tylko saskie narzecze, które wam jest pewno nieznane.

Sasi chętnie przyjęli propozycję przeora i stanęli z dwóch stron rumaka, Karol wtedy dosiadł go. Odjeżdżając, spojrzał jeszcze raz na mury klasztorne, oczy jego napęłniły się łzami i szepnął do siebie:

— Znowu sam zostałem!

W tej chwili lekko dotknięto jego kolan, Karol spojrzał na dwóch ludzi, trzymających uzdę, a poznawszy w nich swych przyjaciół: hrabiego Roberta i Bertolda, o mało nie krzyknął ze zdumienia.

VI.

Chociaż mało zostało pamiątek z epoki Karłowin-
gów, jednak ruiny klasztoru w którym się męczył Lu-
dwik, przetrwały do naszych czasów. Klasztor ten
znajdował się niedaleko od Soissons, starej stolicy
Merowingów, a zbogacony przez Karola Wielkiego, od-
znaczał się wspaniałością i ogromem rozmiarów. Ko-
ściół katedralny dotąd zadziwia pięknnością, w podzie-
miu swem mieści katakumby, w których już tyle wieków
spia Merowingowie, pierwsi królowie Franków. Na pra-
wo od wejścia znajduje się więzienie, mała cela, mająca
ośm kroków długości i pięć szerokości, maleńkie okienko
w górze, przez które ledwo dostaje się światło, i nagie
wilgotne ściany.

W takiej celi był zamknięty przez cały rok stary
cesarz. Oprócz braku swobody, męczyła go jeszcze
niepewność o los żony i dziecka; słyszał, że ich uwiezio-
no jednocześnie z nim, lecz nie wiedział, czy żyją jesz-
cze. Kiedy wreszcie zasypiał znużony, nawet we śnie
trafiły go zmyły i złe przeczucia. Siepaczami jego byli
właśni synowie, a w szczególności ten, którego dawniej
kochał najwięcej.

Kiedy stróż więzienny przynosił mu zwykły posi-
łek: chleb suchy i wodę, Ludwik wyciągał do niego
błagalnie ręce i pytał:

— Co się stało z moją małżonką i synem?

I zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź:

— Wyrzeknij się tronu!

Od czasu do czasu przychodzili mnisi i siadali,
milcząc jak posągi, napróżno Ludwik dopytywał się ich
o los swojej rodziny, odpowiadali mu zawsze to samo:

— Wyrzeknij się tronu i dziedzictwa Karola Wiel-
kiego na korzyść Lotaryusza!

Potem przypominali mu jego grzechy, wspominali
nieznacznie o Bernardzie, choć ten krwawy cień i tak
niepokoił nieszczęsnego starca. Ludwik zakrywał twarz
rękami i płakał.

— Rozumiem, że Bertrada, mści się za swoje nie-
szczęście, ale oni, ale on!

Najgorszym i najwięcej nieubłagany z dozorców
był Ebbo. Z pochodzenia prosty wieśniak, tylko przez
łaskę Ludwika doszedł do późniejszych godności. Nie
zważając na srogie obejście, na ciągle powtarzanie tych
samych żądań, Ludwik był nieugięty i nie zrzekał się tro-
nu. Miał bowiem nadzieję, że Bóg zmiłuje się nad ni-
mi. Podtrzymywała go też ufność w siłę i wierność trzy-
nastu paladynów.

Nie widział żadnego z nich, a pomimo to był pe-
wny, że czuwają nad nim nawet tu, w więzieniu; zresztą
miał tego dowody: znajdował kartki na dnie kubka z wo-
dą, lub w chlebie, dolatywał też jego uszu oddalony
odgłos znajomego hasła „Karol i Francja!”

Czasami któryś z mnichów podchodził do nie-
go, przyjaźniej ścisnął za rękę i mówił łagodnie,
jakby znajomym głosem: „Cierpliwości!” Ludwiko-
wi się zdawało, że poznawał Eginharda. Ta sama po-
stać, ten sam głos, te same oczy błyszczące z pod ka-

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

13

Dodatek do N-ru 13 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

ptura. To był on bezwątpienia! niekiedy też mówił do więźnia: „chwila kary bliska, odwagi, Ludwiku!”

Tymczasem w całym państwie, zawdzięczając staraniom trzynastu, nie tylko biskupi i hrabiowie przechodzili na stronę Ludwika, lecz i królowie Akwitanii i Niemiec, żalowali swego postępuku względem ojca. Najwięcej wpłynęli na nich Hugo i Drago, odpłacając przez to Ludwikowi dobrem za złe, (gdyż cesarz kiedyś kazał im gwałtem wstąpić do klasztoru). Mawiali oni zwykle:

— Moglibyśmy skarżyć się na Ludwika, lecz z łaski Bożej i z woli Karola wielkiego jest on naszym cesarzem i musi nim zostać do śmierci!

Do braci Lotaryusza mówili znowu:

— Dlaczego nie chcecie pozostać pod władzą Ludwika, ojca waszego, człowieka dobrego, zamiast paść ofiarą niewdzięczności i przebiegłości chytrego Lotaryusza.

Wtedy Ludwik i Pepin nie mogli powstrzymać gniewu, gdyż stosunki ich ze starszym bratem były coraz gorsze. Ale sprawa nie była łatwa, bo trzeba było usypiać podejrzliwość Lotaryusza, Hanelona i Bertrady.

Eginhard dodając odwagi Ludwikowi, miał na to pewne dane, gdyż Hanelon i Bertrada uprzedzali Lotaryusza, że niezadowolenie w narodzie rośnie.

Z początku Lotaryusz nie chciał wierzyć tym pogłoskom, ale przekonał się, gdy przybyli posłowie z Niemiec i Akwitanii. Bracia wymawiali mu prześladowanie ojca i domagali się mówienia z nim, jeżeli nie oświadcicie to przynajmniej przez posłów.

Lotaryusz zrozumiał niebezpieczeństwo, więc wywiózł ojca z Soissons i pojechał z nim do Akwizgranu. Bładość i słabość starca świadczyły o cierpieniach, lecz Lotaryusz miał nadzieję, że w drodze zdrowie jego się polepszy, to też podróż odbywano powoli, z ciągłymi popasami. Lecz w końcu musiano przybyć na miejsce, gdzie posłowie czekali od dawna.

Przed przyjęciem posłów, Ebbo wszedł do Ludwika i rzekł mu:

— Pamiętaj, że Karol i Judyta są w naszych rękach, i będą rękojmnią twego milczenia. Jeżeli powiesz choć jedno słowo przeciw nam, choć jedną skargę, to spojrzę w okno, gdzie będą stali dwaj ludzie, niewzruszeni jak los, dam im znak, znak ten będzie wyrokiem śmierci dla Judyty i Karola.

— Będę milczał, będę milczał! — zawołał starzec.

W godzinę potem weszli posłowie Ludwika Niemieckiego i Pepina. Ludwik wstał, żeby powitać ich, lecz siły odmówiły mu posłuszeństwa.

Rozległ się szmer oburzenia i politowania; Ludwik błagalnie wyciągnął ręce, lecz niespodzianie posłyszał znowu tuż obok siebie głos Ebba:

— Pamiętaj, iż tu jestem!

Cesarz opuścił ręce i nie spojrzął na zebranych.

— Cesarzu Ludwiku — rzekł pierwszy poseł, mój pan, Ludwik Niemiecki, nie zapomina, że jest twoim synem, i przysłał mnie, abym się dowiedział, czy otaczają ciebie szacunkiem i wygodami należnymi twemu stanowi i wiekowi?

— Racz odpowiedzieć — rzekł drugi poseł. —

Król Pepin, twój syn a mój pan, żądał wprawdzie kiedyś, żehyś się zrzekł dziedzictwa po ojcu Karolu Wielkim, lecz teraz pragnie, abyś zachował tytuł cesarski i rządu, gdyż należy ci się to nie tylko z prawa, lecz również za twoją dobroć!

— Tak, tak — odezwali się wszyscy obecni — rzeknij tylko jedno słowo, a nie pożałujemy życia dla ciebie!

Ludwik, widząc życzliwy nastrój wszystkich, przyjazne uśmiechy i łzy w oczach, powstał i zbliżył się żywo do swoich obrońców, lecz ujrzał jak Ebbo wszedł na schodki, i oparłszy się na ramie okiennej, czekał, co powie Ludwik, żeby dać znak; starzec pomyślał o Judycie i Karolu i rzekł:

— Nie obwiniam nikogo, nie skarżę się... jestem zadowolony.

A w duchu pomyślał:

— Ocaliłem życie ukochanych.

Szmer zdziwienia i zawodu przeszedł po zebranych; nikt nie oczekiwał takiej odpowiedzi. Stronnicy Lotaryusza zaczęli śmiało przemawiać, i wkrótce żołnierze odprowadzili Ludwika do oddalonej komnaty, gdzie starzec, padłszy na kolana przed krucyfiksem, gorąco się modlił. U podnóża krzyża zauważył jakiś napis niewyraźnie wyryty na drzewie, pochyliwszy się przeczytał: „Nie rozpaczaj! opiekują się tobą, twoim synem i żoną! Cierpliwości i męstwa.”

Ludwik ucieszył się niezmiernie, przeczytawszy te słowa. Przez kilka następnych dni, dużo ludzi odwiedzało go, lecz zawsze w obecności Ebba. Lotaryusz

zapomniał o trzynastu tajemniczych rycerzach i ich stronnikach. Większość gości rozjechała się nareszcie, a w tej liczbie i posłowie, mówiąc:

— Ludwik musi strasznie cierpieć, postarzał bardzo i zmizerniał. Jeżeli milczy, to pewno pod wpływem jakiejś groźby. Nie można zostawić syna Karola Wielkiego w takich męczarniach!

Zdanie to tak się rozpowszechniło, że wkrótce nie było w całym państwie człowieka, któryby inaczej myślał.

Lotaryusz był przekonany, że niebezpieczeństwo minęło, lecz dla osiągnięcia zupełnego tryumfu musiał jeszcze otrzymać zrzeczenie się tronu na swoją korzyść.

— Niech ustąpi — mówił — bo inaczej...

Po pewnym więc czasie kazał przewieźć Ludwika do Compiègne, a stamtąd do więzienia Saint-Médard. Znowu zaczęły się męczarnie dla nieszczęsnego starca, który nie ustępował i był stanowczym, tak jak poprzednio. Siepacze tracili już cierpliwość, gdy nareszcie zjawił się Hanelon. Przez cały rok leżał on w łóżku, lecząc rany, zadane przez Landryka, w obawie śmierci głównie dlatego, żeby nie umrzeć bez zemsty.

Jak tylko odzyskał siły, siadł na konia i pojechał do Compiègne. Lotaryusz ucieszył się ujrzawszy wiernego sługę i prawą rękę w zbrodniczych zamiarach; więc zamknął się z nim rad, że ma przed kim wylać swoją wściekłość. Wysłuchawszy gorączkowego opowiadania Lotaryusza, Hanelon zamyślił się. Potem podniósł głowę i patrząc prosto w oczy Lotaryusza, zapytał:

— On milczał, kiedy mu zagrożono śmiercią Karola?

— Tak.

— Pod wpływem tej samej groźby zrzecze się tronu?

— Probowaliśmy tego środka tyle razy i zawsze napróżno.

— Ręczę za powodzenie, panie, pozwólcie mi tylko działać!

— Cóż chcesz uczynić?

— Najprzód pojechać do Prume i przywieźć Karola!

— W jakim celu?

Hanelon wstał i obejrzawszy czy za kotarami nikt nie podsłuchuje, zbliżył się do ucha Lotaryusza i zaczął szeptać.

— O! — zawołał Lotaryusz w zachwycie — wtedy oddam ci całą prowincję.

— Więc mogę jechać?

— Jedź!

— Jutro?

— Dziś wieczór jeszcze!

— Jestem za słaby, bez odpoczynku nie mogę puszczać się w taką podróż, chcę także zobaczyć Bertradę.

— Zgoda — rzekł Lotaryusz — wiem, że Bertrada jest moją stronniceką, lecz jutro musisz wyjechać bez zwłoki!

Wkrótce potem Hanelon był u Bertrady. Nie widzieli się już od roku.

— Hanelonie — pytała Bertrada — coś robił od czasu jak otrzymałeś ranę?

— Cierpiałem, lecz jeżeli nie mogłem działać sam, działali za mnie drudzy, moja korespondencya z tobą jest tego dowodem.

— Prawda — odrzekła Bertrada — chociaż byłeś bliski śmierci, jednak często czułam twoją pomoc, i postępowałam według twoich wskazówek.

— I coś uczyniła?

— Na północy, południu, wschodzie i zachodzie, wszędzie niszczyłam zamiary naszych wrogów, a teraz bliższy jesteśmy zwycięstwa. Uśmiechasz się, nie wieszysz, że mamy wrogów, a więc słuchaj, wszędzie spotykam się z tymi trzynastoma!

— Więc oni tacy potężni!

— Żeby nie oni, zemsta nasza byłaby już dokonana. Ludwik, jego żona i syn dawnoby już nie żyli.

— A żaden z tych trzynastu demonów nie zginął?

— Jeden tylko umarł, ten, któregoś ranił, lecz inni są niepochwytli!

— Czyż to naprawdę widma?

— Bardzo na to zakrawają. Ale my mamy teraz nowego sprzymierzeńca!

— Kogo?

— Niewiastę! Nie uśmiechaj się z niedowierzaniem, Hanelonie, daję przykład, jak niewiasty mścić się umieją.

— Ona także pragnie zemsty?

— Tak, ona pragnie zemsty, jak ja. Ona też jest

wdową po królu bretońskim Morwanie, zabitym na rozkaz Ludwika. Jest to Morgana?

— Morgana, kapłanka druidów? Tak, ona zdolna jest do wszystkiego, tak samo jak ty Bertrado. Cóż nam obiecuje?

— Całą armię Bretończyków, pod wodzą najwaleczniejszego z nich, Nomenoego. Jest on już w drodze i ma złączyć siły swoje z naszymi!

— Niech Nomenoe rusza do Saint-Medard. Powiedz Morganie, żeby Bretończycy ukryli się w górach i czekali znaku. Musimy być ostrożni!

— Dobrze, ja udam się do Morgany. A ty?

— Ja jadę po Karola. Do zobaczenia, Bertrado. Bliscy jesteście celu.

VII.

Nazajutrz rano Hanelon puścił się w podróż. Wiemy już, co zaszło w klasztorze Prume, jak Bertold i Robert potrafili oszukać czujność Hanelona, który wziął ich za dwóch Sasów, braci Markam. Przez drogę nie groziło życiu syna Judyty, gdyż teraz dla naszasterzenia cesarza, Karol był im bardzo potrzebny.

W ten sam dzień, kiedy młody książę przybył do Compiègne, Ludwika przywieziono tam również i zamknięto w małym pokoju, w którym znajdował się tylko klęcznik z krucyfiksem i stół, a na nim inkaust i pióro. Jedna ściana, była zawieszona zasłoną.

Po pewnym czasie rozległ się zgrzyt klucza i ukazał się Ebbo.

— Ludwiku — rzekł — skazany będziesz na wieczne więzienie, jeżeli nie zrzekniesz się tronu!

— Nie! — odrzekł starzec stanowczo.

— Przekonamy cię zaraz. Patrz!

Odsunął zasłonę, za którą była krata. Przez kratę ujrzał Ludwik sklepiiony korytarz. Niedaleko stał Karol, którego trzymało dwóch ludzi, za Karolem stał Hanelon i trzymał miecz nad głową młodzieńca.

— Zrzeknij się tronu — wołał Hanelon — albo syn twój zginie w oczach twoich!

Przerażony starzec rzucił się ku żelaznej kratce, i wyciągnął ręce. Ebbo tymczasem wskazując na krzyż i stół, zawołał:

— Przysięgaj i podpisuj!

Hanelon tryumfował, gdyż było niewątpliwem, że Ludwik złamany, podpisze abdykację wobec takiej groźby. Rzeczywiście starzec zgodził się na wszystko. Zostawiono więc ojca z synem, lecz straż stała u drzwi. Ludwik porwał Karola w objęcia, którego szepnął mu na ucho wskazując straż.

— Ojciec nie bój się, to są nasi przyjaciele!

— Jak to?

Ludwik spojrzał uważnie na braci Markam, którzy przyklękli z przytłumionym okrzykiem:

— Francya i Karol!

Zdziwiony Ludwik zapytał:

— Kto wy jesteście?

— Przysiękliśmy wam, najmiłościwszy panie opiekować się synem waszym i dotrzymaliśmy słowa!

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

14

Dodatek do N-ru 14 Wieczorów Rodziny 1901 r.

Potem zdjawszy futrzane czapki, które im zakrywały twarze rzekli:

— Jestem Robert!

— A ja Bertold!

Ludwik podziękował im gorąco i znowu obaj paladyni stali się braćmy Markam.

Tymczasem Lotaryusz i jego zausznicy zawzięcie się sprzeczhali w obszernej komnacie; jedni dowodzili, iż wystarczy piśmienne zrzeczenie się tronu, ażeby papież je uznał i zatwierdził, inni znajdowali, że potrzebne wyznaczenie głośnie i publiczne. Hanelon i Lotaryusz trzymali się ostatniego zdania, nie więc dziwnego, że przewaga była po ich stronie. Ebbo nadszedł i doniósł Ludwikowi o postanowieniu zgromadzenia.

Nazajutrz w obecności duchowieństwa i narodu, ukląkł Ludwik w kościele i głośnie spowiadał się ze swoich grzechów: Potem podano mu zwój pargaminu, na którym były spisane różne prawdziwe i zmyślone winy starca.

Gdy doszedł wreszcie do śmierci Bernarda, Ludwik padł na kolana, spuścił głowę, odwiązał pas, na którym wisiał miecz rycerski, i pozwolił, że go ubrano w szary płaszcz pokutnika.

W kościele panowała głęboka cisza. Zakonnicy podnieśli starca i posadzili na fotelu pośrodku kościoła. Ebbo zbliżył się do niego ze złotymi nożycami aby obciąć włosy, lecz w tej chwili Lotaryusz szepnął coś Hanelonowi do ucha, Hanelon kiwnął potakująco głową i zwróciwszy się do Ebba rzekł:

— Arcybiskupie! nie spełniliście wszystkich ceremonii: prawo wymaga, ażeby miecz został złamany!

Nawet Ebbo zmieszał się na takie wymaganie. Po chwili odrzekł:

— Nie uczyniliśmy tego, gdyż u boku Ludwika nie wisiał miecz zwyczajny, tylko miecz Karola Wielkiego.

Szmer przeszedł po zgromadzeniu. Lecz Lotaryusz nie pohamował się.

— Prawo wymaga — zawołał, i ja wymagam, aby ten miecz został złamany.

Szmer zwiększył się; zrozumiawszy, że trzeba uledeć, Ebbo wyciągnął miecz z pochwy i podniósł go w górę, aby uderzyć o kamienną posadzkę. Jeszcze chwila i miecza by nie było. Nagle stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Karol przez cały czas tej strasznej ceremonii hamował swoje oburzenie. Nieruchomy, zgnębiony stał oparty o kolumnę, nie śmiejąc podnieść oczu i tylko najbliżsi widzieli błyski, jakie w nich świeciły. Kiedy Lotaryusz ostatnimi słowami znieważył cały ród Karlowingów, pierwszą myślą Karola było uciekać; instynktownie, żeby nie słyszeć obelg zatknął uszy. Wtedy koło niego rozległ się szepot:

— To jeszcze dziecko, on wszystkiego się boi.

Lecz kiedy w zuchwałych rękach Ebba znalazł się miecz Karola Wielkiego, nagłym skokiem stanął przy śmiałku i ujął go za rękę.

— Nie pozwalam! — zawołał — skoro niema tu braci moich Ludwika i Pepina, skoro Lotaryusz nie ceni tej relikwii rodu naszego, to ja jako dziedzic części monarchii zabraniam, by ją znieważano i niszczone.

Zabraniam w imieniu dziada i ojca, bom wnukiem Karola Wielkiego, ten miecz jest także moim!

VIII.

Obecni zdumieli. Postępek Karola wywarł bardzo silne wrażenie, jeszcze chwila, a w kościele św. Medarda mogła się rozpocząć walka. Korzystając z zamieszania, Ebbo wyprowadził Ludwika i Karola, i zamknął ich w klasztorze, lecz nie na długo, gdyż po kilku godzinach wieśniacy pod dowództwem trzynastu paladynów, do których przyłączyli się także posłowie Ludwika niemieckiego i Pepina, napadli na klasztor. Lotaryusz, zawdzięczając tylko Bretończykom, zdołał uciec do Paryża z więźniami. Tam spodziewał się gościnnego przyjęcia, lecz nadzieja zawiodła go. Na wszystkie jego odezwy odpowiedziało tylko kilku baronów.

— Wszystko mi jedno — odzywał się Lotaryusz — zostanie tu!

I zaraz kazał zniszczyć wszystkie promy i mosty na Sekwanie. Chociaż to już była połowa marca, jednak deszcz ze śniegiem padał bezustannie, a rzeki wylały tak, że wojsko przysłane przez Ludwika Niemieckiego na pomoc ojcu, nie mogło przejść Marny, tak samo było i z wojskiem idącym z północy.

Z południa Lotaryusz nie oczekiwał żadnego niebezpieczeństwa, aliiści po paru tygodniach, oddział wysłany na zwiady powrócił, przynosząc niefortunną dlań wieść, że wojska Pepina, dążące z Akwitanii, przeszły

Loarę i nie mogąc przeprawić się przez Sekwanę, idą ciągle lewym brzegiem i są już niedaleko.

— Zginąłem! — zawołał Lotaryusz.

— Jeszcze jedna droga nam została — rzekł Hanelon — uciekać do Włoch przez Burgundye!

Lotaryusz nie odpowiedział, tylko rzucił na Hanelona wzrok pełen nienawiści, gdyż teraz uważał go za sprawcę swych nieszczęść.

Tymczasem przybyli posłowie od braci, żądający natychmiastowego uwolnienia cesarza Ludwika, pod groźbą wojny. Wymaganie to oburzyło zrazu otaczających Lotaryusza; hrabia Landbert odezwał się nawet, że odpowiedzieć na nie można tylko mieczem, ale Lotaryusz ruchem ręki uspokoił swą, i przez kilka chwil panowało milczenie w komnacie, gdzie przyjmowano posłów. Głęboka zmarszczka przecięła czoło króla, wreszcie podnosząc głowę wymówił:

— Nikt nie pragnie ode mnie goręcej szczęścia mego ojca; lecz niewola jego nakazana przez biskupów. Bracia sami chcieli, żeby władza została w ręku ojca i poruczyli mi opiekę nad nim. Jeżeli teraz zmienili zdanie, to trzeba pomyśleć o zmianie ustroju rządu. Dajcie mi dwa dni do namysłu.

Posłowie oddalili się, a oczy obecnych zwróciły się nagle na zmienioną twarz Lotaryusza.

— Hrabio Landbercie — rzekł Lotaryusz — i wy wszyscy panowie dowódcy odjedźcie nie zwłócząc do waszych hrabstw, ze swemi oddziałami, daję wam możliwość ucieczki!

— A wy, miłośniwy panie? — zapytał Landbert.

— Ja? — odpowiedział z gniewem Lotaryusz — przeplnę łodzią na drugi brzeg rzeki, i udam się w Alpy, zkąd przyprowadzę ogromne siły i pobiję obu braci!

— Nie chcemy uciekać pierwszy! — rozległy się głosy — chcemy bronić do końca naszego cesarza!

— Bądźcie spokojni o mnie — rzekł Lotaryusz z takim chłodem i taką pewnością siebie, że wszyscy jak zmrożeni ucichli. — Opuszczę Paryż jutro, gdy muszę wydać jeszcze niektóre rozporządzenia!

Skinął ręką w stronę więzienia, w którym przebywali Ludwik i Karol. Nikt nie mógł odgadnąć, co się miało stać tej nocy. Dowódcy oddziałów nie nalegali więcej; tegoż wieczora opuścili miasto.

Pozbyszszy się niepotrzebnych świadków, Lotaryusz przywołał Hanelona. Spotkali się obaj bladzi, z drżącymi ustami, obaj zajęci tą samą straszną myślą. Zamknawszy starannie drzwi, Lotaryusz popatrzył uważnie na swego wiernego zauszniaka.

— Hanelonie — rzekł w końcu — jeżeli nie chcesz zginąć jutro, to uczyn tak, żeby Ludwika i Karola nie było, gdy słońce wstanie!

— Co mam uczynić?

— Czy ufasz Bretończykom?

— Morgana ręczy za nich!

— Czy ufasz braciom Markamom?

— Ręcze za nich.

— Gdy posłowie moich braci ośmielili się stawiać swe żądanie, taka myśl przyszła mi do głowy: teraz noce ciepłe i jasne, więźniowie chętnie wyjadą wieczorem

na przechadzkę, i niby przypadkiem natkną się na oddział twoich dzikich Bretończyków!

— Słucham.

— Bracia Markam będą ich pilnowali na przechadzce!

Hanelon skinął głową na znak zgody, zaczynał rozumieć.

— Na dany znak... albo lepiej gdy zawołam „Obchodźcie się z należytym szacunkiem z moim ojcem i bratem!” bracia Markam za... zabiją tych więźniów.

— Nakoniec — wyszeptał Hanelon!

— Słuchaj dalej — mówił Lotaryusz — ja nie chcę mieć współników. Na znak dany przez Morgane, Bretończycy powinni rzucić się na owych braci i zgładzić ich. Rozumiesz? Oto mój plan, zdaje mi się, że będzie lepszy od twoich. Teraz idź, przygotuj wszystko według rozkazu, i przywołaj do mnie Morgane.

Hanelon wyszedł, nie wyrzekłszy słowa, a w głowie jego uporeczywie tkwiła myśl:

— Cóż on dla mnie gotuje, jeżeli nie chce mieć współników?

Morgana przybyła zaraz do Lotaryusza, który wtajemniczył ją w swoje plany. Oboje rozumieli się doskonale. Jakiś szelest w ogrodzie zmusił ich do spojżenia w okno; byli to Bretończycy, którzy szykowali się wzdłuż muru.

— Czy Nomenoe sam dowodzi? — zapytał niezadowolonym tonem Lotaryusz:

— Tak — odrzekła Morgana.

— Czy on wie o wszystkim?

— Wie!

— A cóż przyrzeka?

— Ukarać zabójców. Kara! oto były jego słowa.

— Dobrze — rzekł Lotaryusz, a w duchu dodał:— Jeszcze jeden, którego trzeba się będzie pozbyć.

W tej chwili Ludwik i Karol ukazali się w wirydarzu zamkowym. Wieczór był cichy i dość ciepły. Gwiazdy migotały na niebie, księżyc oblewał tajemniczym blaskiem szare mury i srebrzył wodę w rzece. Ostre cienie padały od drzew i przedmiotów. Szczęśliwi i zadowoleni z nieoczekiwanej przechadzki, więźniowie upajali się świeżością wiosennej nocy. Bracia Markam szli za nimi, lecz tym razem wyjątkowo zwracali więcej uwagi na Bretończyków, niż na więźniów. Lotaryusz nie chcąc tracić czasu wychylił się i zawołał umówione zdanie:

— Obchodźcie się z należyтым szacunkiem z moim ojcem i bratem.

Bracia Markam szybko zbliżyli się do więźniów i obnażyli miecze, lecz żaden z nich nie uderzył. Przerażony Lotaryusz zawołał:

— Słyszeliście? czemu nie spełniacie mego rozkazu!

Nie chcąc jednak patrzeć na to, co stać się miało, odwrócił głowę, lecz jakież było jego przerażenie, gdy po kilku sekundach zamiast jęków, usłyszał hasło: „Karol i Francya!”

Nagle z poza węgła muru zamkowego wyskoczyło

czterech paladynów z mieczami w rękach i wraz z braćmi Markamami otoczywszy więźniów powtórnie zawołali:

— Karol i Francya!

Straszna wściekłość ogarnęła Lotaryusza: bracia Markamowie, których uważał za swych sprzymierzeńców stanęli jako przeciwnicy. Znowu widział przed sobą te same miecze paladynów, które tyle razy pokrzyżowały jego nieczne zamiary. Lecz Morgana uspakajała go mówiąc:

— Zapominasz o moich Bretończykach!

A zwracając się do okna wołała:

— Zemsta! zemsta Ludwikowi i Karolowi! zemsta ich obrońcom! Patrzcie ich tylko ośmiu, a was kilka tysięcy! Skończcie z nimi, niech Lotaryusz wie, że to uczyniła Morgana, przez pamięć na nieszczęśliwego króla Morwana! Naprzód!

Lecz Bretończycy nie ruszali się. Nomenoe wystąpił naprzód i rzekł:

— Odmawiam tym razem posłuszeństwa, dla tego właśnie, że ich jest ośmiu, a nas kilka tysięcy. Jesteśmy żołnierze, a nie oprawcy!

Nieoczekiwana odmowa tak zbiła z tropu Morganą, że nie widziała co odpowiedzieć, a Nomenoe ciągnął dalej:

— Nie pragnę cię obrażać, Morgano, ale Bretończycy chcą mieć dowódcą mężczyznę, a nie niewiastę. Mąż twój był bohaterem i królem, lecz on nie żyje, teraz mnie Bretończycy wybrali na wodza swego. Ja nie mam nic przeciw twoim radom, lecz nie chcę słu-

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

Dodatek do N-ru 15 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

chać twoich rozkazów. Dziś chciałaś uczynić nas siepaczami starca i i dziecka, ja na to nie pozwolę!

— Zdrajco! — krzyknęła Morgana — zdrajco, który uchylasz się od zemsty za śmierć swego króla. Czyż nie wiesz, że krew żąda krwi? Lecz ja mam jeszcze wiernych poddanych. Do mnie dzieci gór i lasów, do mnie!

Mówiąc to Morgana wyciągnęła ręce ku żołnierzom. Pomimo szacunku dla Nomenoego, niektórzy z nich, wspomniawszy zmarłego króla, przeszli na stronę Morgany.

— Moi wojownicy — wołała Morgana — posłuchają głosu zemsty!

Poczem zwracając się do nich dodała:

— Śmierć tym więźniom!

Ale partya Nomenoego, rozdzieliwszy się na dwa skrzydła, stanęła przy paladynach. Przestrzeń przed Ludwikiem i Karolem była wolna. Nomenoe wyszedł na przód, a wyciągnąwszy rękę mówił:

— Stójcie synowie Bretanii, nie uderzajcie na naszych rodaków! Nie zaczynajcie bratobójczej walki. Niech stronnicy Morgany będą przedstawicielami naszej przeszłości, my będziemy przedstawicielami przyszłości naszej ojczyzny. Lecz nim stąd odejdziemy, trzeba zapobiedz złemu, które mogłoby się spełnić, a za które potem musielibyśmy się rumienić przed wnukami naszymi. Niech dzieci lasów i gór odznaczają się nie przelewem krwi bezbronnych, lecz szlachetnością, godną pamięci wielkiego króla Morwana! Wróćmy pra-

wa należne cesarzowi Ludwikowi, niech zawdzięcza swoją wolność nam, a nie komu innemu. Czy się zgadzacie?

Odpowiedzią na tę przemowę był okrzyk zadowolenia. Tymczasem Morgana i Lotaryusz, kazali zamknąć bramę ogrodu. Wzburzone głosy doszły uszu Nomenoego, który zawołał:

— Żołnierze! — rozwalajcie mury.

W mgnieniu oka spełniono ten rozkaz, Nomenoe komenderował:

— Zakryjcie się tarczami! lecz nie odpowiadajcie strzałami na strzały, niech ani jedna kropla krwi bretońskiej nie przeleje się!

I dając przykład sam, stanął w pierwszym rzędzie. Za nim stanęli paladyni, otaczający Ludwika i Karola. Była to walka, w której silniejsi ustępowali słabszym. Szeroki wylom w murze otworzył drogę obrońcom staro Ludwika.

— Dokąd miłościwy panie każesz się odprowadzić? — spytał Nomenoe Ludwika.

— Do Saint-Denis — odrzekł starzec — pod opieką patrona Francji, św. Dyonizego.

Powoli przeszli most, który Nomenoe kazał rozrzuć, a stronnicy Morgany nie ścigali ich więcej.

Zdobycz jeszcze raz uszła rąk Lotaryusza.

— Zawsze tych trzynastu! — wołał Lotaryusz, z wściekłością patrząc za odchodzącymi, potem na mały orszak jaki przy nim pozostał.

Podano mu konia, dosiadł go z gniewem i popędził galopem; nieopodal spotkał Hanelona i w porywie gniewu uderzył go mieczem po głowie.

— Miej litość nade mną, panie — błagał Hanelon kłękając.

— Nigdy jej nie doznasz — wołał Lotaryusz, albo przynajmniej dotąd, dopóki mi nie dostarczysz głów trzynastu paladynów.

Tak więc spełzły na niczem zamiary Lotaryusza. Stary Ludwik odzyskał swe prawa, a Nomenoe został królem Bretanii.

IX.

Przenieśmy się teraz do Alp zachodnich w okolice Grenobli do zamku, gdzie zamieszkała matka Januarego i Berangera. Zbudowany na ruinach rzymskiej willi, na wzgórzu, wśród zieleni, wyglądał bardzo malowniczo. Za zamkiem rozciągał się ogród, przez który przepływała rzeka. Nad samą przepaścią na najwyższym szczycie góry stała wieża strażnicza, z której można było widzieć całą okolicę, dlatego też mieszkańcy zamku nigdy nie mogli być napadnięci zniecacka.

Hrabina po śmierci męża oddała się w zupełności wychowaniu swoich młodszych synów. A chociaż minęło już kilka lat od śmierci męża, nie zdjęła żałobnej szaty, twarz jej smętną zawsze, rozjaśniał tylko śmiech i wesołość synów. Pewnego kwietniowego poranku, widzimy ją siedzącą pod rozłożystym dębem, gdzie też zabawiają się jej dzieci; zwykła zaduma ogarnęła ją w tej chwili, gdy nagle lekki, a zbliżony szelest zwrócił jej uwagę, spojrzawszy w stronę, skąd on dolatywał, ujrziała dwie postacie niewieście, z których jedna otulona

była płaszczem niebieskim, a druga szkarłatnym, pierwsza zupełnie młoda dziewczyna, podbiegła ku niej ze słowami:

— Witaj nam pani droga!

Wdowa, poznawszy Genowefę po głosie, uściśnęła ją czule. Przywitawszy swą wychowankę, powstała z szacunkiem przed nieznajomą, która uprzejmie skinęła ręką, skłaniając ją tym ruchem, aby nie szła dalej i mówiła:

— Pani nie zapomniała obietnicy przyjęcia pod swój dach przyjaciółki Genowefy?

Czytelnicy odgadli już zapewne, że tą damą była cesarzowa Judyta.

Zdobywszy zamek Tortony, zwycięzcy udali się ku Alpom, lecz nie wprost, tylko krętymi drogami, żeby się nie spotkać z wojskiem Lotaryusza, którego zamiary odgadywali. Święte Judyty i Genowefy stanowili: Roland, Eginhard, Landryk i dwaj bracia January i Beranger. Z początku szli oni ku północy, jakby do Niemiec, lecz po pewnym czasie zmienili plan, i wysłali pięciu giermków z dwiema niewiastami, ubranymi tak samo jak cesarzowa i jej przyjaciółka do Niemiec, sami zaś udali się na zachód. Biedne kobiety zniosły dużo zmęczenia i chłodu w tej drodze, lecz nie zatrzymywały się ani razu na dłużej, gdyż cesarzowa potrzebowała jakiegoś bezpiecznego schronienia. January i Beranger ofiarowali jej swój zamek, i tym to sposobem cesarzowa Judyta znalazła się gościem u hr. Bajardowej.

Nie będziemy opisywali radości matki na widok synów, którzy opuściwszy ją dziećmi, wrócili młodzieńca-

mi, pełnymi siły i męstwa. Radość jej powiększała obecność Genowefy, którą kochała jak córkę. Wkrótce też nadjechał hrabia Eufaniusz.

— Hrabio — rzekła wdowa — nie znajduję słów na wyrażenie mojej wdzięczności.

— Nie dziękujcie mi, pani, przywiązanie twych synów, jest wielką osłodą mego ciężkiego życia. Pokochałem ich jak własne dzieci!

Obaj młodzieńcy rzucili się ku niemu i uściskali serdecznie.

— Ja codziennie modląc się za nich. — ciągnęła dalej hrabina — wspominałam i o tobie, szlachetny rycerzu, a Bóg wysłuchuje modły matek i wdów!

— Jeżeli tak — odrzekł Eufaniusz — pomódlcie się, hrabino za tę, która oddawna czeka na mnie sama jedna, obleżona przez wrogów. Pomódlcie się, pani, za moją drogą, biedną Klotyldę!

I po męskim obliczu rycerza spłynęła łza rozrzewnienia.

— Niech Bóg się zmiłuje nad wami i zmieni te łzy smutku, na łzy radości.

Tymczasem Eginhard i Roland oglądali zamek. Twierdza była niezdobyta, a gościnność hrabiny i piękne położenie zamku zapowiadały przyjemny pobyt. Postanowiono więc, że cesarzowa zostanie tutaj pod opieką hrabiego Eufaniasza, Januarego, Beranger'a i małej załogi zamkowej, Roland zaś i Eginhard mieli zaczekać na Landryka, aby z nim razem połączyć się z resztą trzynastu, od których już około trzech miesięcy

nie było żadnych wiadomości, zarówno, jak o cesarzu i Karolu.

— Znowu dzień przeszedł — mówiła cesarzowa do swych towarzyszek — a my nic nie wiemy! Ta niepewność zabija mnie! Wolę pojechać do nich.

— Nie uczynicie tego! — zawołał Eufaniusz — po co narażać się próżno na niebezpieczeństwo?

— A cesarz, a mój syn! może oni już nie żyją, a ja tutaj bezpieczna, bezczynnie spoczywam.

— Gdyby się stało to nieszczęście, wieść o niem rozeszłaby się już po całym państwie, tymczasem słyszymy, że cesarz jest w Saint-Médard, wraz z synem swym Karolem.

— Oni są w Saint-Médard! więc ja tam pojedę, nie wytrzymam dłużej zdala od syna.

Hrabina Bajard przez cały ciąg rozmowy przedła w milczeniu i tylko przy końcu odezwała się w te słowa:

— Obaj moi synowie opuścili mnie na drugi dzień po śmierci męża! Poszli walczyć za was, najmiłościwsza pani! Obaj byli bardzo młodzi i tylko cudem mogli ocaleć w tych strasznych bojach. Nie wiedząc o nich nic, poddałam się woli Boskiej; modliłam się i czekałam.

Judyta milcząc, spuściła oczy. Hrabia Eufaniusz przemówił z kolei:

— Otrzymałem od Eginharda miecz w dzień mego ślubu. Rozstałem się z tą, którą kocham nad życie. Później, jadąc z Rolandem do Tortony, żeby was, miłościwa pani oswobodzić, dowiedziałem się, że Bretończycy oblegli mój zamek. Klotylda błagała mnie przez posła, żebym wrócił, obronił ją i uściskał dziecko, któ-

rego dotąd jeszcze nie znam! Wahałem się, nie ukrywam tego... serce moje rozdzierało się... lecz honor przemógł, wybrałem drogę do Tortony. Od tej pory przeszło ośmnaście miesięcy. Zamek Glej-Akwin nie mógł się tak długo bronić. Żona moja i dziecko mogą nie żyć, mogą być w niewoli! Co noc we śnie słyszę ich wołanie, lecz nie idę, spełniając przy boku twym, miłościwa pani, obowiązek.

Cesarzowa powoli podniosła głowę i zawołała:

— Wybaczcie! wybaczcie mojej niewdzięczności! Dziękuję wam za naukę! Wytrwam, będę czekała!

I nieszczęśliwa matka zalała się łzami. Genowefa padła do jej kolan, starając się ją uspokoić.

— Miłościwa pani! miejcie nadzieję w Bogu i ufność w wiernych poddanych, którzy nie szczędzą życia, dla cesarza i młodego księcia. My kobiety miewamy zwykle przeczucia przed śmiercią ukochanych, tymczasem ani wy, ani ja nie miałyśmy ich! Jestem przekonana, że oni żyją i będą wolni. Miejcie nadzieję, pani, bądźcie cierpliwi i nie rozpaczajcie!

Cesarzowa uśmiechnęła się przez łzy. Potem wyciągnęła rękę do hrabiego Eufaniasza.

— Za to coście uczynili dla nas, hrabio, postaramy się wywdzięczyć. Jeśli do uwolnienia małżonki twojej potrzeba wojska lub pieniędzy, cały skarb stać będzie otworem dla ciebie.

Eufaniasz skłonił się, lecz twarz jego była smutna jak przedtem. Cesarzowa zwróciła się teraz do gospodyni i mówiła o jej synach. Przrzekała zając się ich losem, wreszcie dodała:

— Może już teraz, pomimo mego położenia mogę wynagrodzić jednego z nich. Co powiecie, hrabino, jeżeli oddam mój ostatni skarb, tego złotowłosego anioła z niebieskimi włosami? — tu wskazała na Genowefę.

— Nie mówcie o tem, miłościwa pani! — zawołała hrabina.

Judyta ze zdziwieniem spojrzała na wszystkich.

— Dlaczego?

— Obaj moi synowie miłują Genowefę i dlatego ona nie chce między nimi wybierać, tylko wstąpi do klasztoru.

Mileczenie zapanowało po tych słowach, przerwali je młodzi rycerze.

— Droga matko, teraz wszystko się zmieniło!

— Dziś rano — ciągnął dalej Beranger — spotkawszy się w lesie, zgodziliśmy się obadwaj, że los o naszej przyszłości rozstrzygnie.

— Czyli — zauważył January — że wola Boża na polu walki rozstrzygnie.

— I szczęśliwy będzie ten — podjął Beranger, który, umierając śmiercią bohatera, powie bratu swemu: „Żyj, i bądź szczęśliwy z Genowefą.”

Tu obaj bracia trzymając się za ręce zbliżyli się do towarzyszek lat dziecięcych, ukłękli przed nią i rzekli jednogłośnie:

— Przrzeknij, że zostaniesz żoną Berangera jeżeli ja polegnę.

— Przrzeknij, że January będzie twoim mężem, jeżeli śmierć na polu bitwy mnie pierwszej zabierze.

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

16

Dodatek do N-ru 16 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

— Takie jest nasze najgorętsze pragnienie — mówili dalej — takie nasze marzenie!

Genowefa ze łzami w oczach podała im ręce i wznosząc oczy ku niebu, cicho wyrzekła:

— Przysięgam, że będę żoną jednego z was, albo niczyją.

January i Beranger powstali z klęczek i ucałowali rękę Genowefy. Matka patrzyła na synów z miłością i rozrzewnieniem. Przeczucie śmierci, o której mówili ciągle, nie przerażało jej; w owych czasach obawiano się śmierci z choroby, starości lub jakiego wypadku, ale umrzeć na polu walki, ze sławą bohatera, uważano za wielkie szczęście.

— Uściskaj mnie, córko moja — rzekła hrabina. Cesarzowa i Eufanisz byli do łez wzruszeni tą sceną.

Wtem rozległ się dźwięk strażniczego rogu. Był to znak, że ktoś zbliża się do zamku. Dźwięk trąby odpowiedział w dolinie, dźwięk znany Eufaniszowi.

— To Landryk! — zawołał.

Nie mylił się. Niebawem Landryk wszedł do zamku i opowiedział o wszystkim, co zaszło w Saint-Medard i w Lutecyi *). Gdy skończył opowiadanie, cesarzowa spytała.

— A co było potem w Saint-Denis?

— Cesarza Ludwika otoczyli zaraz wierni i przywiązani baronowie, wojsko powitało go z zachwytem i wszyscy błagali, żeby wziął berło w swe ręce, lecz

*) Dawne miano Paryża.

cesarz odmówił temu żądaniu, postanowił bowiem poświęcić resztę swego życia Bogu. Nazajutrz ostrzyżono mu włosy.

— A Karol, syn mój! czemu nic nie mówicie o nim?

— On tam był przy ojcu, a wszyscy dziwili się jak zmężniał i wyrósł. Nawet ja z trudem go poznałem.

Hrabia spytał Landryka o Lotaryusza.

— Uciekł; cesarz pomimo wszelkiej namowy gościć go nie chciał.

— Będzie tego żałował — rzekł Eufanisz — lecz powiedz mi, gdzie znajduje się teraz wiarołomny syn i tryumfujący ojciec?

— Lotaryusz jest podobno w Windobonie *) i czeka tam na sojuszników. Cesarz zaś, przebaczywszy wszystkim, pojechał do Quercy, dokąd przyjechali Ludwik i Pepin. Stamtąd udadzą się do Akwisgranu, gdzie ma też przybyć i Lotaryusz, żeby uzyskać przebaczenie, pod warunkiem, że nie będzie nadal naruszał porządku w monarchii. Takie przynajmniej było żądanie ojca.

Uśmiech niedowierzania przebiegł po twarzach obecnych.

— A ja gdzie mam się udać? — spytała cesarzowa.

— Cesarz pragnie, żebyście, miłościwa pani, zostali tu, w tem bezpiecznem miejscu aż do końca wojny.

— Tu! — zawołała Judyta — zostać tu, kiedy

*) Dsiejczy Wiedeń.

już ośmnaście miesięcy nie widziałam syna, kiedy on wolny i mogę go widzieć! Wyjeżdżam zaraz jutro.

Napróżno Eufaniusz, hrabina, jej synowie i Genowefa przekonywali cesarzową, postanowienie jej było niewzruszone. Landryk milczący dotąd, zauważył:

— Ja myślę, że wyjazd ten będzie bardzo w porę.

— Dlaczego?

— Dla wielu przyczyn, przedewszystkiem dla tego, że Lotaryusz może w każdej chwili się tu zjawić, a powtórę spotkałem kilka niebezpiecznych osób, które jak mi się zdawało, wpadli na ślad cesarzowej: Zatem... Landryk zatrzymał się.

Judyta ciągnęła za niego.

— Zwolnię was od przysięgi, jak tylko odprowadzicie mnie do męża. Wtedy hrabia Eufaniusz i wy, Landryku, pojedziecie do Głej-Akwinu. Czy to chcecie powiedzieć, Landryku?

— Tak.

— A więc w drogę, ja chcę tego!

Eufaniusz gorąco dziękował Judycie. Pomimo wielkiej niecierpliwości, która ogarnęła Eufaniusza, nie można było wyruszyć wcześniej jak po dwóch dniach. Przez ten czas wysłał do cesarza Ludwika dwóch wernych pacholków Koba i Pinka, z prośbą o wysłanie na przeciw cesarzowej oddziału wojska. Landryk, znalazłszy się na chwilę sam ze swym dawnym panem, rzekł:

— Nic nie mogłem dowiedzieć się o naszym zamku! Mąż Klotyldy westchnął ciężko.

— Jednak nie zapominajcie, że załoga zamkowa

była gotowa na wszystko i że dowodził nią Romaryk, mój brat stryjeczny, za którego ręczę, jak za siebie!

— Wiem, ale my od tak dawna opuściliśmy dom kto wie, co tam zaszło!

— Bóg miłosierny!

— Tylko w Nim mam nadzieję—i hrabia Eufaniusz zwrócił oczy do nieba. Landryk kazał przywołać Koba i Pinka.

— Dokąd ich wyślemy? — pytał hrabiego. — Cesarz może być w Quercy, a może już w Akwizgranie!

— Trzeba ich rozdzielić.

— A czy bezpiecznie jest wtajemniczać ich w nasze plany?

— Są to wierni słudzy!

— Ale Kob zawadyaka... a Pink pijak.

— Lecz obaj są pobożni i jeżeli przysięgną: jeden, że będzie się zachowywał spokojnie, a drugi, że nie będzie pił, to już napewno przysięgi dotrzymają. Planu naszego nie powinny być im wiadome.

— Nieprzewidziane okoliczności mogą zmienić kierunek naszej podróży, musimy naznaczyć miejsce spotkania. Czy dobrze znasz drogę?

Landryk zamyślił się.

— Po drodze — rzekł — nad rzeką Mozą jest na skraju lasu wioska Vaucouleurs; w pewnej odległości od niej stoi samotna chata, zamieszkała przez starca z córką, śliczną złotowłosą dziewczką.

— Jak się nazywa to miejsce?

— Vaucouleurs.

Hrabia Eufaniusz przygotował dwa listy po łaci-

nie do cesarza, w którym prosił go o pomoc. Gdy Kob i Pink stanęli przed panem, Eufaniusz wytłomaczył im ważność polecenia, a Landryk zdjął krzyż z piersi i rzekł:

— Zbliźcie się i przysięgnijcie na krzyż Pański, że te listy oddacie albo cesarzowi, albo jednemu z trzynastu. Kobie, bądź cierpliwy, nie szukaj kłótni, a ty, Pinku nie zaglądaś do dzbana!

Kob, położywszy swą szeroką dłoń na krzyżu, rzekł:

— Przysięgam, że wezmę za oręż tylko wtedy, gdy będę zmuszony do obrony!

Pink zaś rzekł:

— Dopóki w kieszeni będę miał list, w mojej szklance będzie tylko woda!

Dobrze — powiedział Landryk — obyście to w dobrą godzinę wymówili!

Nazajutrz cesarzowa z Genowefą udały się w drogę. Świtę ich stanowili, Eufaniusz, Landryk, bracia Bajardowie i przewodnik. Hrabina odprowadziła cesarzową do kaplicy, stojącej za murami zamkowemi, pożegnała ją, pocałowała Genowefę i synów, i wolnym krokiem wróciła do opustoszałego teraz zamku.

X.

Kiedy Landryk opowiadał Eufaniuszowi o uroczej córce przewoźnika, na twarzy jego malowało się niezwykle ożywienie, dziewczyna ta była w istocie niezwykle piękna. Słońce ośmnastej wiosny błyszczało w jej żywych czarnych oczach, lecz największym jej urokiem

była prostota, która cechowała każdy jej wyraz, każdy ruch. Imię jej było Joanna. Matkę straciła bardzo wcześnie, nie pamiętała jej wcale, wychował ją ojciec, stary weteran Karola Wielkiego: nauczył ją strzelać z łuku, wiosłować, nie zważać na zmęczenie, i nie bać się nikogo, prócz Boga. Raz, kiedy starego Noela nie było w domu, odparła sama napad kilku łotrzyków, co ojca tak ucieszyło, że nazwał ją rycerzem.

Obok tego Joanna była bardzo skromna. Zajmowała się gospodarstwem, przędła, szyła i utrzymywała w ubogiej chatce wzorowy porządek.

Po przejeździe Landryka ojciec zauważył, że córka jego posmutniała, lecz przyczyny tego nie domyślał się wcale.

W piękny majowy wieczór, siedzieli oboje przed chatą. Starzec poprawiał sieć, a córka przędła na kołowrotku. Wokół panowała zupełna cisza.

— To dziwne — mówiła półgłosem dziewczyna — on przyrzekł powrócić!

— O kim mówisz? — spytał zdziwiony starzec.

Joanna drgnęła, jakby obudzona ze snu, i odpowiedziała:

— Mówię o rycerzu, który zatrzymał się u nas przed miesiącem, wtedy kiedy ojca dzik ranił. Czy ojciec zapomniał?

— Niech mię Bóg uchwaja, żebym miał to kiedykolwiek zapomnieć! Ranny dzik rzucił się na mnie i nie wiem, co by się ze mną stało, żeby nie ów młody rycerz, który nadjechał w porę, zabił zwierzę oszczepem, a mnie zbroczonego krwią, blizkiego zemdlenia

przywiózł do domu. On mi życie ocalił, jakżebyś mógł go zapomnieć. Sądząc po jego ubraniu, był to paladyn.

— Może, lecz mnie zastanowiła jego prostota!

— Bezwątpienia, on ma bardzo dobre serce! Żałuję, że tak prędko odjechał.

— Ja też żałowałam! — zawołała Joanna — przewożąc go na drugą stronę, podziękowałam mu za ciebie ojczu, serdecznym uściskiem dłoni, on zaś rzekł, do widzenia.

— Tak?

— Tymczasem jego dotąd niema, czyżby spotkało go jakie nieszczęście?

— Módl się za niego — mówił stary.

— Czynię to rano i wieczór.

— Bóg cię wysłucha! Miła Mu jest modlitwa czystych serc!

Ojciec i córka rozmawiali długo jeszcze o nieznanym przyjacielu, nareszcie udali się na spoczynek. Nagle zbudził ich tętent koni.

— To podróżni — rzekł staruszek, przyłożywszy rękę do oczu.

— To nie on — odezwała się córka — on nie może jechać z tej strony.

Po chwili ukazali się rycerze. Było ich dziewięciu i wszyscy w pełnej zbroi.

— Czy nie czekają tu rycerze i dwie damy? — zapytał jeden z nich, a na przeczącą odpowiedź starca, zawrócił konia. Joanna uważnie przypatrująca się im rzekła:

— Ten, którego czekamy, był zupełnie tak samo uzbrojony jak oni!

— Czy jesteś tego pewna? — spytał ojciec.

— Tak!

— Może on jest między nimi?

— Nie, mój ojczu, lecz mogę się przekonać!

— W jaki sposób?

— Kiedy on kładł ciebie ojczu, na łóżku zemdlonego, ja trzymałam jego konia. Przy siodle wisiał miecz, który przez ciekawość wyciągnęłam z pochwy. Na rękojeści był napis:

— Jaki?

— Nie wiem, ale i u tych rycerzy takie same miecze. To towarzysze po orężu, więc można ich spytać!

Rycerze zbliżyli się znowu i zaczęli rozpytywać; czy ta miejscowość nazywa się Vancouleur, czy nie widział staruszek dwóch dam, i kto ostatni przejeżdżał tędy? Noel odpowiedział, że od dwóch dni nikt nie przeprawiał się przez rzekę. Lecz Joanna przerwała starcowi:

— Mylisz się ojczu. Dzisiaj rano, kiedy byłeś w lesie przewoziłam na drugi brzeg dwóch ludzi.

— Co to byli za ludzie.

— Sądząc po ubraniu, węglarze!

— Czy widziałas ich kiedy przedtem.

— Nigdy!

— A więc byli obcy, nie tutejsi?

— Tak się zdaje. I oni też pytali mnie o dwie damy i czterech rycerzy?

— Dokąd pojechali?

— Tam! — zawołała dziewczyna, pokazując na zachód.

Rycerze z niepokojem popatrzeni na siebie.

— Czy trzeba przygotować duży prom? — spytał Noel.

— Tymczasem nie, może zatrzymamy się tu na noc.

Po krótkiej, cichej naradzie, rycerze zeszli z koni, które puścili swobodnie na łąkę, sami zaś pozdejmowali hełmy, by ochłodzić uznojone czoła. Joanna nie mogła powstrzymać się od zachwyty na widok tych szlachetnych postaci starców, których głowy siwe okalały włosy.

W tej chwili wyszedł z chaty Noel z dzbankiem, by zaczerpnąć wody, lecz ujrawszy rycerzy, zatrzymał się zdziwiony.

— Co ci jest staruszk? — rzekł najstarszy — czy nas poznajesz?

Starzec chciał mówić, lecz słowa zastygły mu na ustach, łzy spływały mu po twarzy.

— Kto jesteś? — zapytał paladyn.

— Jestem starym żołnierzem Karola Wielkiego — odpowiedział ojciec Joanny. — Czołem przed tobą, Eginhardzie i przed tobą Rolandzie, czy też duchu jego, bo przecież miano cię za poległego w Ronsewalskiej dolinie.

To mówiąc, starzec ukląkł, ale Roland i Eginhard schylili się szybko, by go podnieść.

— Imieniem cesarza Karola zaklinamy cię milcze! — zawołali równocześnie.

— O! — zawołał stary żołnierz — mnie się nie obawiajcie, sam tu jestem z córką, a oboje należymy do was ciałem i duszą.

— Tak, tak! — rzekła Joanna, stając obok ojca.

— Wierzę ci przyjacielu! — rzekł Roland i wyciągnął ku niemu rękę.

Starzec chciał złożyć na niej pocałunek, lecz rycerz szybkim ruchem usunął rękę i przycisnął Noela do piersi. Potem pocałował Joannę w czoło. Eginhard uczynił to samo poczem spytał starca:

— A naszych towarzyszy czy nie poznajesz?

— Nie wszystkich... oto Duplessis i Bertold. Ale tamtych młodszych nie znam.

— Lecz niezawodnie słyszałeś o nich! Oto Hugo i Drogo, a to hrabia Robert. Oni dla ciebie będą równie przyjaźni, jak my. Właśnie czekamy jeszcze czterech innych.

— Teraz — rzekł Eginhard — nie możesz już wątpić o świętości naszego celu. Przypomnij sobie, czy wszystko nam powiedziałeś, co się działo u przewozu?

— Wszystko! To jedno tylko jeszcze wydaje mi się dziwne, że od dwóch dni nikt się tędy nie przeprawiał.

— Jakże to sobie tłumaczysz?

— Albo ja wiem! Może podróżnych na drodze napadają łotrzyki.

— My nikogo nie spotkaliśmy.

— Oho, nie ośmieliliby się napadać na rycerzy.

— Córka twoja — rzekł Roland — mówiła nam, że właśnie dziś rano przewoziła dwóch ludzi.

— Tak — odparła Joana — i zdało mi się, że ci ludzie mieli jakieś złe zamiary. Czy pozwalacie mi mówić?

— Mów wszystko co myślisz!

Joanna wahała się chwilę.

— Mów dziecię moje — rzekł Roland.

— Pozwólcie mi pierwej obejrzeć wasze miecze.

Rycerze szybko wydobyli miecze z pochew. Joanna, przypatrzwszy się im uważnie, na wszystkich widziała ten sam napis:

— Czy umiesz czytać? — spytał Eginhard.

— Nie umiem, lecz mam dobry wzrok i pamięć. Przed miesiącem przewoziłam rycerza, który ocalił mi ojca. Miał on właśnie taki sam znak na mieczu; jechał także z północy na południe.

— To Landryk! — zawołał Eginhard. — O gdybyśmy znali drogę, którą on podążał.

— Ja ją znam — odparła dziewczyna — gdyż mu ją sama wskazałam.

— Na koń! — zakomenderował Roland — na koń!

Ale Eginhard wstrzymał go jeszcze.

— Któż zaręczy, że Landryk będzie wracał tą samą drogą. Bardzo łatwo możemy się minąć, szczególnie w nocy.

— Słuszna uwaga — odparł Roland — najrozsądniej zatem będzie poddać się radom Eufaniasza. Lecz jeżeli ich do jutra nie będzie, pojedziemy dalej.

Z postanowienia tego Noel ucieszył się bardzo,

gdyż mógł w ten sposób spędzić cały wieczór w towarzystwie drogiej gości.

— Wiwat! — zawołał. — Właśnie wczoraj zabiłem jelenia, a zanim go przyprawię, Joanna pójdzie nłowić ryb. Mam także kilka gąsiorków burgundzkiego wina. Jeszcze nie najgorsza złoży się wieczerza dla tak dostojnych gości. I owsa też pewno mi wystarczy dla ich koni, boć dla swojego oszczędzałem go zawsze.

— Rumaki nasze przedewszystkiem — rzekł Roland.

Noel przyniósł bezzwłocznie worek owsa, który rozdzielono na równe części między zdrożone i zgłodniałe konie. W godzinę później rycerze siadali też do gotowej już wieczerzy.

Nie potrzebujemy mówić o szlachetnej dumie z jaką Noel i Joanna podejmowali w swej chacie dostojnych paladynów; wieczerza przeciągnęła się do późnej nocy, której mrok rozpraszał blask płonących pni jodłowych. Wreszcie na znak ojca młoda dziewczyna wyszedłszy, wróciła z dużą wiązką świeżego siana.

— Na co to? — zapytał Roland.

— Córka moja przygotowuje wam, panowie, posłanie — rzekł stary żołnierz — bo przecie nie pozwolimy spać naszym drogim gościom pod gołym niebem?

— Chata wasza zbyt jest mała dla nas wszystkich — zauważył Eginhard.

— To się tak jeno wydaje, zechciejcie tylko przekonać się.

I starzec poprowadził swoich gości do sąsiedniej

alkowy, gdzie za jego łóżem istniało ukryte wejście do obszernej groty, o której nikt obcy nie wiedział. Tam to właśnie Joanna przygotowała dziewięć miękich posłań z pachnącego siana.

— Dobranoc drodzy goście. Spijcie spokojnie. Ja i córka moja będziemy czuwać nad wami — rzekł Noel, zostawiając rycerzy samych. I rzeczywiście przez całą noc on ani jego córka nie zmrúżyli oka. Starzec mruczał co chwila:

— Piłem z jednego kubka z Rolandem i Eginhardem!!

A Joanna myślała:

— On się nazywa Landryk! On tu może powróci!

Oboje wsłuchiwali się w odgłosy nocne. Najmniejszy szelest niepokoił starca: Wstawał co chwila, rozglądał się, aby następnie powtórzyć to samo:

— To mi się tylko wydało, cicho dokoła.

O świcie rozległ się po drugiej stronie rzeki dźwięk rogu. Oboje powstałi żywo.

— Przewoźniku! hej przewoźniku — wołał ktoś, z przeciwnego brzegu.

Joanna poznała ten głos i serce jej zabiło mocniej.

— To on!

Był to rzeczywiście Landryk, towarzyszący Judyście. Obustronna radość z tak szczęśliwego spotkania się tych dwóch oddziałów była niewypowiedziana.

— Francya i Karol — zabrzmiało uroczyste hasło.

XI.

Słońce wzniosło się już wysoko, a Judyta i Genowefa spały ciągle, zmęczone podróżą. Pod cienistymi dębami siedzieli wszyscy rycerze.

— Więc Kob oddał ci moje pismo — pytał Eufanisz Rolanda.

— Tak, hrabio. Macie w nim wiernego sługę i posłańca. Żeby spełnić poselstwo, musiał znieść trudy dalekiej podróży i być narażony na liczne niebezpieczeństwa. Dowodem tego jest śmierć jego towarzysza Pinka. Dojechawszy do nas i dowiedziawszy się od Eginharda, że posiłki są potrzebne, pojechał dalej, nie bacząc na zmęczenie!

— Więc uważacie, że posiłki są nam koniecznie potrzebne? spytał Eufanisz.

— Koniecznie — odparł Eginhard — gdyż wszędzie spotykaliśmy podejrzanych ludzi; Kob powiadał, że dalej na północ jest ich jeszcze więcej, a ci, którzy zamordowali Pinka, mogli wszystkiego się dowiedzieć z pisma, które wiózł.

— Za młodu — rzekł Roland — odpowiedziałbym na to: jest nas trzynastu, to dosyć! Teraz zaś powiem: Eginhardzie słuszność przy tobie!

W tej chwili Joanna weszła i poprosiła rycerzy na śniadanie, lecz jeden z nich zauważył: Czy nie należy zaczekać na cesarzową?

— Nie troszczcie się, rycerze, o wasze damy —

rzekła na to Joanna — przed chwilą obudziły się właśnie i napiwszy się mleka, zasnęły znowu, tak bardzo są zmęczone.

— A Genowefa? — pytali obaj bracia Bajardowie.

— Genowefa była blada, jak chusta.

— Niech śpią do wieczora — rzekł Roland.

Słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi, gdy znowu zebrali się wszyscy. Cesarzowa, podając rękę rycerzom do ucałowania, rzekła:

— Wiem, co bracia Markamowie uczynili dla mego syna, hrabio Robercie i Bertoldzie, dziękuję wam.

Niebawem Eginhard dał znak do odjazdu, gdy nagle od strony rzeki nadbiegła zdyszana Joanna.

— Cała flotyła płynie ku nam! — zawołała.

Wistocie z biegiem wody płynęły łodzie, a w nich zbrojni ludzie.

— Nie są to nasi przyjaciele! — rzekł Roland. — Naprzód, zyskajmy na czasie!

Jakby odpowiedź na te słowa, głośny okrzyk rozległ się w lesie. Cała dolina otoczona została zbrojnymi ludźmi, a że już i kilka łódek przybiło do brzegu, z których wysiadali strzelcy z naciągniętymi łukami, więc nie pozostało nic innego, jak przebiec się przez żywą ścianę zbrojnych, lub schronić do chaty Noela pod skałę i bronić się w niej do upadłego.

Cofnięcie się rycerzy do zagrody zostało uznane przez napastników za pierwszą oznakę zwycięstwa; powitali je więc okrzykiem radości. Niebawem trzy postacie wysunęły się na polankę. Pierwszy szedł mąż ze spuszczoną przyłbicą, za nim dwie wysokie niewiasty.

— Jam wdowa po Bernardzie — zawołała donośnym głosem jedna — Nieubłagana w zemście. Teraz musicie się ukorzyć przed Bertrądą! Poddajcie się!

— Jam jest Morgana, a ze mną wierni mi Bretończycy, którzy przysięgli pomścić śmierć swego króla Morgana, lub zginąć! Poddajcie się!

Wkońcu przemówił mąż:

— Liczba znaczy więcej niż słowa. Jest nas półtora tysiąca i ja, Hanelon! Poddajcie się! Poddajcie się! — trzykrotnie zabrzmiało niby grzmot z piersi tysięcy żołnierzy.

Nastąpiła chwila oczekiwania i oto jeden z trzynastu postąpił krok naprzód, rękę oparł na mieczu i głosem poważnym, głębokim, wyrzekł:

— Dziesięć razy więcej wrogów miałem przed sobą w Ronsewalskiej dolinie. Jam jest ten, którego nikt nie mógł pokonać. Jam jest Roland!

Na widok tej wspaniałej postaci, na dźwięk tego głosu, na to imię, znane wszędzie przez Maurów, Bretończyków, Sasów, serca wojowników zadrżały, oddziały cofnęły się mimowoli o parę kroków, bo wszakże to był Roland, wódz nad wodze, rycerz nad rycerze, Roland zwany szalonym za swą nadzwyczajną odwagę! A ten mówił dalej:

— Wszyscy moi towarzysze są mi równi. Jesteśmy stróżami prawa i sprawiedliwości, wybrańcami Boga, piekło nas nie pokona! Powiadasz, że was półtora tysiąca, to za mało, ślij po posiłki, my zaczekamy!

Hanelon zrozumiał, jakie wrażenie mogą uczy-

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

18

Dodatek do N-ru 18 *Wieczorów Rodzinnych* 1901 r.

nić te słowa wielkiego rycerza, pospieszył więc im zaprzeczyć.

— Kłamstwo — zawołał z mocą do swoich. — To są starcy, widma jakieś, które zginą przy pierwszych uderzeniach naszych mieczy. Naprzód!

Rozkaz został powtórzony przez Bertradę i Morgangę i pierwsze szeregi zaczęły się gotować do ataku.

Obronne położenie chaty Noela ułatwiało trzynastu rycerzom odpieranie napadu wrogów, którzy zresztą szli dość lekliwie, nie zdoławszy osaczyć rycerzy. Wejście do chaty było wąskie: tu stało sześciu, wśród nich January i Beranger, a każdy cios ich mieczy powalał jednego z napastników, których ciała, pierzając się jedno na drugie, tworzyły rodzaj ochronnego wału dla obrońców cesarzowej.

Roland i reszta rycerzy stali na skale i odpierali tych, którzy, wspinając się po stromych ścieżkach, usiłowali dotrzeć z tyłu do wejścia.

Tymczasem kobiety ukryły się w pieczarze.

Walka trwała już dwie godziny i mogłaby trwać jeszcze dłużej, ale siły opuszczały rycerzy, większość była już w podeszłym wieku i dłonie ich nie miały wytrzymałości dawniejszej. Tylko Landryk i dwaj bracia Bajardowie nie czuli zmęczenia, walczyli jak lwy, lecz Beranger otrzymał ranę w bok i zachwiał się na nogach.

— To nie — zawołał — mogę jeszcze walczyć! Francya i Karol!

Nagle z góry i gdzieś z dala od lasu ponad szczyk mieczy i gwar bitwy rozległ się ten sam okrzyk. To

wołał Roland, a jak echo odpowiedział mu okrzyk całego oddziału, który z tyłu napadł na wrogów.

Było to wojsko cesarza Ludwika, które przybywało w samą porę. Wówczas Roland i jego rycerze rzucili się naprzód, przerażeni żołnierze Hanelona, napadnięci z dwóch stron i przejęci zabobonną trwogą, pierzchli w nieładzie.

Okrzyk tryumfu dał znać Judycie, że jest ocaloną. Wyszła z pieczary i po chwili znalazła się w objęciach dowódcy oddziału, a był nim syn jej, Karol.

— Dzięki niech będą Najwyższemu — zawołał młodzieniec — żem w pierwszej bitwie ocalił własną matkę!

Tak wyrósł i zmężniał przez czas rozłąki, że Judyta nie poznała go na razie.

— Dziecię moje — rzekła — jakże mógł cesarz na to pozwolić!

— Wszystko wytłomaczę ci, matko, później. Zapytaj wszakże mych rycerzy, czy nie byłem godny tego dowództwa?

Cesarzowa objęła go czule.

— Matko moja — mówił dalej Karol, całując jej dłonie. — Nie obawiaj się odtąd żadnego wroga, syn twój będzie cię już umiał obronić.

— Najzaciętszego z nich trzymam właśnie — rzekł Landryk i, roztrącając tłum, rzucił na ziemię Hanelona.

— Hanelon! — zawołali wszyscy.

— Tak to on! — odrzekł Landryk. — Chciał uciekać, lecz ja go ująłem. Odkryj swoją twarz, Hanelonie! Niech wszyscy widzą cię, żmijol!

— Tak, jestem żmiją — syknął więzień — biada temu, kto mnie dotknie.

I domawiając tych słów, nagłym ruchem ugodził Landryka w szyję maurytańskim swym kindżałem. Stało się to tak niespodziewanie, że Landryk nie zdążył się usunąć. Rzucono się na ratunek ranionemu. Eufanisz ułożył go na ziemi, a biała twarz Joanny pochyliła się nad nim z wyrazem najwyższej rozpacz.

XII.

Nastała cicha, gwiazdzista noc. Na polu bitwy snuli się pojedynczo żołnierze, zajęci grzebaniem poległych. W rozbitym na wzgórzu namiocie spoczywały Judyta i Genowefa; sam Karol trzymał straż nad śpiącą matką i dziękował Bogu, że pozwolił mu przybyć w porę na jej ratunek.

Gdy Kob z pismem Eginharda przybył do obozu cesarskiego, został przedstawiony Ludwikowi.

Karol, dowiedziawszy się, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się jego matka, uprosił ojca, by mu porучzył dowództwo nad oddziałem, który miał wyruszyć na pomoc rycerzom. Cesarz zgodził się na to. Karol nie tracąc ani chwili, nakazał szybki pochód, uwieczony tak pomyślnym skutkiem.

Tymczasem w grocie, wśród nocnej ciszy, zebrali się paladyni. Niestety było ich tylko dziewięciu: Henryk i Wilhelm ponieśli śmierć w walce, a Landryk i Beranger legli ciężko ranni. Paladyni zebrali się, by wydać wyrok na Hanelona.

Więzień stał milczący ze związanymi w tył rękami. Roland pierwszy odezwał się swym spokojnym, królewskim głosem:

— Hanelonie! obwiniam cię o zdradę kraju i monarchy twego. Przed trzydziestu laty wydałeś zdrańdziecko w ręce Saracenów arjergardę wojska Karola Wielkiego, która cała legła w Ronsewalskiej dolinie z wyjątkiem mnie jednego. Tam zginęło przez ciebie dziesięć tysięcy Franków, a wielki cesarz musiał zaniechać swej wspaniałej myśli względem Maurów w Hiszpanii. Co powiesz na swoją obronę?

Hanelon, milcząc, wzruszył tylko ramionami. Roland siadł na ławie. Jako sprawiedliwy sędzia, nie chciał tu mieszać swoich osobistych krzywd i nie nie wspominał o swojej narzeczonej, nadobnej Tealdzie, która dzięki kłamstwu i intrygom Hanelona wolała uciec od świata i wstąpić do klasztoru w Nonnenwert.

Z kolei wstał Eginhardt:

— Hanelonie, czy pamiętasz sławny początek panowania Ludwika i nagłą w nim zmianę? To było dziełem trucizny, danej mu przez ciebie. Obwiniam cię o wszystkie nieszczęścia, jakie odtąd spadły na kraj nasz. Jeżeli dzieło Karola Wielkiego upada, jeżeli Frankowie osłabli, to wszystko twoja sprawa, ty byłeś złym duchem synów Ludwika. Mów, co masz na swoją obronę?

Hanelon milczał, tylko niżej jeszcze opuścił głowę. Paladyni wstawali jeden po drugim i przypominali mu wszystkie jego zbrodnie: Spisek na Czerwonym polu, wypadek z żubrem, męczarnie Ludwika w Saint-

Médard, zamiar zbrodni w parku przed zamkiem, na koniec zabójstwo Pinka i napad przy Vaucouleurs.

— Nareszcie — rzekł Eufaniusz — już uwięziony ranieś nie w walce, lecz zdradziecko i baniebnie jednego z nas, walecznego Landryka. Chwała Bogu, rana nie jest śmiertelną, lecz tyś chciał go zabić. Obwiniam cię o to zabójstwo, Hanelonie! Odpowiadaj swoim sędziom!

— Odpowiadaj! — zawołali wszyscy rycerze razem.

— Nie będę się bronił — rzekł zbrodniarz — wszystko co mi zarzucacie jest prawdą. Żałuję tylko, że nie zawsze spotykało mnie powodzenie. Możecie mię zabić, lecz zostaną moi stronnicy, którzy dalej będą prowadzili moje dzieło!

Powiedziawszy to, zamilkł:

Wzrok wszystkich obecnych zwrócił się na Rolanda, który powstał, wyprostował się i powoli, uroczycie wyrzekł:

— Przysięgam na zbawienie duszy mojej, na mój rycerski honor: człowiek ten zasługuje na karę śmierci!

Wszyscy zgodzili się na ten wyrok.

Roland zwrócił się do Hanelona i rzekł:

— Hanelonie, tylko godzina życia ci zostaje, zwróć się do Boga, proś Go o miłosierdzie nad twą duszą.

— Służyłem tylko szatanowi. Dusza moja jest już potępioną.

— Trzeba zatem pomyśleć o wykonawcy kary.

— Pozwólcie mi dopełnić tego! — rozległ się głos Koba.

— Jakto, mój dzielny Kobie — rzekł Eufaniusz — ty chciałbyś wziąć na siebie ten straszny obowiązek?

— Tak, uczynię to bez wahania.

— Zkądże ci to uczucie?

— Zapominacie, że ten człowiek zabił mego przyjaciela Pinka, a ja przysięgłem pomścić śmierć jego!

Ruszono; pochód otwierał Kob, trzymając na plecach ogromny topór; za nim szli dwaj żołnierze, prowadząc bladego i drżącego Hanelona. Potem postępowali rycerze. Doszedłszy do rzeki, weszli do łódki, w której siedziało dwudziestu czterech wiosłarzy.

W pośrodku zajęli miejsce żołnierze z osądzonym, po obu stronach rycerze. Kob stał, opierając się na toporze.

Blade światło księżyca oświecało ten obraz ponury. Łódź mknęła szybko ku pustej wysepce, którą obrał na miejsce kary.

Gdy wylądowano, Hugo i Drogo zbliżyli się do Hanelona.

— Jeszcze raz przypominamy ci, jako kapłani, byś pojednał się z Bogiem. Wybierz którego z nas i wyśpiowadaj się.

— Niczego mi nie potrzeba, jestem gotów umrzeć. Czegóż czekacie?

— Zostawiamy ci jeszcze godzinę czasu do zastanowienia się.

Drogo postawił przy nim klepsydrę, a Hugo zaniósł drugą rycerzom.

— Skoro tylko wezwiesz którego z nas — rzekł Drogo — pośpieszymy do ciebie. Pomyśl o wieczności!

Hanelon zamiast odpowiedzi silnem fuderzeniem pięści rozbił klepsydrę. Rycerze siedzieli całą godzinę nieruchomie, Kob również nie ruszył się z miejsca.

Hanelon siedział pozornie spokojny ze spuszczoną głową, tylko gdy podmuch wiatru wzmagął szelest liści drzew, albo szum fali, podnosił głowę nadsluchując, jakby oczekiwał jeszcze kogoś, ale wielka cisza panowała dokoła.

Nareszcie ostatnie ziarno piasku spadło w klepsydrze. Dziewięciu paladynów powstało; Kob zrobił krok naprzód. Hanelon nie poruszył się, lecz szepnął zcicha:

— Wszystko skończone! One nie przyjdą! Coś musiało je zatrzymać...

— Już godzina przeszła! — rzekł Roland.

— Dobrze — rzekł Hanelon — gdzie kat?

— Jestem — odpowiedział Kob.

— Nie ociągaj się! — zawołał zbrodniarz, nadstawiając szyję.

— Jaktó! — zawołał Eginhard. Nie chcesz nie powiedzieć przed śmiercią, nie pomodlisz się, nie wyrazisz żadnego żalu, ani życzenia?

— Moje życzenie! — zawołał Hanelon — Chcesz znać moje życzenie? Oto pragnę, aby z krwi mojej wyległy się legiony demonów i rozszarpały Francję!

— O Boże! — zawołał Roland. — Ten człowiek chce umrzeć, tak jak żył, przeklinając swoją ojczyznę! Kobie, spełń swoją powinność!

— Ukłęknij — rzekł Kob do skazanego. — Uchyl głowę przed śmiercią!

— Nie!

To było ostatnie słowo Hanelona.

Topór błysnął jak błyskawica, głowa zdrajcy i zbrodniarza spadła na ziemię, a ciało osunęło się ciężko.

— Zwłoki te nie zasłużyły na pogrzeb chrześcijański — rzekł Roland — niechaj służą za żer wilkom!

Po kilku chwilach łódź popłynęła z powrotem, gdy dobijała do brzegu, ukazała się z prawej strony inna długa a wązka. Przy świetle księżyca widniały w niej dwie postacie, milczące i ponure, Bertrada i Morgana.

Wróciwszy do obozu, paladyni udali się na spoczynek. Nazajutrz przybył do nich Karol.

— Przychodzę wam podziękować — mówił młody książę — i uściskać wasze szlachetne prawice. Ojciec winien wam swoją wolność, a ja, przysłać koronę!

Hymn żałobny przerwał jego mowę.

— Co to jest? — spytał Karol.

— To zakonnicy — rzekł Eginhard — z sąsiedniego klasztoru, którzy przyszli, wezwani przeze mnie, dla oddania ostatniej posługi dwom towarzyszom, których straciliśmy w bitwie. Ciała ich będą zabalsamowane, zaszyte w jelenie skóry i odwiezione na miejsce, w których przez długie lata mieszkał Roland, jako pustelnik. Tam spoczniemy wszyscy!

— Muszę uprzedzić cesarzową — rzekł Karol — że będziemy obecni przy ostatniej posłudze tych, którzy za nas polegli.

I młody książę udał się do namiotu matki.

Mnisi poszli do groty i stamtąd wynieśli dwa ciała na noszach z gałęzi. Henryk i Duplessis leżeli w zbrojach, zwrócenie głową na wschód. Z kamieni złożono ołtarz i Msza się zaczęła. Nadeszła cesarzowa z synem i zajęła pierwsze miejsce; za nimi stanęli rękodami rycerze. Gdy skończyło się nabożeństwo przyjaciele żegnali się ze zmarłymi.

— Żegnaj Duplessis! żegnaj Henryku — brzmiały poważne głosy starców. Mnisi podnieśli nosze i oddalili się.

— Do wieczora! — zawołał ku nim hrabia Robert. Po chwilowem milczeniu cesarzowa rzekła:

— Oddawszy usługę umarłym, pomyślny o rannych!

Pod cieniem drzew leżeli Landryk i Beranger. Przy pierwszym czuwała Joanna, przy drugim Genowefa. Pomimo, że rana Landryka była bardzo ciężka, wyraz oczu zapewniał, że chory powróci do zdrowia; ale nieszczęsny Beranger leżał blady z błędnem spojrzeniem człowieka umierającego, nie też już nie słyszał, nikogo nie poznawał, serce jego biło słabo, a usta zsiniały. Było to już powolne, ciężkie konanie. Ujrzawszy go cesarzowa szczerze zapłakała i złożwszy pocałunek na jego czole, cicho wyrzekła:

— Nieszczęśliwe dziecko, co ja powiem twojej matce? Czem jej zdołam wynagrodzić śmierć twoją, śmierć w tak młodym wieku?

Żalodne łkanie podnosiło pierś Januarego i Genowefy.

Cesarzowa z kolei zwróciła się do Landryka:

— Ale ty, mój przewodniku, żyć będziesz i prędko z pomocą Bożą wrócisz do sił! Czeką cię tylko jeden smutek.

— Jaki smutek? — spytał Landryk.

— Rozstania! Towarzysze wasi pojedą dalej ze mną, a hrabia Eufaniusz powróci do Bretanii.

— Do Bretanii? — spytał radośnie mąż Klotyldy — ale...

— Ja tak chcę! Wyjedziecie dziś wieczorem!

Hrabia Eufaniusz uklonił się nisko, a Landryk poruszył się niecierpliwie.

— Jaktóż? — zawołał — pojedzie beze mnie do zamku, oblężonego przez wrogów? Przecież hrabia — mój pan, ja nie mogę go opuścić. On też jest ranny, a może nawet boleśniej ode mnie, u mnie jest tylko najzwyczajniejsze zadraśnięcie, które mi nie przeszkodzi jechać konno i walczyć. A co powie hrabina Klotylda, gdy zobaczy hrabiego Eufaniusza bez Landryka! Muszę dotrzymać przysięgi! spojrzycie jam zdrów już i silny! — i mocą woli podniósł się na nogi, lecz zaledwie postąpił parę kroków naprzód, padł zemdlony.

— Nieszczęście! — szeptał, wróciwszy do przytomności — nieszczęście! nie mogę jechać z hrabią, nie mogę dotrzymać przysięgi!

I Landryk zapłakał jak dziecko, obecni usiłowali go pocieszyć, Bertold podszedł ku niemu i rzekł:

— W tej potrzebie zastąpię cię, Landryku, będę towarzyszył hrabiemu Eufaniuszowi!

— I ty January — rzekła cesarzowa — pojedziesz z nim również, hrabia był ci ojcem.

— Bóg świadkiem — zawołał January — jestem całą duszą oddany hrabiemu, lecz mego brata nie mogę teraz opuścić!

Beranger, przyszedłszy nieco do siebie, oparł się na łokciu i wyrzekł:

— Słuchaj bracie — odezwał się najniespodziejaniej — jedź z hrabią, ja cię o to proszę, ja tego chcę!

January rzucił się do niego.

— Tak — mówił dalej chory — ja dogonię was z Landrykiem. Jeszcze przecie wszelka nadzieja nie jest stracona. Ja będę żył! Czyż można umrzeć, mając zaledwie lat dwadzieścia dwa?

— Beranger! — prosiła Genowefa — nie mów tak dużo, to ci zaszkodzi!

Młodzieniec popatrzył smutnie na bladą twarz dziewczicy, poczem złożywszy cicho głowę rzekł:

— Kocham was oboje, ale przysięgnijcie mi, że jeżeli umrę, za rok się pobierzecie!

— Ty nie umrzesz, bracie!

— Ty będziesz żył, Beranger! — zawołali razem January i Genowefa.

— Mam nadzieję... lecz przysięga wasza uspokoi mnie. Przysięgajcie! Nikt nie odmawia prośbie ludziom w mojem położeniu!

Genowefa i January spełnili życzenie Berangera.

— Teraz jestem szczęśliwy — rzekł — lecz ja znowu nie słyszę słów waszych, nie czuję uściśnięć wa-

szych. Genowefo, January, do widzenia! na tamtym świecie!

— O Boże! On umarł!

Nie — szepnęła Joanna — serce bije jeszcze. On będzie żył! Ocalimy obu rannych, troskliwością naszą ocalimy ich!

Tymczasem hrabia Eufanisz pożegnał się z Landrykiem, który rzekł:

— Wkrótce będę z wami, lecz strzeżcie się Morgany!

W godzinę potem tylko stary Noel i jego córka zostali przy rannych. Cesarzowa z synem podążyła do Akwizgranu w towarzystwie Rolanda, Eginharda, Hugona, Drogona i świty. Hrabia Eufanisz wyruszył z Januarym, Bertoldem i Kobem do Glej-Akwinu, a hrabia Robert udał się do najbliższego klasztoru!

Skoro Bertrada i Morgana pogrzebały na wyspie ciało Hanelona, Morgana rzekła:

— Oczekiwać cię będę w Bretanii, gdyż dam ci środek, który uczyni cię niezwyciężoną!

— Jaki środek?

— Środek ten zabił mężstwo w Ludwiku. To trucizna Morgany!

Bertrada mimowoli zadrżała, mimo to po chwili rzekła:

— A zatem do widzenia Morgano!





CZEŚĆ TRZECIA.

I.

W upalny dzień letni trzech rycerzy zbliżało się zwolna do kaplicy, przy której niegdyś rozstał się Eufaniusz z Klotyldą, aby w miesiąc po ślubie ruszyć na długie boje w imię obowiązku.

— Jeszcze chwila — rzekł Eufaniusz — a zobaczymy mój ukochany zamek!

Lecz zaledwie wyrzekł te słowa, twarz jego zmieniła się i zawołał poważnym głosem.

— Nieszczęście! przybyliśmy zapóźno!

Nie powiewała już chorągiew na szczycie wieży, żadnego ruchu, żadnego życia na murach, które przedstawiały obraz strasznej ruiny. Eufaniusz spał konia i popędził naprzód galopem. Januarius i Bertold poszli za jego przykładem i wkrótce dojechali do zwalisk zamku. Hrabia pierwszy zeskoczył z konia. Chodząc wśród zwalisk, pan zamku rozglądał się na wszystkie strony, a lży rozpaczy zalewały męką twarz jego.

— Klotyldo! Klotyldo — wołał boleścią zdławio-

nym głosem, ale długo głuche milczenie było jedyną odpowiedzią na serdeczne jego nawoływania. Naraz rozległo się radosne szczekanie psa i ogromny brytan wybiegł z za muru, a skomląc i skowycząc obiegał czas jakiś hrabiego, poczem wspiął się na tylnych łapach przednie położył na jego ramieniu, lizał twarz i ręce cieszył mu się i witał jako swego pana.

— Wag! — zawołał Eufaniusz — mój biedny Wag! czyż tylko ty uszłeś śmierci?

I lży potoczyły mu się jeszcze rzęsisciej. Rozumne zwierzę, jakby pojęło te słowa, zaskomlało żałośnie.

— Ależ tu musi być ktoś jeszcze! — rzekł hrabia. — Kto tu jest, Wagu?

Słaby głos ludzki odpowiedział na to:

— Panie, czy to ty?

I przy wejściu do wieży ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu.

— Romaryku, ty żeś to? — spytał hrabia.

Romaryk siedł wolno, potykając się o każdy kamień.

— Chodź prędzej! — naglił pan.

— Powiedz mi, panie, czy to ty jesteś?

— Czyż nie widzisz, czyż mię nie poznajesz?

— Niestety! — odrzekł Romaryk — oni mi wyłupili oczy. Jestem ślepy.

Okrzyk zgrozy i współczucia wyrwał się z ust wszystkich rycerzy, którzy dopiero teraz zauważyli, że Romaryk w miejsce ocz ma krwawe jamy w głowie.

— Biedny Romaryku! — zawołał hrabia, objaw-

szy swego wiernego sługę serdecznym uściskiem. Wreszcie odważył się zapytać: — A Klotylda? Co się stało z Klotyldą?

Romaryk drgnął cały.

— To nie moja wina! Ja przysiągłem opiekować się nią i spełniłem swój obowiązek. Zwyciężył nas zły los, głód i śmierć! Ja tylko jeden zostałem przy życiu, a Bóg widział, jak walczyłem!

— Wierzę ci, Romaryku! ale ona, czy ją zabili?

— Nie.

— Więc gdzie jest?

— Uprawdzili ją z sobą.

Ślepiec zapłakał i upadł na ziemię. Hrabia Eufanusz, milcząc spuścił głowę. Wąg tulił się do swego pana, jakby go pragnął pocieszyć. Januاری i Bertold odeszli na stronę, a Romaryk po chwili opowiedział panu szczegółowo wypadki zaszłe w czasie jego nieobecności.

— Wkrótce po odjeździe hrabiego, Morgana na czele licznego oddziału napadła na zamek; napad został odparty, lecz zaczęło się oblężenie. Wtedy stara Janika zdołała uciec, pragnąc zanieść wiadomość o niebezpieczeństwie, grożącym waszemu zamkowi. Uwielbienie dla młodej hrabiny było ogólne. Dzięki jej energii, załoga czuła się niezwalczoną, a ranni mieli najtroskliwszą opiekę. Wreszcie zapasy żywności wyczerpały się i na domiar złego Morgana wróciła znowu do obozu, dodając swoim siły i męstwa. Nakoniec został przypuszczony stanowczy atak, zginęła załoga, osłabiona głodem; wiele niewiast, między innymi Janikę,

ciężko raniono. Hrabinę wzięto do niewoli razem z dzieckiem. Z obrońców zamku został tylko jeden Romaryk. Gdy go miano zabić, Morgana zawołała:

— Stójcie! ten człowiek należy do mnie. Raz wyleczyłam go ze śmiertelnej rany, a Bóg nie pozwala prześladować tych, którzy nam zawdzięczają życie! A to życie jego jest mi potrzebne, tylko będzie ono odtąd dlań cięższe od śmierci. Wyłupić mu oczy!

— I dopełniono strasznego rozkazu — zakończył Romaryk. — Ślepy pozostałem tu sam jeden z tym wiernym psem.

Hrabia po długiej chwili milczenia raz jeszcze przycisnął ślepcę do swej piersi.

— Więc matka i dziecko żyją? Nie ranni? Ty prawdę mówisz przyjacielu?

— Kłnę się na Boga, prawdę mówię, uspokój się panie! Ale oto jeszcze polecenie, które mam dla ciebie.

— Polecenie? Od kogo?

— Od Morgany.

— Od Morgany?

— Tak! Sam byłem przerażony, kiedym się dowiedział, że ta, która leczyła niegdyś rany moje, kazała mi wyłupić oczy.

— Ale w jakim celu?

— Morgana wytłomaczyła mi to sama. „Nie dziękuj mi — rzekła — robię to tylko dlatego, żeś mi potrzebny! Ty zostaniesz tu, będziesz czekał powrotu swego pana i powiesz mu, aby się nie troskał o małżonkę. Jeżeli hrabia odda się pod moją władzę, będzie

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

20

Dodatek do N-ru 20 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

szczęśliwy i potężny jak nigdy. W nim płynie krew królewska. Powiedz mu, że jak tylko zechce ujrzeć żonę i dziecko, niech mnie zawoła, a ja w tej chwili przybędę." To są jej własne słowa.

— Przysięgła ci to? — pytał hrabia uradowany.

Na to pytanie odpowiedział mu głos, nie należący ani do Romaryka, ani do jego towarzyszy.

— Przysięgłam i jeżeli chcesz wiedzieć, czy dotrzymam obietnicy, chodź za mną!

Morgana stała wśród ruin. Ciemne jej ubranie i błyszczące oczy czyniły ją podobną do jakiejś tajemniczej wiedźmy. Bertold chciał się rzucić na nią.

— Oko za oko! — zawołał — nie ujdiesz teraz naszych rąk, przekłeta kobieto, uosobienie zła!

I wyciągnął rękę w stronę Morgany. Kapłanka druidów uśmiechała się pogardliwie, potem wyrzekła powoli i spokojnie:

— Nieszczęsny szaleńcze! Wiedz, że żadne stworzenie nie zwycięży Morgany. Ona umie uczynić się niewidzialną, wyśliźnie się z rąk jak ogień lub woda, może razić piorunem każdego, kto jej się dotknie! Sprobuj!

Ale Bertold nie przeląkł się tej groźby i postępując naprzód z obnażonym mieczem, zawołał:

— Sprobuję. Prawy chrześcijanin nie boi się czarów.

Lecz Morgana nie błysnęła ogniem, nie zakryła się obłokiem dymu, tylko uśmiechała się ciągle pogardliwie.

— Rycerzu, podoba mi się twoja śmiałość! Nie

chcę ci uczynić nic złego, lecz mogę] bardzo łatwo dowieść ci, jak jestem silna. Straż, znajdująca się przy Klotyldzie, ma rozkaz zgładzić ją i jej dziecko, jeżeli nie wróce do nich za sześć godzin. Co na to powie Eufaniusz?

Hrabia zawołał:

— Nie dotykaj jej, Bertoldzie!

Rycerz się zatrzymał.

— Widzisz, Bertoldzie — mówiła dalej Morgana, opierając się o mur. A teraz pomówmy, hrabio!

— Czego chcesz ode mnie? — spytał Eufaniusz.

— Przedewszystkiem musisz się zgodzić na wszystkie moje warunki.

— Jakież?

— Towarzysze twoi powinni przysiąc, że nie pójdą za tobą, lecz będą czekali tutaj!

Januariusz i Bertold zaprzeczyli żywo.

— Nie możemy złożyć takiej przysięgi!

— Ja proszę tylko o kilka godzin czasu, do zachodu księżyca — mówiła Morgana. — Potem możecie robić, co chcecie. Czy zgoda?

— Przysięgamy! — odpowiedzieli obaj rycerze.

Morgana ciągnęła dalej:

— A ty, hrabio, pójdziesz za mną do żony, jeśli pozwolisz zawiązać sobie oczy i nie będziesz się dopytywał o drogę, tylko zaufasz mi w zupełności. Resztę dopowiem ci na miejscu.

Hrabia, zamyślił się. Januariusz rzekł:

— Jakąż mamy pewność, że to nie zasadzka?

Kto nam zaręczy, że Eufaniusz powróci?

— Ja — odrzekła zimno Morgana — spytajcie Romaryka, on wam powie, że moja przysięga warta waszej!

January i Bertold wahali się jeszcze, trzymając hrabiego za ręce, mówili groźnie:

— Biada ci, jeżeli choć jeden włos spadnie z jego głowy. Pamiętaj o tem!

— Przysięgam! — wyrzekła uroczyście Morgana — lecz spiesz się, hrabio, Klotylda czeka na ciebie oddawna.

Z temi słowy zwróciła się ku wyjściu.

— Przyjaciele, puśćcie mnie — rzekł hrabia — pozwólcie mi zobaczyć tę, którą kocham!

— Do jutra! niech Bóg ma cię w Swojej opiece!

Hrabia pospieszył za Morgana. Wkrótce znikli oboje i kroki ich ucichły. Rycerze ciężko westchnęli.

— Nie obawiajcie się — rzekł Romaryk jego osoba święta dla niej. Dowodem tego, że tak się opiekuje jego żoną i dzieckiem.

— Tak — odrzekł January — lecz teraz ma ich obojga w swej mocy. Prawdziwie to zbrodnia z naszej strony oddać go na łaskę i nielaskę tej wiedźmy. Biegnijmy za nim!

— A nasza przysięga? — przypomniał mu Bertold.

— Prawda — rzekł ślepiec — ale jest tu stworzenie, o którym Morgana nie pomyślała. On lepiej od nas znajdzie ślady hrabiego. Wagu, idź i wracaj!

Romaryk ujął psa. Wag zatrzymał się na chwilę, jakby rozważając, czego chcą od niego, potem pobiegł śladami swego pana.

— Ta wiedźma — zauważył Bertold — ma pewno straż, jeżeli zauważą psa, zabiją go!

— O! — rzekł Romaryk — wy nie znacie Waga! On się nie da, nie pokaże się im, lecz wyszedłszy powróci do nas. Niech to was nie dziwi, nasze bretońskie psy są wybornie tresowane. Gdy z hrabią i Landrykiem, wybieraliśmy się na łowy, posyłaliśmy Waga naprzód, a ten upatrzwszy zwierzynę, wracał, nie płosząc jej, a potem prowadził nas. Wag to nadzwyczajnie mądry pies. W czasie oblężenia walczył jak żołnierz. On wróci prędko, bądźcie spokojni!

— A jeśli hrabiemu grozi niebezpieczeństwo?

— Wszystko jedno, musicie czekać do zachodu księżyca.

Ostatni argument podzielał na rycerzy.

— Skorzystajcie z czasu — rzekł Romaryk — posilcie się i odpocznijcie. Pójdźcie za mną!

Weszli do podziemia, gdzie na kamiennej płycie stała przygotowana wieczerza, składająca się z sera, jarzyn i wina. Dwie pochodnie oświecały całe podziemie. Rycerze wyrazili swoje zdziwienie, a Romaryk rzekł:

— Jestem przekonany, że Morgana przyprowadziła z sobą kogoś, który przyniósł wieczerzę.

— Jaki? — spytał Bertold — Morgana ma staranie o twojem pożywieniu.

— Jeżeli leczyła moje rany — rzekł Romaryk — to nie dziwnego, że myśli o mojem utrzymaniu.

— Może to dlatego bierzesz jej stronę! — rzekł January.

Ślepiec drgnął jakby od ukąszenia żmii, wyciągnął naprzód silne ręce, niby do boju.

— Nie — odrzekł głuchym głosem — ja nienawidzę Morgane, i jeżeli kiedy wpadnie w moje ręce, rozerwę ją w kawałki. Moja godzina jeszcze nie wybiła! Cierpliwości, cierpliwości!

Potem uspokoiwszy się, dodał:

— Do zachodu księżycy związani jesteśmy przysięgą, lecz jeżeli i potem hrabia nie wróci, męczarnie tej więdźmy będą straszne! Tymczasem posilcie się!

— Ty zasiądziesz z nami? — rzekł Bertold.

— Nie, nie jestem głodny.

Rycerze zjedli wieczerzę, poczem ułożyli się na krótki spoczynek. Księżyc świecił. Ślepiec siedząc na progu pilnował swoich gości. Nad ranem szczekanie psów obudziło ich. Przy słabym świetle zorzy, ujrzeli Romaryka, trzymającego Waga. Pies był przestraszony i zmoczony.

— Co jemu jest? — spytał January.

— Pewno nie wielkiego — odrzekł Bertold — lecz ponieważ słońce weszło, pójdziemy po Eufaniasza, pies może nam służyć za przewodnika!

Romaryk pokiwał głową i wyrzekł:

— On nie miał na szyi tego powrozu.

— Cóż to ma znaczyć?

— Widocznie był przywiązany, lecz przez kogo?

— Zapewne przez ludzi Morgany.

— Prawdopodobnie, ale na to, żeby Wag do nich podszedł, musiał go hrabia sam przywołać!

— Tak sądzisz?

— Ale hrabia nie podejrzewał, że Wag pobiegnie za nim. On tak umie się ukrywać, że i pan by go nie zobaczył.

— Więc cóż przypuszczasz?

— Myślę, że hrabia musiał krzyknąć z gniewu lub bólu, a pies wówczas skoczył do niego.

— To znaczy, że napadnięto na hrabiego.

— Być może, ale gdyby go zabili, zabiliby i psa, jeśli zaś Wag wrócił, hrabia żyje!

— Teraz rozumiem — zawołał Bertold — hrabia zawołał psa i na sznurku prowadził go za sobą potem sznur przeciął.

— Nie — odpowiedział Romaryk, dotykając się końców sznura, sznur oderwany!

January i Bertold spojrzeli i przyznali ślepcowi słusność.

— Przytem — ciągnął dalej Romaryk — węzeł jest tak zawiązany, że się zaciąga. Nieszczęśliwe zwierzę o mało się nie zadusiło. Sierść na nim mokra, a sznur suchy. Pewno pierwaj przepłynął rzekę, a potem go przyłapali. Patrzcie on zakrwawiony. To znaczy, że hrabiego tam chyba nie było. Tracę głowę!

Romaryk sam nie wiedział co myśleć, chodził tam i napowrót, rozmyślał, jakie niebezpieczeństwo groziło hrabiemu. January i Bertold patrzyli na niego z niepokojem.

— Romaryku — zawołali — już dzień, co mamy robić!

— Bierzcie oręż, siodłajcie konie i szukajcie hrabiego!

Przy ostatnich wyrazach Wag zastrzygł uszami, szczechnął i rzucił się naprzód.

— Widzicie — rzekł Romaryk — pies nas rozumie i mówi, że pan jego w niebezpieczeństwie. Jedźmy prędzej!

Rycerze prędko się uzbroili, konie zarżały radośnie na ich widok. January i Bertold, w towarzystwie Romaryka, którego prowadził pies, szli naprzód. Ale doszedłszy do szerokiego wylomu, zatrzymali się z przerażeniem, gdyż naprzeciw nich postępował liczny oddział zbrojnych ludzi.

II.

Morgana szła tak prędko, że Eufaniusz zaledwie mógł za nią podążyć. Gdy doszli do skał, Morgana krzyknęła trzy razy jak sowa. Odpowiedziano jej tak samo. Słychać było stąpanie koni, brzęk oręża; hrabia nie mógł wiedzieć ilu było ludzi, gdyż miał zawiązane oczy. Podprowadzono go do konia, wsadzono na siodło, Morgana dosiadła także wierzchowca i w towarzystwie kilku pieszych i konnych, ruszono w drogę. Jechano długo, według obliczeń hrabiego około dwóch godzin. Eufaniusz znający doskonale okolicę, mógł się nawet domyślać, w którą stronę go prowadzą i gdzie się znajduje, tem bardziej, że doleciał go zapach żywicy, a wyciągnawszy rękę, chwycił za igły sosnowe. Był zatem w lesie.

Morgana tymczasem przysłuchiwała się dolatującym szmerom; kazawszy stanąć wysłała kilku jeźdźców

na zwiady. Po ich powrocie hrabia usłyszał szept i wyraz: Ranjar, wymówiony z gniewem przez Morganą. Imię to nie było mu obce, wiedział, że Ranjar był sprzymierzeńcem i krewnym Morgany.

— Niech twoi jeźdźcy przyłączą się do moich, a ty jedź obok mnie, muszę z tobą się poradzić! — rzekła wyrażnie do Ranjara, gdy się z nim spotkali.

Znowu ruszono naprzód, Morgana jechała między Eufaniszem i Ranjarem, rozmawiając ciągle z tym ostatnim jakimś dziwnym narzeczem, którego Eufaniusz nie rozumiał. Przysłuchując się tylko brzmieniu głosu, zauważył, że Morgana gniewała się, a Ranjar jakby się usprawiedliwiał. Potem Ranjar podniósł głos uniósł się widocznie i parę razy wymówił imię Klotyldy, hrabia nie wiedział co wspólnego mieć może jego żona z dowódcą rozbójników. Po jakimś czasie dojechano do rzeki, którą Eufaniusz poznał po plusku wody. Pacholek, prowadzący konia hrabiego, nie mógł go utrzymać, bo prąd był zbyt silny. Ranjar więc porwał za uzdę, lecz w najgłębszym miejscu pchnął Eufanisz tak silnie, że ten spadł z konia do wody i utracił przytomność. Ocknąwszy się z zemdlenia, ujrzał się na trawie, na drugim brzegu rzeki. Z oczu jego zdjęto chustkę, i hrabia zobaczył wiernego Waga, który go z rzeki wyciągnął i życie ocalił. Przy nim stała Morgana, otoczona Bretończykami o dzikich twarzach, i tak doń rzekła:

— Hrabio, muszę przeprosić was za tego niego-

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

21

Dodatek do N-ru 21 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

dziwca, który godził na twoje życie, został za to srogo ukarany. Patrz!

I wskazała ręką na dąb.

— Nie rozumiem — rzekł hrabia.

— Patrz! — powtórzyła Morgana.

Eufanisz podniósł oczy i zobaczył na gałęzi wiszącego Ranjara.

— Był to jeden z najwięcej mi oddanych sprzymierzeńców — rzekła Morgana — mój krewny nawet, lecz za nieposłuszeństwo, przez które o mało nie naruszył mojej przysięgi, tak go strasznie ukarałam. Oto jest sprawiedliwość Morgany!

— Jedźmy stąd! — zawołał Hrabia ze wstrętem, spoglądając na wiszącego zdrajcę — jedźmy stąd prędzej!

Podano konie, a Morgana, wzięwszy przepaskę, chciała zawiązać hrabiemu oczy.

— Czynisz to zupełnie niepotrzebnie — rzekł Eufanisz, bo znam doskonale miejscowość, w której się znajdujemy.

— Tak! ale nie wiesz, dokąd się teraz udamy. Do pewnego czasu nie powinienś wiedzieć, gdzie przebywa Klotylda.

— Rób jak chcesz, aby prędzej być u celu — rzekł niecierpliwie Eufanisz.

W chwili, gdy hrabia wsiadł na konia, Wag rzucił się na niego.

— Zabijcie tego psa — zawołała Morgana.

— Ale to jedyny przewodnik tego nieszczęsnego, któregoś pozbawiła wzroku.

Morgana milczała chwilę, potem rzekła:

— Niech dwóch ludzi z oddziału Ranjara przeprowadzą psa na tamten brzeg i przywiążą go mocno do drzewa.

— Czem przywiążemy to ogromne psisko? — zauważył jeden z Bretończyków.

— Powrozem Ranjara! — oburknęła sucho Morgana.

Bretończycy wzięli Waga, przewieźli go na drugi brzeg lecz pies opierał się i nie dawał się związać.

Tymczasem oddział ruszył naprzód; a dwóch ludzi zostało przy Wagu.

— Żeby nie ten przekłety pies — mówił jeden z nich — byłoby można upewnić Morgane, że upadek hrabiego był tylko nieszczęśliwym wypadkiem, a tak Morgana spostrzegła ślad kindżała Ranjara. Zabijmy teraz tego psa!

— Ale jeżeli hrabia... albo Morgana.

— Skąd się mogą dowiedzieć, mógł się sam zadusić.

Wyjęli miecze, lecz pies zerwał sznur zdjęty z szyi Ranjara i zanim oprzytomnieli, był już daleko, pędząc w stronę zamku Glej, jakby chciał dać znać o niebezpieczeństwie, grożącym hrabiemu.

Orszak tymczasem posuwał się dalej i Morgana używała różnych wybiegów, aby nikt nie mógł odnaleźć ich śladów. Po pewnym czasie rzekła do Eufanusza:

— Trzymaj się dobrze, hrabio, tu droga niebezpieczna.

Eufanisz posłyszał szum i domyślił się, że byli

na brzegu morza. Morgana trzymała jego konia. Wkrótce zatrzymała się, zdjęła hrabiemu zasłonę z oczu i ten ujrzał się w pieczarze wykutej w skale. Obejrzał się z ciekawością; na dębowej ławie leżało ubranie, a Morgana rzekła:

— To szaty dla ciebie, zrzuć swoje zmoczone.

Rzekłszy to wyszła. Po chwili wszedł karzeł i zaczął pomagać rycerzowi ubierać się, a zapytany, kim jest, otworzył usta i pokazał, że nie ma języka.

Po chwili krzyknął, naśladując głos morskiego ptaka. Na ten krzyk weszła Morgana i obejrawszy wszystko, rzekła:

— Dobrze się sprawileś Kormoranie, możesz odejść.

Potem zwracając się do hrabiego, dodała.

— Pójdź za mną!

I poprowadziła Eufaniasza przez długi, ciemny korytarz, wreszcie otworzyła drzwi i wpuściła go do komnaty, oświetlonej z góry.

W głębi komnaty stało wspaniałe łóże, ściany pokrywały makaty, podłoga wysłana arabskimi kobiercami, na łóżu spoczywała młoda kobieta z dzieckiem i spała cichym, spokojnym snem. Eufaniasz patrzył na nich z błogim uśmiechem i nie śmiał przerywać snu tych drogiech dla niego istot. Przyglądał się dziecku, które pod jego wzrokiem otworzyło oczy i pomyślał:

— To nasz syn, ma moje czarne włosy i niebieskie oczy matki.

Niebawem zbudziła się matka.

— Eufaniaszu!

— Klotyldo!

Wyrwało się razem z ust obojga. Trudno opisać powitanie tych dwojga stęsknionych i kochających się małżonków.

Klotylda opowiedziała mężowi o napadzie Morgany, o zaciętej obronie załogi; i o nieszczęsnym Romaryku, który w ich obronie utracił wzrok. Potem mówiła o dobroci Morgany i troskliwości, jaką ją tu w tym tajemniczym miejscu otaczano. Życie jej stało się jednak znośniejszym od czasu, gdy Morgana pozwoliła usługiwać jej wiernej Janice. W tej chwili właśnie weszła stara sługa i w rozmowie wspomniała, że Morgana przed paru dniami zatrzymała się przy uśpionem dziecku, patzała na niego z radosnym uśmiechem i rzekła:

— Ty będziesz królem!

— Ona i mnie to samo powiedziała — rzekł Eufaniasz, lecz sądzę, że nadeszła już pora na wyjaśnienie tych wszystkich zagadek!

— Zastukaj trzy razy tym młotkiem w ścianę — rzekła Klotylda, dając mu młotek, a Morgana zaraz przyjdzie!

Eufaniasz wziął młotek z rąk Klotyldy i uderzył nim trzy razy w ścianę.

III.

Wróćmy teraz do naszych rycerzy: zauważywszy zbrojny oddział, idący ku nim, January i Bertold stanęli w obronnej postawie, przeciwnicy uczynili to samo,

tylko jeden z nich szedł ciągle naprzód. Był to młody rycerz wysokiego wzrostu i wspaniałej postawy. Przyłożył jedną rękę do piersi, a drugą zwrócił dłonią do rycerzy, co w owych czasach było znakiem pokoju. Wtedy January i Bertold schowali miecze do pochew i poradzili Romarykowi pozostać z Wagiem na miejscu, poszli naprzód.

— Jaka szlachetna twarz! — zawołał January! To pewno jakiś książę!

— Zdaje mi się, że go poznaję, to Nomenoe!

— Tak, jestem Nomenoe. Dłoń moja dowiodła wam, że nie z wrogami zamiarami przybywam. Lecz cóż to znaczy? czy między wami niema hrabiego Eufaniusza? Ja muszę się z nim widzieć!

Bertold odpowiedział na to, że hrabia jest nie obecny, lecz że oni znają wszystkie jego tajemnice i mogą go zastąpić.

Nomenoe wyraził żal, że za późno przyjechał, a kiedy rycerze usiedli na głazach, dodał:

— Wiem że wszyscy przyjaciele hrabiego są go dni zaufania. Posłuchajcie mnie.

Po chwili ciągnął dalej:

— Muszę przedewszystkiem wspomnieć o Morganie, którą jakby się zdawało, powinienem szanować, lecz drogi nasze się rozeszły i chociaż nie jestem jej wrogiem, lecz dla dobra Bretończyków muszę na koniec wystąpić z memi prawami.

— Z twemi prawami? — pytali jednocześnie rycerze.

— W żyłach moich płynie krew króla Morwana, jestem jego synem!

— Ty?

— Tak. Matką moją była cudzoziemka, ojciec mój ożenił się z nią, podczas jednego ze swoich licznych pochodów. Wychowywałem się przez pierwsze lata mego życia zdala od ojca, przez strach o zawiść mej macochy, Morgany, lecz potem ojciec wziął mnie do siebie, i Morgana z nienawiścią w duszy, opiekowała się mną. W rok potem, urodziła się jej córka, wtedy Morgana z radości zapomniała o mnie. Ale że zwyczaj nasze zabraniają niewiastom panować, Morgana pragnęła mieć jeszcze syna. Tymczasem zawiodła się, nie tylko że nie miała syna, lecz król Morwan poległ wkrótce w wojnie z Ludwikiem. Wtedy Ludwik spustoszył całą Bretanję, obległ nasz zamek, podpalił go i siostra moja zginęła w płomieniach. Cesarz wasz przez długi czas był bezlitośnym i ja nienawidziłem go z całej duszy, lecz zobaczywszy go obecnie starego, zniedołężniałego i cierpiącego, nie mogłem go zabić; przekonałem się, że niebo ukarało go dostatecznie za jego okrucieństwa i przebaczyłem mu.

— Wiem o tem — rzekł Bertold — widziałem to własnymi oczami i w imieniu potomków Karola Wielkiego dziękuję ci za to!

Nomenoe, usłyszawszy te pochlebne wyrazy, zarumienił się i rzekł:

— W Saint-Medard widziałam cień mego ojca, mówiący do mnie te słowa:

— Zapomnij o przeszłości, bądź przyjacielem tego,

kto mnie zwyciężył, lecz zachowaj swobodę Bretanii. Oto dlaczego śmiało oparłem się woli Morgany, której dotąd ślepo słuchałem, i nie żałowałem tego nigdy. Zrozumiałem, że taki jest los i wola Boga, żebym był królem. Większość Bretończyków jest po mojej stronie, czy mogę liczyć na poparcie cesarza?

— Obiecujemy ci je — rzekł uroczyście Bertold — przytem my i hrabia Eufaniusz, jesteśmy twoimi stronnikami! Co jeszcze chciałeś powiedzieć hrabiemu?

— Chciałem pomódz mu odnaleźć jego żonę. Gdzie jest obecnie hrabia?

Spojrzawszy na Bertolda, January opowiedział o nieoczekiwanem ukazaniu się Morgany, odjeździe z nią Eufaniasza i powrocie wiernego psa.

— W takim razie — zawołał Nomenoe — nie czas na rozmowy, trzeba działać! Nie wiem, jakie są jej zamiary względem hrabiego i hrabiny, lecz wiem, że ona zawsze marzyła o tem, aby ich ująć w swe ręce. Trzeba zaraz odszukać ślad hrabiego!

— Czy domyślasz się dokąd mogła udać się Morgana? — spytał Jannary.

— Schronienia jej są bardzo liczne, i tylko jeden człowiek zna je, to Ranjar, lecz on jest z nią teraz. Wszystko jedno, z pomocą waszą i moich towarzyszy znajdziemy go prędko.

— Wag nam pomoże — rzekł Romaryk.

— O! znam go! — zawołał Nomenoe w tem zauważył, że Romaryk miał wykłute oczy.

— Jaktó! — zawołał — obrońca zamku, Romaryk, ślepy! Okrutna Morgana!

I wyciągnąwszy rękę ku Romarykowi, ścisnął serdecznie podaną sobie dłoń!

Po kilku minutach ruszyli w drogę. Oprócz trzech rzczerzy było jeszcze z pięćdziesięciu jeźdźców, przodem szedł Wag, prowadząc Romaryka. Orszak postępował bardzo powoli i January niecierpliwił się, lecz Romaryk rzekł mu:

— Jeżeli mnie nie będzie z wami, to Wag nie pójdzie, gdyż on zna tylko mnie i hrabiego. Tylko ja jeden rozumiem go i on spełnia tylko moje rozkazy.

— Prawda! — rzekł Nomenoe. — Bądź spokojny, młody rycerzu, jak tylko wpadniemy na ślad, Romaryk i ja zawołamy: naprzód!

Romaryk szedł równo, gdyż pies omijał wszystkie przeszkody. Wkrótce doszli do miejsca, gdzie Morgana złączyła się z swym oddziałem i odkąd hrabia Eufaniusz jechał już konno. Nomenoe zsiadł z konia i schyliwszy się nisko, szedł tak prawie milę, przyglądając się śladom. Po pewnym czasie znalazł ślady nóg Morgany. Dalej gdzie był grunt wilgotny, ślady były wyraźniejsze, Nomenoe wskazał im te ślady i rzekł:

— Czy widzicie ślady tego konia? Jakże one nierówne.

— Cóż to znaczy?

— Mówiliście, że hrabia zgodził się, żeby mu Morgana zawiązała oczy!

— Tak!

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

22

Dodatek do N-ru 22 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

— Ślady tego konia dowodzą, że kierował nim nie jeździec, lecz ktoś inny, są miejsca w których widać nawet ślady stóp. Zatem niema wątpliwości, że to są ślady konia hrabiego!

January i Bertold zgodzili się z tem przypuszczeniem i oddział ruszył dalej. Wag prowadził Romaryka z zadziwiającą ostrożnością, obchodząc wszystkie przeszkody i nagle zaszczekał.

— Naprzód, rycerze, naprzód! — zawołał Romaryk. — Patrzcie, na co on wskazuje, bo ja widzieć już tego nie mogę!

Nomenoe, January i Bertold byli w jednej chwili przy Wagu. Było to właśnie miejsce, w krórem Morgana spotkała się z Ranjarem. Chociaż nie można było wiedzieć z kim ona się spotkała, lecz po śladach poznać, że oddział Morgany się powiększył.

— Ona ma teraz większe siły, niż my — rzekł Nomenoe z namysłem — trzeba utrzymać równowagę!

Wyrzekłszy to, przywołał dwóch młodych jeźdźców, dał im jakieś polecenie, i ci popędzili galopem; pozostali ruszyli dalej za Romarykiem.

— Synu króla Morwana — rzekł Bertold — czy nie możesz nam powiedzieć, jaki rozkaz wydałeś tym młodym żołnierzom?

— Wysłałem ich po dwa hufce, któreby szły za nami i dopędziły jak najrychlej.

Od czasu do czasu, Nomenoe nadłamywał gałęzie, lecz tylko dębowe. Zauważywszy to, January spytał co to ma znaczyć.

— Dąb jest mojem godłem — odrzekł Nomenoe —

gdyż on jest królem drzew. Po tych gałęziach poznają mój ślad.

Po pewnym czasie, Nomenoe zsiadł z konia i zaczął się pilnie przyglądać, wreszcie rzekł:

— To dziwne, ślad wierzchowca Morgany tutaj zupełnie inny, widać, że kierowała nim niecierpliwa ręka, to już nie ta tryumfująca Morgana, która wyjechała z zamku Glej, śnać ją bardzo rozgniewał dowódzca spotkanego oddziału. Tu ślady stają się równiejsze, za to towarzysz Morgany jechał niecierpliwie i ścigał konia. Widać nawet krew na piasku, musiał spaść konia ostrogami. To pewnie był Ranjar.

— Królu Bretończyków! — zawołał z niecierpliwionym January — my gubimy się w domysłach, a czas leci, i przewodnik nasz już daleko! Naprzód!

— Naprzód! — powtórzył Nomenoe, wskakując na konia i pędząc galopem.

Przeszła jeszcze godzina i posłyszano szum wody, rycerze znaleźli się na brzegu rzeki. Wag się zatrzymał, zaczął szczeleć i drapać ziemię.

— Co tam takiego, Wagu? — spytał ślepy.

Dotknął ręką drzewa i namacał sznur, którego drugi koniec był jeszcze na szyi Waga.

— Rozumiem — rzekł Romaryk — byłeś przywiązany do tego drzewa, obito cię tu, lecz ty zostałeś zwycięzcą, sierść miałaś mokrą, zapewne przepływałaś na tamtą stronę rzeki. Nie prawdaż, Wagu?

Pies obrócił się w stronę rzeki i krótkiem, urwanem szczeleciem odpowiedział ślepemu, potem zaczął mu się łasić. Przeprowadzono się na drugi

brzeg. Tam pod dębem ujrzeni wykopany dół; jakby na pogrzebanie zwłok, lecz dół był pusty i żadnych zwłok nie było w pobliżu. Nomenoe, który pilnie wszystko śledził, zauważył, że na dębie został kawałek powrozu, zaraz się domyślił, że ktoś musiał być powieszony na tej gałęzi. Odwiązał powróż od drzewa, popatrzył na świeżo wykopany dół i zwróciwszy się do psa, rzekł:

— Winszuję ci Wagu, stryczek powieszzonego zawsze szczęście przynosi!

— Na miłość Boską, co chcesz przez to powiedzieć? — spytał zaniepokojony Bertold.

Nomenoe zamyślił się, potem odrzekł:

— Zdaje mi się, że ten sznur posłużył nietylko do przywiązania psa, lecz i do powieszenia człowieka. Pies jest, ale gdzież się podział człowiek?

— Zgroza mnie przejmuję na samą myśl, że tą ofiarą może być hrabia Eufaniusz! — zawołał January i spał konia ostrogami.

Trzej rycerze puścili się za nim, zostawiając za sobą znużonego Romaryka i psa. Po chwili Nomenoe rzekł:

— Nie uważacie, że śladów coraz mniej.

Zeskoczył z konia i zaczął badać ślady, po pewnym czasie odezwał się.

— Tu nie ma śladów konia hrabiego, ani Morgany, ani dowódcy oddziału.

— Musimy wracać do Romaryka, gdyż zbłądził! W tej chwili doszło do ich uszu szczekanie Waga.

— Słyszycie — rzekł Nomenoe — pies na nas szczeka.

Na brzegu rzeki znaleźli Romaryka i Waga. Pies podnosił wysoko swoją mądrą głowę i zdawał się czekać na rycerzy.

— To dziwne — rzekł Nomenoe — kędy oni mogli pojechać! Chociaż Morgana zapewnia, że rozkazuje wiatrom, lecz nie mogła przecież unieść w powietrzu Eufaniusza.

— Cóż pocniemy? — spytał Bertold.

— Trzeba zaczekać! Teraz niech działają moi ludzie. Odjenie!

Młody Bretończyk zbliżył się do swego wodza, który kazał mu szukać śladów na brzegu rzeki. Potem Nomenoe zwróciwszy się do swoich ludzi, rzekł:

— A wy przeszukajcie krzaki i przypatrzcie się dobrze śladom przy dole, pod dębem! ślepy i pies pomogą wam!

Wszyscy ruszyli w stronę starego dębu.

— Cóż my tymczasem będziemy robili? — spytał Bertold.

— Musimy czekać. Póki ręce rycerza odpoczywają, głowa pracuje!

I pogrążył się w głęboką zadumę. Tymczasem zmaczona woda w rzece oczyściła się i na kamienistym jej dnie można było rozpoznać dużo końskich śladów.

— Widzicie! — zawołał Nomenoe z tryumfem. — Nie wątpię o tem, że znajdziemy dalej ślady Morgany, pomimo całej jej przebiegłości. Znowu ślad jej konia taki równy, jakby kierowany ręką kobiety spokoj-

nej i pewnej powodzenia. Nie widać tylko śladów konia spotkanego przez nią dowódcy, lecz ślady niepewne konia Eufaniasza widać wyraźnie.

— A więc on żyje — zawołali razem January i Bertold.

— Zaraz się upewnimy — odpowiedział młody wódz — oto i ludzie moi wracają, oni zbadali dół pod dębem i napewno coś nowego odkryli.

Nomenoe i rycerze spojrzeli w stronę, skąd wracali Bretończycy i zobaczyli, że prowadzą dwóch ludzi, a na noszach niosą jakieś ciało; Wag kręcił się koło więźniów i groźnie warczał. Miał ku temu najzupełniejsze prawo, gdyż przeszłej nocy ci sami ludzie chcieli go zabić.

— Zlituj się nad nami! — wołali więźniowie, rzucając się do nóg Nomenoeego. — Ty jesteś naszym prawdziwym królem. Zlituj się nad nami!

Nomenoe odepchnął ich z pogardą i podszedł do nosza, gdzie już stali January i Bertold. Na noszach leżał zemdlony człowiek z siniałą twarzą i czerwonym znakiem od sznura na szyi.

— Ranjar! przecucie mię nie omyliło! — zawołał Nomenoe.

Ponieważ Ranjar nie mógł mówić, zaczęto więc wypytywać dwóch jeńców, którzy opowiedzieli wszystko, co się stało nad rzeką, dodając, że po ucieczce Waga, zbliżyli się do Ranjara, żeby go pogrzebać, lecz spostrzegłszy, że jeszcze oddycha, odwiązali go od drzewa i zaczęli cucić, przy tej czynności zastali ich ludzie Nomenoeego.

Po pewnym czasie Ranjar otworzył oczy, podniósł się na noszach i potwierdził zeznania jeńców.

— Widzisz Nomenoe, czem Morgana zapłaciła mi za wszystkie moje usługi. Rozumiesz chyba, że teraz nie mogę być twoim wrogiem!

— Lecz ja będę zawsze twoim! — zawołał syn Morwana — nigdy ręka moja nie dotknie się twojej zdradzieckiej i splamionej krwi!

— Niech i tak będzie, ale pomyśl, że mnie jedynemu wiadome jest schronienie Morgany, że tylko ja mogę was zaprowadzić tam, gdzie się znajduje ten, którego szukacie!

Po długiej wewnętrznej walce, Nomenoe rzekł:

— Ja kupuję zdrajców lecz nie wchodzę z nimi w umowę. Sprzedaj mi twoją tajemnicę!

— Dobrze! — zawołał Ranjar — lecz wysłuchaj pierwszej moich warunków!

— Mów!

— Zapewnisz mi życie i swoją opiekę.

— Co dalej!

— Jest jedna łaska, którą przyrzekła mi Morgana i nie dotrzymała przyrzeczenia. Teraz ty przyrzeknij, że ją spełnisz!

— O co ci idzie?

— To moja tajemnica!

— Chcesz, żebym ci dał słowo, nie wiedząc o co idzie!

— Tak... lecz w zamian ofiaruję ci nie tylko wolność i życie więźniów Morgany, lecz i tryumf nad nią samą! Pamiętaj, że ja znam wszystkie jej tajemnice.

Ofiaruję ci koronę Bretanii! Porzuć twe wahania! Jestem pewny, że jeżeli dasz mi słowo, to dotrzymasz go! Czy chcesz przysiąc?

Nomenoe milczał, położywszy rękę na sercu. Po jakimś czasie, jakby naradzając się z własnym sumieniem, rzekł:

— Dobrze, zgadzam się na twoje warunki!

January i Bertold, patrząc uważnie na Nomenoe, zauważyli, że po jego twarzy przebiegł dziwny uśmiech; a Ranjar uradowany nie widział tego i zawołał

— To znaczy, że jestem już ocalony i mogę liczyć na ciebie. Przysięgasz mi to?

— Przysięgam.

— Wierzę ci i dam dowody mojej ufności! — zawołał Ranjar, podnosząc się na noszach. — Jeszcze jedno ostatnie słowo, przyrzekasz spełnić moją prośbę, gdy będziesz królem.

— Tak — rzekł Nomenoe, wymawiając powoli każdy wyraz — i przyrzekam ci tę samą łaskę, którą przyrzekła Morgana a nie dotrzymała w ostatniej chwili swego przyrzeczenia. To są twoje słowa, nieprawdaż?

— Tak!

— Więc spełnię twoją prośbę.

Potem kazawszy dać konia Ranjarowi, zawołał:

— Naprzód! przyjaciele, naprzód!

IV.

Kiedy Morgana weszła do komnaty, w której przebywał Eufanisz z rodziną, twarz jej i postawa zmieniła się od razu: nie była to już straszna kapłanka druidów, lecz zwyczajna nieszczęśliwa niewiasta, postarzała przed czasem, blada i zmęczona. Wszystko, co ją czyniło podobną do wiedźmy, znikło i w żalobnym stroju wyglądała, jak wdowa po królu Bretanii. Zbliżała się wolno, nieśmiało, oczy miała spuszczone, ręce jej drżały. Opadła ciężko na ławę i zakryła twarz rękami.

Eufanisz i Klotylda, zdziwieni, śledzili każdy jej ruch, lecz nie wstawali z miejsc swoich i nie zabierali głosu. Wtedy dziecko, poznawszy Morgane, zbliżyło się do niej i dotknęło się jej rączkami.

— Ach — rzekła Morgana — ty mię ośmielasz, a więc powiem wam wszystko!

Wzięła dziecko na kolana, przytuliła do serca i rzekła:

— Klotyldo, Eufaniesz! sami jesteście już rodzicami, więc nie powinniście sądzić surowo tych, którzy dzięki różnym okolicznościom życia nauczyli się wcześniej nienawidzić.

Tak było ze mną. Będąc małym dzieckiem jeszcze, poznałam gorycz łez. Dom nasz spalono, rodzice zginęli, ja, księżniczka, zostałam sama na świecie, pod opieką starego krewnego, druida, który po klęsce, jaka

nas spotkała, uszedł w las, uprowadzając mnie z sobą. Tam spędziliśmy około dziesięciu lat, cierpiąc głód i chłód, tam zaczęłam pojmować tajemnice religii, która z czasem może się jeszcze odrodzić!

— Nie bluźnij! — przerwał jej Eufaniusz. — Jest tylko jeden Bóg!

— Nie będziemy się sprzeczać! — mówiła dalej Morgana. — Rosłam w samotności, w ciszy leśnej, ze zwierzętami. Raz do tego lasu przyjechał na łowy król Morwan, pogromca naszej rodziny. Mój opiekun rzucał mu się do nóg, opowiedział mu, kto my jesteśmy, i prosił o litość! Morwan spojrzał na mnie i rzekł:

— Niech będzie kapłanką druidów!

I kazał mnie zawieźć na odległą wyspę, gdzie uczono tajemnic wiary przyszłe kapłanki druidów. Po długiej, męczącej pracy stałam się jedną z sióstr świętego dębu.

Mogłam wyzywać albo uśmieszać burze i inne cuda robić; dano mi złotą obręcz i dla okazania mi wielkiego szacunku uczyniono na moją cześć ofiarę z człowieka na górze Kranaku.

Na twarzy Eufaniasza i Klotyldy odmalowało się oburzenie. Morgana zauważyła to, i rzekła:

Lecz ofiara ta przyniosła mi nieszczęście! W tym czasie król kazał mi się stawić przed sobą i pojął za małżonkę. Ale w życiu rodzinnem nie miałam szczęścia: Morwan był dla mnie zawsze zimny, całą swoją miłość zwrócił na syna swojej pierwszej żony, Nomenoego. Wkrótce bogowie dali mi dziecko, lecz niestety! była to córka! kochałam ją bardzo i pieszcząc

ją, żywiłam w duszy nadzieję, że zwyczaje mogą się zmienić i że z czasem ona będzie królową! Lecz gdy moja córka miała sześć miesięcy, cesarz Ludwik napadł na Bretanię. Pewnego dnia, o! niech ten dzień będzie przeklęty! ogień otoczył nasz zamek, i nazajutrz, kiedy pożar zaczął gasnąć, zobaczyłam trupa mego męża i pustą kołyskę. Teraz rozumiecie przyczynę zemsty Morgany!

Nieszczęśliwa kobieta zapłakała. Milczenie obecnych, wzruszonych do głębi jej opowiadaniem, dało jej siłę i zaczęła mówić dalej:

— Pomimo całego ogromu mego nieszczęścia, nie straciłam nadziei!

— Jakiej nadziei? — spytał Eufaniusz!

— Że córka moja żyje! Wiedziałam, że ją z płomieni uratował młody rycerz, zawiózł do swego zamku i zajął się jej wychowaniem. Mówiłam sobie: cierpliwości, Morgano, cierpliwości! czyż nie widzisz z gwiazd, że córka twoja będzie piękna i kochana przez wszystkich? Musiałam więc czekać! Przeszły lata i nadzieja moja stała się rzeczywistością! Klotyldo, jam twoja matka! — zawołała Morgana.

— Tyś moją matką?

— To nie może być — zawołał Eufaniusz!

— Przypomnij sobie, jakęś ją znalazł ośmnastcie lat temu! Przypomnij sobie, że wszyscy uważali ją za córkę Bretońskiego króla! Wreszcie, czyż ona nie ma na ręce znaku, którego znaczenia nikt nie rozumie. Znak ten jest to obręcz złączona z koroną, to

jest godło Morwana i moje. Znak ten wyciął jej sam ojciec. Taki sam mam i ja.

Odrzuciwszy rękaw, wyciągnęła rękę ze znakiem.

— Prawda! — rzekł hrabia.

— Klotyldo — rzekła Morgana — czyż nie pamiętasz tej kobiety w czerni, która w twojem dzieciństwie przychodziła do zamku Głej, pieściła i całowała cię? Czyż nie widzisz łez w mych oczach? Czyż nie czujesz, żem twoja matka!

I chwiejąc się cała, Morgana wyciągnęła ręce ku córce, Klotylda rzuciła się w jej objęcia, lecz w tej chwili stanęło między nią a Morganą wspomnienie krwawego widma.

— Romaryk! — wyszeptała Klotylda ze zbielełymi ustami.

— To była konieczność — odpowiedziała Morgana — inaczej odebrałby mi ciebie. Robisz mi gorzkie wymówki, lecz ja będę cierpliwie czekała dnia, kiedy mię pokochasz. Czyż nie przyrzekłam cierpieć i czekać? Czyż jestem stworzona do szczęścia?

Wtedy Eufaniusz rzekł:

— Znamy teraz twoją tajemnicę, Morgano, zaśługujesz na współczucie i szacunek. Powiedz, czy nie zechcesz nam wyjaśnić swoich dalszych zamiarów.

— Czy nie domyślasz się ich? Przywiązanie moje do twego syna i kilka oderwanych słów, które mi się wyrwały, czyż ci nie wystarczają do wyjaśnienia moich zamiarów?

— A więc mów, co myślisz!

— Cierpiąc nad tem, że córka moja wychowy-

wała się zdala ode mnie i nie poznała wiary ojców swoich, pocieszałam się myślą, że na tronie Bretanii, zasiądzie nie obcy, lecz wnuk Morwana, syn mojej Klotyldy!

— On?

— Tak, wasz syn! Ja powiedziałam mu: „dziecię, ty będziesz królem!” gwiazdy potwierdzają moją myśl; hrabio, Morgana ofiaruje ci koronę!

— Mnie?

— Tak tobie, waleczny rycerzu, gdyż ty tylko zwyciężysz Nomenoego i podniesiesz wysoko sztandar Morwana. Tak mówiły mi liście świętego dębu, a one nigdy się nie mylą? Chcesz, opowiem dziś jeszcze wszystkim, żeś ty mąż mojej córki, ojciec przyszłego króla?

Hrabia się zamyślił, rozumiał dobrze, że od jego odpowiedzi zależy swoboda jego rodziny i ich szczęście. Po namyśle cicho odpowiedział:

— Mam się wyrzec mojej religii?

— Nie — zawołała Morgana — ja dam przykład wszystkim! Powiem, że przyszedł czas, że trzeba opuścić stare bogi i za przykładem Gotów uwierzyć w Chrystusa. W duszy, sama zostanę wierną wierze druidów! Namyśl się, daję ci sposób nawrócenia całego narodu!

— Nie — rzekł Hrabia — ty tylko możesz tak mówić, gdyż nie znasz wiary naszej; w Ewangelii powiedziano: „Oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego.” Cała monarchia należała do Karola Wielkiego zatem teraz jest własnością cesarza Ludwika. Karol Wielki

sam mnie wychował, więc przez wdzięczność dla niego, zostanę wiernym jego następcą.

— Lecz pamiętaj, że w Bretanii przeszła twoja młodość, byłeś tam szczęśliwy i kochany!

— Bretania należy do potomków Karola Wielkiego.

— Należy z prawa silniejszego, lecz jest to naród niezależny.

— Morgano — rzekł hrabia — sprawa ta tyczy się nie tylko mnie, lecz i twojej córki. Klotyldo, każ mi się wyrzec dobrego imienia, religii, honoru rycerskiego i za tą cenę ofiaruję koronę naszemu dziecku. Co sądzisz o tem?

Młoda kobieta postąpiła naprzód parę kroków, oparła się na ramieniu męża i rzekła:

— Honor przedewszystkiem! Niech lepiej syn nasz będzie biedny i nieznany; niech lepiej nas rozłączy; niech ja umrę! lecz niech honor zostanie nieskalany!

— Klotyldo — zawołała kapłanka druidów — pomyśl o moich łzach.

— Dosyć! — przerwał jej hrabia, obejmując żonę.

— Namyślcie się! — nalegała Morgana.

— Nigdy!

— Klotyldo — rzekła błagalnym tonem Morgana — zostań tu, przy swojej smatce, powiedz mi, że nie czujesz do mnie nienawiści, powiedz, że niechcesz mię opuścić! Pomyśl, ile lat marzyłam o szczęściu nazwania cię córką. Zwracam się do twego serca.

I błagalnie wyciągnęła ręce ku niej. Klotylda podeszła i pocałowała matkę.

— Nie mam prawa sądzić cię — rzekła — żałuję

bardzo, że nie mogę cię kochać. Będę cię kochała, jeżeli zapomnisz o swych zamiarach i będziesz żyła z nami w zgodzie!

— Nigdy! — zawołała kapłanka druidów, nigdy! — Morgana stworzona do walki i władzy!

Cień żalu przebiegł po twarzy Klotyldy, zamyśliła się, potem cicho podeszła do stołu, wzięła zwój pergaminu, leżący na nim, podała go Morganie i rzekła:

— Chciej to przeczytać!

Było to Pismo Święte. Bretonka przeczytała:

— Żona opuści ojca i matkę i pójdzie za swoim mężem.

Klotylda zwróciła się do Morgany:

— Matko — rzekła — czy pozwoliś nam już odjechać?

Morgana zakryła twarz rękami.

— Zostawcie mi dziecko — rzekła — wychowam je i uczynię królem!

— Mego syna! — zawołała Klotylda — nigdy! Morgano, wszak masz serce matki, rozumiesz, że matka woli rozstanie z mężem, woli najgorszą dolę, niż opuszczenie dziecka.

— Morgano — rzekł hrabia — w tobie niema miłości, przez ciebie sama pycha i nienawiść przemawia!

— Jeżeli tak — zawołała Morgana, blednąc ze złości — odejdz, lecz żona twoja i syn, jako łupy wojenne, należą do mnie! odejdz i miej się na baczności!

— Potrafię ich wyrwać z twojej mocy, niegodna!

Morgana podniosła do ust srebrny róg i na ten odgłos wszedł Kormoran, a za nim kilku zbrojnych.

— Sprobuj — rzekła Morgana.

— Czyż ośmieliłabyś się mnie zabić? — zapytał Eufaniusz. — Przecież dałaś słowo!

— Odprowadzą cię nazad z zawiązanymi oczami, dadzą ci oręż, a wtedy stanę z tobą do boju.

— Pokonam cię — zawołał rycerz.

— Zobaczmy — odrzekła Morgana i skinęła na karła. Kormoran, zawiązał oczy hrabiemu, zbrojni ludzie otoczyli go i wyprowadzili.

W parę godzin potem znalazł się nad rzeką u dębów gdzie go radośnie powitali towarzysze i Nomenoe.

V.

Tak przeszły trzy tygodnie. Nasi bohaterowie szukali ciągle na próżno schronienia Morgany, w którym była ukryta Klotylda i pomimo wskazówek Ranjara poszukiwania te były bezowocne. Po jakimś czasie przyjechał Landryk, zdrów zupełnie, w towarzystwie hrabiego Roberta i przywiózł Januaremu smutną wieść o śmierci brata, oraz rozkaz dla wszystkich rycerzy zdążania natychmiast do Laval i złączenia się tam z wojskiem cesarskim.

Nowe niebezpieczeństwo groziło Ludwikowi. Hrabia Landbert, sojusznik Lotaryusza, zebrał wielkie siły. Normandowie i Gaskończycy wystąpili przeciw cesarzowi i zastąpili mu drogę, tak, że mógł wpaść między dwa ognie, na brzegach rzeki Loary. Rycerze postanowili wyruszyć niezwłocznie. Nomenoe przyrzekł pomagać także synowi Karola Wielkiego. Chociaż na-

leżało pospieszać, urządzili zaczekać na Romaryka z Wagiem, których już od dwóch dni nie widzieli. Landryk cicho rozmawiał ze swoim dawnym panem, opowiedział mu o swoim małżeństwie z Joanną i prosił o zaopiekowanie się nią, w razie jego śmierci. Hrabia miał mu odpowiedzieć, gdy w tem o parę kroków rozległo się szczekanie psa, i rozpaczliwe krzyki nieszczęśliwego Romaryka.

— Do mnie, do mnie! zabijają mi psa!

Eufaniusz skoczył pierwszy na wołanie Romaryka, za jego przykładem poszli inni rycerze. Mijając stos kamieni, Eufaniusz zauważył karła Kormorana, który usiłował uciec i biegł, podnosząc łuk do góry.

— To on! — zawołał hrabia — to on strzelił do Waga, ten przebrzydły karzeł Morgany — z temi słowami rzucił się za nim.

— Stój — wołał Landryk — czy zapomniałeś, że ja uchodzę za pierwszego szybkiego w Bretanii!

I rzeczywiście, po kilku minutach Landryk był już daleko; lecz karzeł pędził z nieźrównaną szybkością i z zadziwiającą zręcznością omijał przeszkody. Już trzy razy wymknął się z rąk Landryka, wtedy zniecierpliwiony rycerz cisnął weń kamieniem: wymierzył celnie, lecz karzeł podskoczył do góry, krzyknął przeciągle i znikł z oczu Landrykowi wśród skał. Tymczasem wszyscy otoczyli rannego psa. Biedne zwierzę męczyło się strasznie.

— Żegnaj, wierne moje stworzenie! zawołał Eufaniusz.

— Ale—rzekł Nomenoe—czyż obecność Kormorana nie dowodzi, że Morgana ukryła się gdzieś blisko, w okolicy, a razem z nią...

— Niemów o tem, nie naprowadzaj mnie na myśl, że nasze poszukiwania mogą się uwieńczyć powodzeniem. Przysiągłem jechać o świcie: zresztą Klotylda nie ma się czego obawiać Morgany. Już dzień, w drogę!

— W drogę — powtórzył syn Morwana — lecz czy nie dobrze będzie zostawić tu kogoś, ktoby w dalszym ciągu prowadził nasze poszukiwania, może odnajdzie Klotyldę. Wtedy przywiezie ją do nas. Myślę poruczyć tę sprawę Ranjarowi.

Na wzmiankę o Ranjarze, Eufaniusz nie mógł ukryć wstępu. Nomenoe zauważył to i nachyliwszy się, szepnął na ucho hrabiemu.

— Zaufaj mi, jam przecie brat Klotyldy.

I zwróciwszy się do Ranjara, rzekł:

— Czy przyrzekasz nam wierność w tej sprawie?

— Przyrzekam wierność — rzekł Ranjar — lecz wy ze swej strony...

— Bądź spokojny — przerwał mu syn Morwana — przywieź nam hrabinę Klotyldę, a wtedy wszystko co zechcesz, otrzymasz ode mnie.

Ostatnie słowo Nomenoe wymówił z dziwnym wyrazem twarzy, patrząc prosto w oczy Ranjara, jakby rozumiejąc, co on uważał za największą łaskę.

— Zgadza się i uczynię, co będę mógł — odpowiedział Ranjar.

Dodano mu kilku zbrojnych ludzi i mały oddział

ruszył na zachód. Rycerze, razem z oddziałem Nomenoe po sutej wieczerzy, pożegnawszy się z biednym Romarykiem, ruszyli w stronę Laval. Kiedy słońce weszło, na ruinach Karnaku wszystko ucichło, tylko przy rannym psie siedział ślepy Romaryk, a obok niego bawił się chłopczyk, jego przewodnik.

— Panie — rzekł chłopczyk do Romaryka — dokąd mam cię zaprowadzić?

— Jutro pójdziemy do ruin zamku Głej, a tymczasem niczego nie potrzebuję od ciebie.

Nie podobało się to chłopcu, gdyż zaraz rzekł:

— Już jest południe, ja zwykle o tej porze jadam obiad.

Ślepy nic nie odrzekł, lecz wyciągnął z woreczka zastawionego mu przez hrabiego, monetę i podając ją chłopcu rzekł:

— Masz, idź do osady i kup sobie co do jedzenia.

Najbliższa wieś leżała o dwie mile od Karnaku, więc chłopiec powrócił dopiero na wieczór.

— Teraz zjedzmy wieczerzę — rzekł, podsuwając kamień — ten kamień będzie nam służył za stół.

— Jedz sam — rzekł Romaryk — ja nie jestem głodny.

Chłopak zajał w milczeniu, potem odezwał się: — Zanim opuścimy to miejsce, trzeba zakopać psa, ja w tym celu przyniosłem rydel od mojej matki.

— Dziękuję ci — rzekł Romaryk — jesteś dobre dziecko, daj mi rydel. Czy twoja matka mieszka w tej samej wsi?

— Tak.

— Czemuż nie zostałeś u niej na noc?
 — Bo nie prosiłem cię o pozwolenie, panie.
 — Pozwalam ci teraz! Wracaj do rodziny i przychodź jutro.

— Moja pomoc ci nie potrzebna?

— Nie, idź! zostaw mi tylko naczynie z wodą, może będę miał pragnienie.

Chłopak oddalił się zaraz. Romaryk zaczął kopać dół, praca była ciężka dla ślepego. Kiedy skończył kopanie, była już noc, odnalazł drżącą ręką ciało psa i rzekł ze łzami:

— Wagu mój, obrońco i przyjacielu! musimy się rozstać na zawsze! Teraz czuję się jeszcze więcej samotnym na całym tym świecie. Żegnaj, Wagu, żegnaj!

Cichy, przytłumiony jęk, był mu odpowiedzią. Romaryk nachylił się nad psem i zauważył, że zwierzę jeszcze oddycha. Nie posiadając się z radości, wziął naczynie z wodą, odwilżył głowę Waga i wlał mu trochę wody do gardła; chciał mu przemyć ranę i zauważył, że strzała przeszła go na wylot. Rana była śmiertelną, lecz pies mógł żyć jeszcze czas jakiś.

— Ach! — zawołał z rozpaczą ślepy — żebyś mój Wagu, przez ten czas mógł wskazać mi więzienie twojej pani i pomóc ją oswobodzić.

Wag zaczął skomleć i powoli zwrócił się w stronę, którą biegł w chwili spotkania karła.

— Zrozumiałeś więc Wagu. Naprzód, szlachetne, mądre zwierzę! Prowadź mię!

I obaj, jeden na klęczkach, drugi pełznąc, znikli w nocnym mroku.

VI.

Niezbýt daleko od Karnaku, koło wioski Flou-garnel, dotąd jeszcze widać gruz i kamienie, przykryte z wierzchu piaskiem. Wokoło pełno mogił, dziś prawie zupełnie rozkopanych. W tych mogiłach znajdowano kości ludzkie i końskie, żelazne zbroje, kamienne topory i inny oręż. Na tem miejscu stała niegdyś świątynia, a w niej był grób pierwszego króla Bretanii, potem miejsce to służyło za grobowiec dla wszystkich królów. Według dawnego zwyczaju tylko żonie króla jego synom i druidom był dozwolony udział w pogrzebie i prawo wstępu do tych grobów. Po śmierci Morgana, tajemnica jego grobu była ściśle zachowana. Nawet Nomenoe nie był obecny przy tej smutnej ceremonii. Z uczestników obchodu, jedna Morgana pozostała, gdyż wszyscy druidzi już poumierali. Korzystając z tego, Morgana wybrała sobie za schronienie grobowiec męża i udała się tam w ciemną noc, razem z Kormoranem, który cieszył się jej zaufaniem i był powiernikiem jej tajemnic.

Widząc, że ją śledzą i szukają Klotyldy, i że między jej wrogami, znajduje się Ranjar, znający jej kryjówkę, Morgana z nadzwyczajną ostrożnością przewiozła swoje branki. Użyła nawet usypiającego napoju i w nocy przeniosła je do Flougarnel. Nazajutrz rano Klotylda i Janika znalazły się w podziemiu, nie wiedząc, jak się tam dostały.

Pieczara była mała i całe jej umeblowanie stanowiły dwa łóżka kamienne, stół i zapalona pochodnia. Więzienie wywarło na Klotyldę straszne wrażenie, lecz wielką pociechą było dla niej to, że ją z dzieckiem i Janiką nie rozłączono.

Nieszczęsne kobiety nie wiedziały, kiedy się zaczynał dzień, gdyż u nich panowała wieczna noc; czuły się jakby za życia pogrzebane. W pieczarze nie było widać wyjścia i strasznie męczyło ich to, że nie wiedziały, kędy podawano im pokarm i napój. Janika na próżno starała się rozwiązać tę zagadkę.

Morgana nie okazywała już teraz miłości córce, dawniejsza nienawiść nią zawładnęła. Bardzo rzadko, a zawsze niespodzianie odsuwając tajemniczy kamień, zasłaniający wejście, przychodziła do swoich branek, rzuciła im parę słów, patrzyła zimno na wnuka i zniżała. Drażniło ją to, że ją prześladowano, że musiała się ukrywać i tylko w nocy mogła wychodzić na powierzchnię ziemi. Karzeł był stróżem Klotyldy i nadzór jego stawał się jeszcze sroższy w czasie nieobecności Morgany.

— Nie traćmy jednak odwagi, pani moja — rzekła raz do Klotyldy Janika — zamiast rozpaczać, trzeba myśleć, jakby się stąd wydostać. Zajmuję tem się ciągle!

— Co przez to rozumiesz? — spytała hrabina.

— Cicho — szepnęła Janika i zaczęła się przysłuchiwać, a przekonawszy się, że nikogo blisko nie było, rzekła: — Pamiętasz pani, jak skarżyłam się

Morganie, że mamy twarde łóża, i zaraz nazajutrz Kormoran przyniósł nam po wiązce siana.

— Cóż z tego?

— Weź pochodnie i spójrz!

Janika odrzuciła siano, i Klotylda, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, ujrzała duży otwór w ścianie.

— Widzisz, że praca już zaczęta — rzekła Janika — może w końcu dostaniemy się na świat Boży.

— Ach! — rzekła hrabina — gdybyśmy nawet wyszły stąd, coż pocniemy dalej? Nie wiemy, gdzie jest hrabia, a któż nas obroni?

— Zapominasz pani, że Morgana, przed naszym dziwnym usnięciem przypadkiem wymówiła przy nas słowo Karnak, a ty, pani, wyrznęłaś to imię na swoim naramienniku, który ja wyrzuciłam przez okno. Jeżeli hrabia znalazł go, może szuka nas teraz i jest blisko.

— Ach! — zawołała Klotylda — żebym mogła wiedzieć...

— Słuchajmy — nagle przerwała jej Janika.

Nad ich głowami słychać było tętent kopyt końskich.

— To oni! oni! — rzekła drżącym głosem Janika — czyż tego nie czujesz?

— Słuchaj, słuchaj, za ścianą karzeł zaczął chodzić niespokojnie, a z ust Morgany wyrwało się przekleństwo.

— Do pracy! zawołała Klotylda.

— Ręce moje nie potrzebują pomocy — rzekła Janika, tembardziej, że mam dwa noże. Proszę tylko

o równe układanie gruzu, żeby Morgana nie zauważyła naszego przekopu.

— Dobrze.

— A razem zabawiaj dziecko. Wesoły śmiech jego uśpi podejrzliwość Morgany.

Obie kobiety wzięły się do pracy.

Janika się nie myliła: hrabia w tej samej chwili przejeżdżał rzeczywiście nad mogiłą królów bretońskich, lecz nie domyślając się, że w niej zagrzebano istoty, droższe mu nad wszystko w życiu, spojrzął spokojnie na posępny kurhan i pojechał dalej.

Chociaż Janika pracowała z całej siły, jednak praca szła wolno, gdyż ciągle napotymano kamienie, i trzeba było zmieniać kierunek przekopu, lecz Janika nie traciła energii; Klotylda zaczynała się bać, że Morgana zauważy zwir na ziemi, ale ta na szczęście była czem innem zajęta. Sąsiedztwo z hrabią Eufaniuszem niepokoiło ją bardzo, przytem Kormoran przyniósł pewnego dnia niepomyślne wieści.

Przekop Janiki doprowadził ją do pieczary Morgany; oddzielał ją już tylko jeden kamień, nie przylegający dobrze, tak, że można było widzieć co się u Morgany działo. Pewnego razu Klotylda i Janika zobaczyły taką scenę: karzeł stał przed Morganą i żywo gestykulował.

— Więc oni pojechali — rzekła Morgana — to świetnie, Karnak swobodny.

Potem zapanowało milczenie, a Janika, przyłożwszy twarz do szpary śledziła każdy ruch Kormorana. Karzeł podszedł do swej pani, udał, że się chowa,

narysował psa, pokazał, jak strzelał z łuku, potem uśmiech tryumfu rozjaśnił jego twarz.

— Zabiłeś Waga! — zawołała Morgana.

Kormoran potwierdzająco kiwnął głową, musiał przed tem jakąś dobrą wieść przynieść Morganie, gdyż kapłanka druidów nie mogła wstrzymać okrzyku radości. Jakaż to była nowina? Janika ledwie zdążyła pomyśleć o tem, gdy Morgana zawołała:

— Idź znów do niej! Ona już od ośmiu dni jest tam. Wytłomacz jej, że może tu przyjść, albo lepiej przyprowadź ją do Karnaku. Tam znajdziecie mnie o północy. Co ty mówisz? że moje branki zostaną same? Czyż one mogą przekopać całą górę? Zresztą mnie wszystko jedno! Idź i przyprowadź do Karnaku Bertradę!

Imię to było nieznane Janice, lecz ogromnie się ucieszyła, że Morgana i Kormoran będą nieobecni następnej nocy.

— Trzeba skorzystać z tego — rzekła Janika — i uciec!

— Lecz jeżeli hrabia jest daleko? — spytała Klotylda.

— Nie może być bardzo daleko, zresztą masz złoto, kupimy konie, i dogonimy go!

O zwykłej porze Morgana przyniosła im obiad i rozmawiała z Klotyldą, a Janika tymczasem stanęła przy ścianie i zakrywała własnem ciałem ślady roboty. Jak tylko wyszła Morgana, Janika rzekła:

— Teraz więcej do nas nie przyjdzie. Została

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

25

Dodatek do N-ru 25 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

mi już tylko ostatnia warstwa ziemi do przekopania. Pomyśl, że za kilka godzin wyjdziemy z tej mogiły, zobaczymy niebo i będziemy wolni! Myśl ta daje mi tyle sił, ile ich miał Romaryk. Znowu wzięła się do roboty, po jakimś czasie, podeszła do szpary i zaczęła śledzić Morgane. Kapłanka druidów siedziała na kamieniu i uważnie czytała jakiś pergamin, poczerniały ze starości, cały zapisany znakami. Przed nią, na stole, leżały dziwne przedmioty: martwe źmije, suche trawy i inne rzeczy, które Janika widziała pierwszy raz w życiu. Morgana siedziała długi czas nieruchoma, potem wstała, włożyła wszystkie te nadzwyczajne przedmioty do worka, i rzekła natchnionym głosem:

— Przyszła moja godzina! Wy wszyscy, którzy tu spoczywacie, królowie Bretanii, wyjdźcie z waszych mogił i przyłączcie się do mnie. Przyjdźcie natchnąć mnie na wielkie dzieło zemsty, którą chcę spełnić tej nocy! Ukaż się Morwanie! mój dumny, straszny Morwanie, bądź przewodnikiem swoich przodków i przyprowadź ich do mnie! Przez twoją pamięć, działać będzie twoja żona!

Okrywszy się czarnym płaszczem, Morgana wyszła.

Trzęsąc się ze strachu, Janika przytuliła się do Klotyldy i rzekła:

— Boże! my jesteśmy wśród mogił, między umarłymi!

— Boże! — zawołała hrabina.

— To doda nam jeszcze więcej sił, żeby uciec tej

nocy. Chodź tu! Szczęściem dziecko zasnęło, zostaw je na chwilę, weź pochodnię. Czas ucieka.

Po kilku minutach obie kobiety były już w głębi przekopu. Klotylda trzymała pochodnię, a Janika kopła. Strach, że je mogą złowić, myśl, że w każdej chwili mogą się natknąć na kości, wilgoć, wszystko to wyzywało mimowolne drżenie u Klotyldy, a Janice dawało zapału. Obie milczały blade ze strachu.

— Więcej śmiałości! — rzekła Janika. — Czyż nie słyszysz, pani, po uderzeniach noża, że blizkie jesteśmy celu. Ziemia już drży!

Nagle się zatrzymała.

— Słuchaj! słuchaj! ktoś kopie z zewnątrz! Odkryto nas, zginęliśmy! Odskokzyła w bok, gdyż cała bryła piasku spadła z góry prosto przed jej nogi. Przez chwilę obie kobiety zobaczyły gwiaździste niebo, lecz zaraz jakieś ciemne ciało zakryło otwór. Przy ostatnich blaskach gasnącej pochodni, zobaczyły wyciągniętą ku nim z otworu zakrwawioną rękę.

VII.

Była to ręka Romaryka. Wag, ruszający się jakby za pomocą jakiejś niewidzialnej siły, doprowadził swego pana, który mu ciągle obmywał ranę, aż do Fougarnel. Pies, dopełzawszy do kurhanu, przysłuchiwał się jakiemuś szmerowi, który mogło złowić tylko psie ucho, podniósł się z wielkim wysiłkiem i zaczął drapać ziemię, lecz wkrótce siły go opuściły, lekki dreszcz przebiegł po całym jego ciele i żyć przestał.

Przekonawszy się, że pies już nie oddycha, ślepy z trudnością odnalazł to miejsce, w którym Wag zaczął drapać, i dalej ręką i ostrym swym kijem jął rozkopywać kurhan.

Po okrzyku przerażenia, który się mimowoli wyrwał obu kobietom, Romaryk poznał je i chcąc uspokoić, rzekł:

— Nie bójcie się, to ja, Romaryk! Ponieważ nie widzę, powiedzcie mi, gdzie my się znajdujemy.

Klotylda w kilku słowach wyjaśniła mu stan rzeczy, i w końcu rzekła:

— Mój dobry Romaryku, postaraj się, z pomocą twego kija, powiększyć otwór, więcej już nic nie trzeba do naszego oswobodzenia. A ty, Janiko, weź dziecko i uciekajmy!

Gdy Romaryk rozszerzył wreszcie otwór dostatecznie, rzekł do hrabiny:

— Podaj mi rękę, pani!

Po chwili wszyscy znaleźli się na powierzchni ziemi, błogosławiąc Pana nad Pany.

— Teraz — rzekł ślepy — nie traćcie ani chwili czasu... uciekajcie w stronę Vannes, droga musi iść mniej więcej w tym kierunku, zresztą Janika sama jest z tych stron rodem, i z pewnością zna drogę. W Vannes kupcie konie i pędźcie do Laval. Słyszycie, do Laval! Hrabia tam się udał!

— Czyż ty — przerwała mu Klotylda — nie pojedziesz z nami?

— Po co? — rzekł nieszczęśliwy — czyż zapomniałaś pani, że wykluto mi oczy: nie mogę się już bro-

nić, będę wam tylko przeszkadzał! Nie, ja tu zostanę i postaram się tak urządzić wszystko, żeby nikt was nie zatrzymywał. Idźcie! idźcie!

W ostatnich słowach Romaryka, było coś strasznego. Hrabina prosiła ślepego, żeby się zgodził pójść z niemi, upewniając go, że będzie im potrzebny, lecz ślepy stanowczo odmówił.

— Chodźmy — rzekła Janika, pociągając Klotyldę — chodźmy! Romaryk ma słuszość, ja będę przewodnikiem.

— Żegnaj mi Romaryku — rzekła hrabina — nigdy nie zapomnę tego, coś dla mnie uczynił! Jak powrócę w te strony, przekonasz się, że nie jestem niewdzięczną!

— Myśl o terażniejszości, pani — rzekł smutnie Romaryk, i niech teraz i w przyszłości Bóg wam błogosławi!

Romaryk stał długo nieruchomy, przysłuchując się milknącym krokom hrabiny i Janiki. Przekonawszy się, że są już daleko, i że do jego uszu dolatuje tylko świst wiatru i szum morza, powrócił do kurhanu, i z trudem odnalazłszy skostniałe ciało psa, spuścił się z niem razem do podziemia.

— Chodźmy, chodźmy Wagu — rzekł — poszukać sobie wspólnej mogiły!

Po chwili znalazł się w tej pieczarze, w której mieszkali, Klotylda i Janika. Położywszy Waga na ziemi, omackiem odnalazł przejście do izby Morgany i zmęczony oparł się o granitową kolumnę, podtrzy-

mującą cały kurhan. Znał on dobrze sposób budowania kurhanów grobowych.

— Wkrótce policzymy się, Morgano!

I stał tak nieporuszony, podobny do tych, którzy spoczywali niedaleko w kamiennych grobach.

VIII.

Hrabina Klotylda szła za Janiką, trzymając uspio-
ne dziecko. Noc była zimna, chwilami niebo zacią-
gały chmury, które napędzały silny wiatr od morza. Klotyldzie nieraz zdawało się, że przed niemi, na dro-
dze, stoi mnóstwo widm.

— Boże mój—wołała z przerażeniem—co to jest?

— Uspokój się, pani — mówiła Janika — to nie
widma, to głązy Karnaku.

Hrabina nie raz słyszała o tem strasznem miej-
scu, i nie mogła się uspokoić na myśl, że musi w nocy
przechodzić tędy! Poddawała Janice myśl, żeby obejść
cmentarzysko, lecz Janika nie zgodziła się, mówiąc:

— Stracimy za wiele czasu, a złe duchy, nawie-
dzające to miejsce, szkodzą tylko złym ludziom. Ka-
mienię jak, mówią starzy, były kiedyś ludźmi, ale te-
raz nie mogą nam nic zrobić.

— Wiem — rzekła hrabina — lecz pomimo to
boję się nie o siebie lecz o dziecko. Który z tych gła-
zów może runąć i przytłoczyć nas.

— Nie patrz na nie pani, zamknij oczy i daj mi
rękę, poprowadzę cię; najlepszym środkiem przeciw
strachom, jest nie patrzeć na te głązy. Księżyc znowu

schował się za chmury, nie zobaczymy już więcej Kar-
naku. Chodźmy! chodźmy!

Ciemne chmury, podobne do złowieszczych pta-
ków, zakryły księżyc. Klotylda i Janika musiały iść
po omacku. Klotylda szczykała zębami ze strachu, ale
mimo to powtarzała ciągle:

— Ja się nie boję, ja się nie boję!

Teraz z kolei strach napadł na Janikę, tylko
strach innego rodzaju; ponieważ między kamieniami
ciągle trzeba było zmieniać kierunek, zaczęła się bać,
czy nie zbłądziły i postanowiła powiedzieć o tem Klo-
tyldzie.

— Pani, poczekajmy, aż się rozjaśni, nie wiem
gdzie jesteśmy!

Zatrzymały się na chwilę. W tej samej chwili
usłyszały jakiś głos. Nie wierząc swoim uszom, zaczę-
ły się przysłuchiwać. Wśród głązów druidów, pomimo
ciemnej nocy ktoś szedł ciężkim krokiem

— Uciekajmy — szepnęła hrabina — to pewno
oni nas gonią! Uciekajmy!

I rzuciła się w bok, lecz kamienie przeszkadzały
jej i w rzeczywistości kręciła się ciągle w jednym miej-
scu. Janika biegła za nią. W tem zupełnie niespo-
dzianie za jednym z głązów zobaczyły jasny płomień.
Janika pociągnęła swoją panią za rękaw, żeby nie stała
na jasnej przestrzeni, obie stanęły w cieniu przy-
glądając się. Przy ogniu, na ziemi klęczał. Kormoran
i rozdmuc hiwał płomień.

— Boże — pomyślała Klotylda — żeby dziecko
się nie obudziło i nie zapłakało, gdyż wtedy zginiemy!

I położyła lekko rękę na ustach dzieciny, która spała ciągle snem głębokim. Uspokojone nieco, obie kobiety przyglądały się: nad ogniem stał trójnóg podtrzymujący urnę starożytną. Urna była rozpalona do czerwoności i coś w niej kipiało.

— Dmuchaj jeszcze — rzekła Morgana, która wyszła z ciemności, podobna do piekielnego widziadła.

Za nią widać było niewyraźne kontury drugiej kobiety, całej w czerni z bladą twarzą. Tylko teraz Klotylda i Janika zrozumiały, o jakim spotkaniu mówiła Morgana. Drugą kobietą, którą one znały tylko z imienia, była Bertrada. Lecz czemu spotkały się w takim miejscu i o takiej porze?

— Połóż siedm wiązek suchego drzewa i po siódmej wiązce przyzywać będziemy boginię złą, Zwertę.

Zaledwie karzeł spełnił jej rozkaz, kapłanka druidów zbliżyła się do ognia, i wrzuciła do urny jakiś łańcuch i gałązkę z siedmiu suchymi liśćmi, wymawiając przy tem zaklęcia w niezrozumiałym języku. Morgana mówiła ciągle, to zwracając się do urny, to wyciągając ręce w przestrzeń, jakby chciała przyzwać na wszystkie mocy piekielne. Potem zatrzymała się i rzekła:

— Dosyć, Kormoranie, gaś ogień i porozrzucaj niedopalone gałęzie. Duchy i moja sztuka zrobiły już swoje!

Karzeł z widoczną radością spełnił rozkaz swej pani: gałęzie rozleciały się na wszystkie strony, ogień zgasł. Tymczasem księżyc wyszedł z za chmur i znowu oświecił cały widnokrąg.

— Północ — rzekła Morgana — straszne ziele powinno teraz wciągać blade promienie nocnych świateł! Odkryj urnę, Kormoranie, i przygotuj dzban. Daj mi maskę, moje żelazne rękawiczki i odejdz. Już nie jesteś nam potrzebny, obejdziemy się bez ciebie. Twoja czujność potrzebna tam!

Karzeł nisko się uklonił i znikł w ciemności.

— Boże — szepnęła Klotylda Janice na ucho — on się dowie o naszej ucieczce, wróci tu, a wtedy zginiemy!

— Nie — odpowiedziała Janika — wszak tam został Romaryk.

W tej chwili zaczęła mówić Bertrada:

— Morgano, wytłomacz mi, jakie jest działanie tego ziele, i jakie masz zamiary?

— Słuchaj — odparła Morgana uroczyście. — Dawniej cesarz Ludwik był człowiekiem silnej woli, rozumnym królem i wielkim wodzem. Zdawał się być godnym następcą Karola Wielkiego i był nim w istocie aż do dnia zwycięstwa nad moim mężem, królem Morwanem. W tym dniu podałam mu puhar z winem, w którym było tylko kilka kropel tej trucizny.

— Ta trucizna nie zabija? — spytała Bertrada.

— Nie — odrzekła dumnie kapłanka druidów — lecz działanie jej jest jeszcze silniejsze, ona odbiera: wolę, rozum i siły, czyni człowieka na wpół obłąkanym. Ludwik cierpiał pomieszenie przez cały rok, potem, uczeni wschodni ocalili go od zupełnego obłądzenia, lecz następstwa choroby zostały mu na zawsze. Powinnaś zrozumieć teraz, co jest przyczyną wszystkich jego nie-

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

Dodatek do N-ru 26 *Wieczorów Rodzinnych* 1901 r.

szczyć; bez tej trucizny byłby Ludwikiem Wielkim, Ludwikiem Szczęśliwym! Zawdzięczając zemście Morgany, stał się Ludwikiem Nieszczęsnym. Ludwikiem Słabym!

— Mów dalej.

— Tem, czem dawniej był Ludwik, jest teraz syn jego, Karol; trzeba żeby syn stał się podobny ojcu.

— Tak! — zawołała wdowa po Bernardzie — masz słuszość! Tego nam trzeba! Nam trzeba zemsty gorszej niż śmierć, zemsty godnej tych, których oplakujemy.

— Trucizna wystygła — rzekła Morgana — trzeba ją rozlać w naczynia z lawy dawnych wulkanów Bretońskich.

Wyrzekłszy to, włożyła stalowe rękawice, które miały ją ochronić od trucizny.

— Czemu masz dwa naczynia? — spytała Bertrada?

— Bo ja oprócz Ludwika mam jeszcze innych wrogów.

— Nomenoe... hrabia Eufaniusz?

Janika musiała dołożyć wszelkich starań, żeby powstrzymać u Klotyldy okrzyk przerażenia i zgrozy. Po kilku minutach trucizna była przelana do naczyń, z których jedno wzięła Morgana, a drugie podała Bertradzie.

— Jak mam to użyć? — spytała Bertrada.

— Pomyślałam już o tem — rzekła Morgana — ponieważ Lotaryusz jest już pokonany i będzie musiał

ustąpić, oddając koronę młodszemu bratu, Karolowi, więc posmaruj wewnątrz koronę tym płynem.

— Czyż to wystarczy?

— Najzupełniej. Przez skórę przeniknie do mózgu. Karol straci energię, rozum i powoli będzie umierał. Ja ci za to ręczę, będzie długo się męczył, i ci, co go kochają, będą płakali.

— Czy mogę już odejść?

— Proszę cię nawet o to. Ja muszę zaraz wracać do swego schronienia, bo już dawno je opuściłam, i obawiam się o swych jeńców.

Bertrada gwizdnęła, na ten znak zjawili się kilku jeźdźców.

— Wkrótce usłyszysz o mnie, Morgano — rzekła Bertrada, dosiadając swego wierzchowca.

— Żegnaj Bertrado — odrzekła Morgana — niech stare bogi Gallii i Bretanii opiekują się tobą.

Po pewnym czasie Klotylda i Janika wyszły ze swego ukrycia, wtedy dopiero dziecko się obudziło i zaczęło płakać. Morgana mogła usłyszeć jego płacz, lecz Klotylda nie myślała już o tem, tak była przejęta chęcią jak najprędzszego odnalezienia męża. Janika nie mogła zrozumieć zmiany, jaka w niej zaszła.

— Musimy się spieszyć — rzekła Klotylda — teraz idzie nie tylko o mego męża, lecz o dziedzictwo Karola Wielkiego i jego syna!

I pierwsza poszła śladami Bertrady.

IX.

Dniało już, a jeszcze nie było widać miasta Vannes. Klotylda szła prędko naprzód i ciągle powtórza Janice:

— Prędzej! prędzej!

A przed oczami migaly jej wciąż głązy Karnaku, warzenie trucizny i zatruta korona. Rozumiała dobrze, że jeżeli Bertrada przyjedzie przed niemi do obozu cesarza, to wszystkie zabiegi Eufaniusza i jego przyjaciół obrócić się wniwecz i Karol zginie! Nie widać było jeszcze Vannes i po drodze nie spotkały ani jednej osady, gdzieby można było dostać koni. Nagle na zakręcie ujrzały jeźdźców, jadących naprzeciw nich.

— Ukryjmy się — zawołała Janika.

— Na cóż się to przyda — odrzekła Klotylda — przecie już nas dostrzegli.

Oddała dziecie Janice i podeszła do jeźdźców, chcąc ich błagać o konie.

Był to oddział Ranjara, szukający właśnie Klotyldy z polecenia Nomenoego i Eufaniusza. Poznawszy Klotyldę, Ranjar wydał okrzyk radości i oczy jego zabłyśły dzikim ogniem; nie dał mówić hrabinie, lecz sam opowiedział, że już oddawna ją szuka.

— Dajcie tam dwa konie! — zawołał w końcu.

— Drugi koń nie potrzebny — rzekła Klotylda — ja jedna tylko pojadę.

— Pani — zawołała Janika — a my?

— Zostawię tobie mego syna. Nie mogę go na-

rażać na tyle niebezpieczeństw. Jesteś rodem z Vannes, masz tam zapewne krewnych?

— Mam siostrę!

— Zatrzymaj się u niej i czekaj mego powrotu.

— A jeśli nie wróciacie?

— Odwieszysz dziecko hrabiemu Eufaniuszowi, a jeżeli i on zginie, oddasz je jednemu z naszych przyjaciół, choćby samemu cesarzowi. O Boże wielki! oto nadszedł czas, kiedy obowiązek dla kraju zmusza mnie do zostawienia własnego dziecka. Idź pielegnuj je troskliwie i kochaj! Żegnaj mi, moje maleństwo!

Ucałowała synka i oddała Janice. W tej chwili Ranjar owinął płaszczem siodło i urządził wygodne siedzenie dla hrabiny.

— Tam na wschód nasza droga — zawołał — bo pod Laval nad rzeką Majenną mają się spotkać rycerze cesarza Ludwika i wierne mu wojsko Nomenoego z Normandami i Gaskonami, których namówił król Lotaryusz przeciw swemu ojcu. Od tej bitwy zależy los Ludwika, jeśli jego hufce będą pobite, jeśli zginą paladyni i Nomenoe, Lotaryusz zostanie cesarzem Franków, a ja sięgnę po koronę Bretanii na złość Morganie. I tak się stanie, precz z Morganą i Nomenoem — dodał ze strasznym wyrazem twarzy.

Trzy dni pędzili na wschód, dając tylko koniom konieczny wypoczynek, nareszcie stanęli na wzgórzu, panującym nad rozległą równiną. Walczyli tam ludzie, piesi i konni, wznosiły się kłęby kurzu, słychać było z oddali szczęk oręża, krzyki i jęki. Klotylda zrozumiała, że widzi przed sobą bitwę, która ma się

już ku końcowi, gdyż część walczących poszła w rozsypkę i uciekła.

— Błagam cię, pani, nie jedź dalej — rzekł Ranjar — zostań tu pod opieką moich ludzi. Ja sam pojadę dowiedzieć się, kto zwycięża.

Klotylda, jak osłupiała patrzyła z przerażeniem przed siebie i nic nie odpowiedziała. Ranjar pojechał naprzód i wkrótce pojął, że uciekającymi byli Normani i Gaskoni, że paladyni i Nomenoe zwyciężali. Tak, mały oddział z hasłem: „Karol i Francya!” zwyciężył, lecz ileż ofiar kosztowało to zwycięstwo!

Między poległymi byli: Hugo, Drago, Eginhard, Herve, Bertold i hrabia Robert. Opodał leżał dzielny Landryk, a obok niego jego ostatnia ofiara — król Normandów. Zostało tylko trzech paladynów: Roland, Eufanisz i January. Każdy z nich walczył na czele swego hufca.

Najwięcej ucierpiał hufiec Eufanusza, została przy nim tylko mała garstka ludzi, lecz hrabia nie zważał na to, i szedł ciągle naprzód. W tem jeden z uciekających zawrócił nazad i stanął naprzeciw Eufanusza, był to sam hrabia Landbert, sojusznik Lotaryusza. Eufanisz silnem cięciem obalił go na ziemię, a ten zawołał tylko ochrypłym głosem:

— Pomścicie mnie!

Na to wołanie, kilku jego towarzyszy rzuciło się zuienacka na Eufanusza i wytrąciło mu miecz z ręki; nieszczęśliwy rycerz ciężko raniony przypadł na kolana i broniąc się tarczą wołał wiernego Landryka, lecz ten

nie mógł mu już dopomóc. W tej chwili właśnie przejeżdżał koło jakiś jeździec.

— Mój miecz! — zawołał Eufanisz. — Podaj mi mój miecz!

Jeźdźcem tym był Ranjar, wściekły ze zwycięstwa Franków i Nomenoe, słyszał on wołanie hrabiego, podniósł miecz, lecz zamiast rzucić się na pomoc męża Klotyldy, sam go ugodził w głowę.

— Żeby tak mógł ciąć Nomenoe — pomyślał w duchu, ale niebawem resztki wrogów pierzchły i Klotylda znalazła się przy księciu bretońskim, który objeżdżał pobojowisko, opatrując rannych.

— Eufaniesz! Eufaniesz! — wołała ciągle jeżdżąc po pobojowisku. — Gdzie jest hrabia Eufaniesz? Muszę się z nim widzieć!

— Klotyldo! droga moja! — odpowiedział na jej wołanie słaby głos z ziemi. — Jakżem szczęśliwy, że ciebie jeszcze zobaczę.

Klotylda zeskoczyła z konia i rzuciła się do umierającego.

— Wstań, Eufaniesz! Siądź na konia i jedź! Odkryłam straszny spisek! Morgana i nie mniej krwiożercza od niej Bertrada, zatruiły koronę, którą Lotaryusz ma oddać Karolowi! To straszna trucizna, mąci człowiekowi zmysły! Bertrada o całą dobę wyprzedziła mnie i gotowa jeszcze wykonać swój okrutny zamiar. Siadaj zaraz na konia, ratować wnuka Karola Wielkiego! — Hrabia spróbował się podnieść, lecz siły odmówiły mu posłuszeństwa, ukląkł tylko i rzekł, wskazując na niebo:

— Tam tylko pójść już mogę.

Roland stał obok Eufaniasza, opierając się na ramieniu Januarego.

— January, słyszałeś? Tyś jeden wyszedł zdrów, ty jeden możesz ocalić Karola! — rzekł Roland.

W jednej chwili January, nie otrząsnąwszy się nawet z kurzawy po bitwie, wskoczył na konia i popędził do cesarza.

Hrabia Eufaniasz zamknął oczy, lecz myśl o dziecku wróciła mu siły.

— Czuwaj nad nią i nad moim synem — rzekł wyciągając błagalnie ręce do Nomenoego!

— Dziecko zostało z Janiką w Vannes! — rzekła Klotylda. Lecz co to jest? ty umierasz?

Eufaniasz upadł, wyciągając do niej ręce, Klotylda uknęła przy nim, lecz nagle zachwiała się także i upadła. Serce jej nie wytrzymało tyle ciosów. Roland odkrył siwą głowę i rzekł:

— Razem umarliście, razem też was pochowamy.

Zwracając się zaś do Nomenoego, dodał:

— Wytlomacz mi ich ostatnie słowa. Co to za dziecko? kto jest Janika?

— Janika to piastunka ich jedynego syna, który będzie odtąd moim synem, bo Klotylda jest moją siostrą. Cześć im i spokój wieczny!



X.

January wiedział, że przyszłość wielkiego dzieła, dla którego tyle przecierpieł jego przyjaciele, zależała teraz od niego, więc pędził naprzód, jak strzała. Na nieszczęście nie wiedział dobrze, gdzie się znajduje Ludwik. Powiedziano mu, że cesarz jest w Nantes, gdy on był już w Blois, musiał więc zawrócić w pół drogi i przybył zapóźno.

Tymczasem w tem mieście stary cesarz przyjmował hołd od Lotaryusza, który po ostatniej porażce swoich sprzymierzeńców, udawał skruszonego i sam ofiarował koronę królewską synowi znienawidzonej przez siebie Judyty, Karolowi. Ale była to korona Bertrady.

Stary cesarz, uradowany z zakończenia krwawych waśni, zaprosił synów i przedniejsze rycerstwo na ucztę. Naprzeciw niego stał młody Karol, opierając się dumnie o swój tron. Niebawem przybył Lotaryusz, padł na kolana przed Ludwikiem, wyznał swoje zbrodnie i przyrzekł być posłusznym na przyszłość rozkazom ojca. Potem powstał, wziął z aksamitnej poduszki koronę a zbliżywszy się do Karola, przemówił w te słowa:

— Nietylko uznaję cię za pana ziem, położonych między Sekwaną i Loarą, lecz sam chcę ci oddać i włożyć na skronie twoją koronę!

Karol gorąco ucałował brata, a Lotaryusz własnoręcznie włożył mu koronę. Cesarz objął marnotra-

Dziedzictwo Karola Wielkiego.

27

Dodatek do N-ru 27 Wieczorów Rodzinnych 1901 r.

wnego syna i rozpoczęła się uczta. Przez cały czas uczty Karol siedział w koronie, ku końcowi biesiady bladeść pokryła jego lica. Widocznem było, że walczył z bólem; kiedy wszyscy wstali od stołu, wstał i on, chwycił się za czoło i wydał okrzyk cierpienia.

— Co ci jest, dziecię moje — pytała przełęczniona matka.

— Nie mi nie jest — odrzekł Karol z wymuszonym uśmiechem.

Po chwili jednakże nie mogąc zapanować dłużej nad bólem, zerwał z głowy koronę, krzyknął straszliwym głosem i runąwszy na ziemię, zaczął się wic w konwulsjach. Wszyscy rzucili mu się na pomoc, wezwano lekarzy i jeden z nich stary Maur na szczęście znalazł środek, który niegdyś ocalił życie Ludwikowi w podobnej okoliczności. Wróciła mu przytemność i siły, ale palący blask jego żywych oczu przygasł, bujne loki zaczęły wypadać jedne po drugich, umysł i dłoń przed czasem ociężały i świetne nadzieje, które pokładano w nim, znikły na zawsze. Może byłby Karolem Wielkim, lecz dzięki truciznie Morgany znany jest w historii, jako Karol Łysy.

Ale Pan który z wysokości niebios, kieruje losami świata skarał okrutną i zjadłą Bertradę jej własnym orężem. Na rok przed owym wypadkiem oddała na dwór cesarza Ludwika dwóch swych synów: Albina i Dezyderyusza, wyblągawszy przebaczenie. Cesarz przyjął młodzieńców do swity Karola. Tego tylko trze-

ba było Bertradzie: synowie jej, wychowani w nienawiści do cesarza, mieli przy pierwszej sposobności zgładzić Karola. Lecz po jakimś czasie syn Judyty swoją łagodnością i wspaniałomyślnością potrafił pozyskać przywiązanie obu młodzieńców, którzy oświadczyli matce, że gotowi są umrzeć za Karola. Wówczas to Bertrada udała się znowu do swej współniczki Morgany, i dostała od niej truciznę, którą wraz z Lotaryuszem użyli z wiadomym skutkiem.

Nazajutrz po nieszczęsnej uczcie, Karol usnął, spędziwszy całą noc w malignie. U wezgłowia jego siedziała matka i gorzko płakała. Synowie Bertrady w przyległej komnacie byli smutni i niecierpliwie oczekiwali przebudzenia się Karola, myśląc, że sen polepszy jego zdrowie. Aby czas skrócić, zwyczajnie jak młodzieniaszkowie, zaczęli rozpatrywać insygnia królewskiej władzy, między któremi była także zatruta korona.

— Biedny Karol — rzekł Albin — jak on wspaniale wyglądał w tej koronie!

— Czy myślisz, że ja w niej będę gorzej wyglądał — zawołał Dezyderyusz i włożył ją na głowę.

— Co robisz, jeszcze kto nas zobaczy?

— Daj pokój — uspakajał go Dezyderyusz — teraz nikt nie przyjdzie!

I w koronie zaczął się fechtować. Po jakimś czasie zdjął ją i ocierając pot z czoła, rzekł:

— Jakżem zmęczony, jak mi głowa ciężka!

— Zapewne dlatego, że korona za ciężka dla ciebie — rzekł mu brat. — Wiesz, było ci w niej bardzo do twarzy.

— I tobie będzie do twarzy! Przymierz ją — rzekł Dezyderyusz.

Albin włożył koronę i także zaczął się fechtować. Gdy Bertrada weszła do komnaty synów, ujrzała obu, leżących bez zmysłów, a Albina w zatrutej koronie na głowie.

.....
W tym samym dniu drugi zbrodniarz otrzymał zasłużoną karę. Przed młodym królem Bretanii, uznanym przez cesarza Ludwika, ze związanymi rękami stał Ranjar.

— Czas uregulować nasze rachunki — rzekł Nomenoe.

— Ja o nic nie proszę.

— Nie prosisz — odpowiedział Nomenoe — gdyż Klotylda umarła, a tyś marzył o tem, żeby po moim i Eufaniasza zgonie wziąć mój tron i jego małżonkę. Dla tego to zdradziecko zabiłeś Eufaniasza. Ja wiem wszystko! Sprawcą śmierci Klotyldy i Eufaniasza jesteś ty!

— Lecz ty przysięgłeś zachować mi życie!

— Przysięgłem, tylko z warunkiem, jeśli nie popełnisz nowej zbrodni, a pamiętasz, com ci jeszcze przyrzekł?

Ranjar milczał.

— Przyrzekłem ci dopełnić tego, czego Morgana nie wykonała! Oto jest powróż, na którym raz wisiałeś!

Mówiąc to, Nomenoe rzucił powróż katowi. Winowajcę wyprowadzono z namiotu...

.....
Morgana przed tem jeszcze ukarała ręką Romaryka. Zostawiliśmy ślepego w podziemiach grobowców królewskich. Przeczuwał on, że Morgana wróci wkrótce i nie omylił się; po paru godzinach posłyszał kroki i wołanie karla. Rzucił się na niego, i z krzykiem: „Umieraj zabójco Waga!” porwał go za nogę i rozbił głowę o kamienną ścianę. Potem oparłszy się o słup, podtrzymujący sklepienie, czekał dalej. Wreszcie weszła Morgana. Ręka Romaryka w mgnieniu oka opadła ciężko na jej plecy i powaliła na ziemię; potem oparty plecami o słup, nogą przyciskał ją do kamiennej podłogi. Morgana zaczęła go błagać o litość.

— Przebacz mi — wołała w rozpacz, oddam ci wszystkie moje skarby, uczynię wszystko co zechcesz, będę twoją niewolnicą, tylko nie zabijaj mię!

Olbrzym uśmiechnął się pogardliwie na jej zakłęcia, nakoniec zawołał:

— Dosyć! Pozwól mi pomodlić się, aby Bóg najwyższy przebaczył moją zemstę. Ty prosisz mię o litość, ty któraś mnie wzroku pozbawiła, któraś tyle ofiar niewinnych zgubiła.

Obrócił się, i jak Samson na uczcie Filistynów, wstrząsnął słupem. Olbrzym gwałtownym wysiłkiem zachwiał kamiennym filarem, rozległ się głuchy huk i sklepienie gładów zawaliło się na nich.

.....
Tak zginęła ostatnia kapłanka Druidów. Wkrótce wiara chrześcijańska zapanowała wśród dzielnych

mieszkańców skalistej Bretanii, stali się oni najwierniejszymi i najpobożniejszymi synami kościoła, choć dotąd jeszcze przechowują mnóstwo podań z przed tysiąca lat i dawnej swojej przeszłości. Nomenoe panował lat kilkanaście nad całą Bretanią, walcząc pomyślnie z Normandami i królem Karolem Łysym, który chciał go znowu pozbawić niezależności. Po jego śmierci, zaszłej w r. 851, Bretania przechodziła różne koleje, wpadając pod jarzmo Normandów i Anglików, wreszcie około 1500 r. złączyła się z królestwem francuskim przez małżeństwo ostatniej księżniczki Anny z królem Karolem VIII. Na początku też XVI wieku wslawił się we Francji słynny rycerz Bajard, potomek znanego nam Januarego, ostatniego z trzynastu paladynów Karola Wielkiego i jego żony, nadobnej Genowefy.

A cóż się stało z dziedzictwem Karola Wielkiego? Wiemy to z historyi. Pomimo wysiłków wiernych jego paladynów, skutkiem ciągłych waśni synów z ojcem i braci między sobą ogromne państwo wielkiego i mądrego cesarza rozbiło się w prędkim czasie. Po śmierci Ludwika Dobreśliwego synowie jego podzielili się monarchią na mocy traktatu w Verdun 843 r. Najstarszy i najchciwszy Lotaryusz otrzymał z tytułem cesarza Włochy, Burgundię i Lotaryngię, która od niego wzięła swoje miano, Ludwik — Niemcy, a Karol Łysy — właściwą Francję. Dziedzictwo Karola Wielkiego zostało w tym stanie podziału przez lat 46 t. j. do roku 884; wówczas złączyło się na krótko w jedną całość w rękę Karola Otyłego, syna Ludwika niemieckiego. Lecz gdy ten dla nieudolnych rządów w r. 887 zło-

żony został z tronu, państwo Karola Wielkiego uległo powtórnemu rozdrobnieniu i nigdy już odtąd połączyć się nie mogło. Zaraz potem Włochy i Niemcy wyszły z rodu Karłowiców, który utrzymał się tylko we Francji do r. 987 i wygasł zupełnie.

KONIEC.

